

POKÓJ NA PIĘTRZE RACHEL HAWKINS

**Nigdy nie wiesz,
jakie sekrety kryją się
za zamkniętymi drzwiami**

RACHEL
HAWKINS

POKÓJ NA PIĘTRZE

przełożyła Katarzyna Roślan



Tytuł oryginału: *The Wife Upstairs*
Copyright © 2020 by Rachel Hawkins
First published in the United States by St. Martin's Press, an imprint of St. Martin's
Publishing Group
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXII
Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Roslan, MMXXIII
Wydanie I
Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Motto

Część I. Jane

1

2

3

4

5

6

7

8

9

Część II. Bea

Część III. Jane

10

11

12

13

14

15

16

17

Część IV. Bea

Część V. Jane

18

19

20

21

22

23

Część VI. Bea

Część VII. Jane

24

25

26

27

28

Część VIII. Bea

Część IX. Jane

29

30

Część X. Eddie

31

32

33

34

Część XI. Jane

35

Część XII. Bea

36

Część XIII. Jane

37

38

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Mamie, która na szczęście w niczym nie przypomina matek z tej książki

*Człowiek dwa razy umiera, najpierw śmiercią rzeczywistą, a potem tą,
o której wiedzą ludzie.*

Jean Rhys, *Szerokie Morze Sargassowe*, tłum. Maryla Topczewska-Metelska

Część I. Jane

Luty

Nie istnieje chyba gorszy dzień na spacer.

Leje od rana, a jazda z Center Point do Mountain Brook przypomina koszmar. Wsiadam z samochodu na podjeździe przed domem państwa Reedów i zanim dojdę do drzwi, mam przemoczony dół dzinsów. Podeszwy moich adidasów piszczą na marmurowej posadzce holu.

Ale pani Reed z miną oznaczającą przesadne współczucie, która ma mi pokazać, jak bardzo jej głupio wysłać mnie w ten poniedziałkowy poranek na taki deszcz, podaje mi smycz Miśka.

To ważne – mam wiedzieć, że jest jej głupio.

Ale i tak mnie wysyła.

Wychodzę z psami mieszkańców osiedla Thornfield Estates już niemal od miesiąca i jeżeli miałabym ocenić, czego się w tym czasie nauczyłam, to powiedziałabym, że tego, że tu najbardziej liczy się sprawianie wrażenia.

Pani Reed *sprawia wrażenie*, jakby mi współczuła. Sprawia wrażenie, jakby szczerze nienawidziła tego, że muszę wyprowadzić na dwór Miśka, jej owczarka szkockiego, w ten zimny, ulewny poranek w połowie lutego.

Sprawia wrażenie, jakbym w jakiś sposób obchodziła ją jako człowiek.

Ale jej nie obchodzę, co mi, szczerze mówiąc, nie przeszkadza. Bo ona nie obchodzi mnie, jeśli mam być szczerą.

Więc z uśmiechem obciążam kurtkę przeciwdeszczową w kolorze wojskowej zieleni.

– Jestem przygotowana – mówię, odbierając od niej smycz.

Stoimy w holu przy wejściu do domu państwa Reedów. Po lewej stronie mam oparte o ścianę ogromne lustro w ramie. Odbijamy się

w nim ja, pani Reed i Misiek, który już wyrywa się do drzwi. Jest tam również drewniany stolik z postarzanego drewna, a na nim misa z potpourri oraz para brylantowych kolczyków w kształcie kółek, beztriosko odłożonych wczoraj późnym wieczorem, kiedy pani Reed wróciła z jakiejś imprezy charytatywnej – jednej z wielu, na których bywa.

Imprezy dobroczynne są tu urządzone z rozmachem, zauważyłam to, choć trudno mi się zorientować, jaki cel wspierają. Na zaproszeniach przypinanych magnesami do drzwi lodówek albo odkładanych na podręczne stoliczki obowiązkowo musi się znajdować zestaw wielkich haseł: dzieci, przemoc, kobiety, bezdomni, nieuprzywilejowani – słowem, rozmaite eufemizmy pojęcia „biedny”.

Nie wiem, co takiego wspierała wczoraj pani Reed, ale to kolejna rzecz, która mnie tak naprawdę w ogóle nie obchodzi.

I nie zatrzymuję wzroku na kolczykach.

Czując w dłoni gładką smycz Miśka, lekko macham ręką do jego pani i wychodzę na szeroki frontowy ganek. Mokra posadzka z pomalowanego betonu jest śliska i prawie po niej jadę w wysłużonych adidasach.

Słyszę, jak drzwi się za mną zamykają, i zastanawiam się, jak też pani Reed spędzi dzisiejszy poranek, kiedy ja będę spacerowała z jej psem. Zrobi sobie kolejną kawę? Popije nią xanax? Zajmie się planowaniem następnej imprezy dobroczynnej? Może będzie to brunch połączony ze zbiórką na rzecz dzieci, które nie potrafią żeglować.

Deszcz trochę zelżał, lecz nadal jest zimno. Żałuję, że nie wzięłam rękawiczek. Skórę na dłoniach mam spękaną i poobcieraną, kostki – zaognione. Między prawym kciukiem a palcem wskazującym nadal widać jasnoróżowy ślad po oparzeniu – pamiątka po ostatnim dniu mojej pracy w Roasted, kafejce w pobliskim Mountain Brook. Przypominam sobie, że wychodzenie z psami jest beznadziejne, ale przynajmniej nie grozi poparzeniami drugiego stopnia.

Misiek ciągnie, obwąchuje każdą skrzynkę pocztową, którą mijamy, a ja mu pozwalam, bo bardziej pochłania mnie rozmyślanie o domach i osiedlu niż przejmowanie się czworonogiem. Każda

z tych McRezydencji ma z tyłu soczyście zielony ogród, więc zasadniczo nie ma potrzeby korzystania z usług osób takich jak ja. Ale ludzie, którzy tu mieszkają, nie zastanawiają się nad tym, czego potrzebują. Dla nich liczy się to, czego chcą.

Właśnie o to chodzi we wszystkich tych domach.

Pani Reed z mężem mieszkają we dwoje na Magnolia Court. Mają osiem łazienek i siedem sypialni, oficjalny salon, wygodną rodzinną „jaskinię”, salonik na górze oraz męski gabinet. O ile mi wiadomo, każdy dom na osiedlu Thornfield Estates wygląda tak samo. Na razie byłam w czterech, bo oczywiście kiedy jeden z sąsiadów znajduje sobie kogoś do wychodzenia z psem, to zaraz zaczynają go potrzebować – to znaczy chcieć – pozostali. Pracuję u państwa Reedów, wyprowadzam ich Miśka, a od niedawna również u państwa McLarenów z Primrose Lane, którzy mają dalmatynkę Lolę. Poza tym u państwa Clarków z Oakwood, którzy mają dwa shih tzu, Majora i Pułkownika, no i właśnie zatrudnił mnie Tripp Ingraham z Maple Way, żebym wychodziła z labradorem jego zmarłej żony – Atosem.

Tak czy owak, to dobra robota, na pewno lepsza niż w kawiarni. W tej pracy ludzie naprawdę patrzą mi w oczy, bo chcą udowodnić samym sobie, że skoro zwracają się do „pomocy domowej” po imieniu, to nie są dupkami. „Można powiedzieć, że Jane należy do rodziny” – mówi najpewniej pani Reed innym paniom z country clubu, a te przytakują z aprobatą i zamawiają kolejną Krwawą Mary.

Moje adidasy piszczą na mokrym chodniku, a ja idę i dalej rozmyślam – teraz o moim mieszkaniu – że najprawdopodobniej znowu cieknie mi z sufitu w jednym miejscu w kuchni i brudna plama ciemnieje na tle równie brudnej szarości. Mieszkanie jest tanie i leży w nie najlepszej części miasta. Czasem mam wrażenie, że tkwię w betonowej klatce i niezależnie od tego, jak bardzo staram się zakryć szarość plakatami z Targeta lub ładnymi kocykami z second-handów, ona i tak wylezie na wierzch.

Na osiedlu Thornfield Estates nie istnieje nic takiego jak brudna szarość.

Tu trawa jest zielona niezależnie od pory roku, a każdy dom zdobią donice z kwiatami, skrzynki z kwiatami czy bujne krzewy obsypane kolorowym kwieciem. Okiennice są jaskrawożółte, granatowe, ciemnoczerwone, szmaragdowozielone. Jeżeli widać tam jakąś szarość, to tylko tę miękką i elegancką – gołębią, jak ją kiedyś nazwała pani Reed. Nieustannie kręcą się tu pracownicy pielęgnujący zieleni lub piorący dywany, a samochody firm świadczących rozmaite usługi związane z dbaniem o dom wjeżdżają na podjazdy nawet w taki deszczowy dzień jak dziś.

Misiek przystaje, by obsikać krawężnik, a ja wolną ręką ściagam kaptur z głowy. Zimna woda ścieka mi po szyi. Kurtka ma swoje lata i puścił w niej szew na lewym boku, ale nie mogę się zmusić do kupna nowej. Szkoda mi pieniędzy. Czasem się zastanawiam, czy ktoś z osiedla zwróciłby uwagę na brak starej kurtki przeciwdeszczowej.

„Za duże ryzyko”, tłumaczę sobie, ale i tak przez bite dwie minuty rozmyślam o tym, jak to by było iść przez osiedle w czymś eleganckim i przyjemnym, w czymś, co nie przepuszcza lodowatego deszczu. Na przykład w czymś takim jak ta kurtka Burberry, która w zeszłym tygodniu wisiała na wieszaku przy drzwiach u pani Clark.

„Wybij to sobie z głowy”.

Zaczynam więc myśleć o brylantowych kolczykach pani Reed. Gdyby zginęły oba, sprawa byłaby podejrzana, ale jeden? Jeden mógł po prostu spaść ze stolika. Zostać wdeptany w dywan w country clubie. Leżeć w czyjejs kieszeni.

Misiek przystaje i obwąchuje skrzynkę pocztową, ale ciągnę go w stronę mojego ulubionego domu.

Stoi w pewnym oddaleniu od ulicy, na końcu ślepego zaułka, i sprawia wrażenie, jakby nie zajmowano się nim bez przerwy. Zieleni jest tu równie soczysta jak na okolicznych posesjach, lecz ogród jest mniej zadbane. Piękne, kwitnące na fioletowo krzewy od frontu za bardzo urosły i zasłaniają okna parteru.

To nie tylko największy dom na osiedlu, lecz także wyższy od innych, z dwoma obszernymi skrzydłami. Na frontowym trawniku rosną dwa potężne dęby. Wygląda na starszy od pozostałych budynków. Może został postawiony jako pierwszy.

W Thornfield Estates wszystkie domy zlewają się ze sobą, żaden nie wyróżnia się w istotny sposób. Podoba mi się to – wolę jednolite piękno niż depresyjną monotonię okolicy, w której mieszkam – jednak ten dom stojący samotnie w ślepych zaułku ma w sobie coś, co mnie przyciąga.

Schodzę z chodnika na środek jezdni, by mu się lepiej przyjrzeć. Zawsze panuje tu taki spokój, że nawet nie przechodzi mi przez myśl, że może stanie na ulicy nie jest najbezpieczniejsze.

Najpierw słyszę samochód, a dopiero potem go dostrzegam, ale wtedy jest już za późno, by zareagować. Kiedy wspominał tamtą chwilę, zastanawiam się, czy skądś wiedziałam, co nastąpi. Czy wszystko w moim życiu prowadziło mnie do tego miejsca, do tego właśnie domu.

I do niego.

Na osiedlu Thornfield Estates prawie wszystkie samochody są takie same – to luksusowe SUV-y różnych marek. W zasadzie można powiedzieć, że stanowią mobilne wersje domów, drogie i znacznie większe, niż mogłyby się przydać właścicielom. Już prawie nie zwracam na nie uwagi, są dla mnie jak czołgi w kolorze szampana lub ciemnego, wpadającego w czerń granatu, regularnie przetaczające się po ulicach.

Samochód, który zniecka wypada z podjazdu mojego ulubionego domu, nie należy jednak do tego gatunku. To wóz sportowy, starszy, z miarowo warczącym silnikiem, w kolorze landrynkowej czerwieni, na tle szarości dnia jaskrawej jak otwarta rana.

Misiek szczeka, staje na tylnych łapach, a ja próbuję uskoczyć z drogi. Palce zaplątują mi się w smycz, a zderzak samochodu zaraz zmiecie nas z powierzchni.

Asfalt jest śliski i może to mnie ratuje, bo kiedy stawiam krok do tyłu, tracę równowagę i upadam. Łąduje twardo, aż dzwonią mi zęby. Kaptur opada na twarz, nie widzę nic poza winylem w kolorze khaki, słyszę jednak pisk hamulców, a nawet delikatny zgrzyt metalu. Misiek szczeka, szczeka i szczeka, miota się nerwowo, a skórzana smycz boleśnie wrzyna mi się w nadgarstek. Krzywię się.

– Boże – słyszę męski głos i w końcu udaje mi się zepchnąć kaptur z twarzy.

Tył bajecznego czerwonego samochodu spoczywa na słupie jednej z wymyślnych latarni, które stoją wzdłuż ulicy. Niejechał bardzo szybko, ale i tak blacha zgmiotła się jak papier. Zasycha mi w ustach, a serce zaczyna walić w piersi.

W dupę, w dupę, w dupę.

Ten samochód jest wart więcej niż średnie roczne wynagrodzenie. Gdybym miała spłacić coś takiego, musiałabym pracować w kawiarni całe wieki, żeby zarobić na same raty, a poza tym

sytuacja jest cholernie pokręcona, ponieważ gapiłam się na dom tego gościa, stojąc na środku ulicy.

Drzwi kierowcy są otwarte, a ja w końcu zmuszam się, by spojrzeć na faceta, który stoi i opiera się o nie ramieniem. Nie przypomina innych mężczyzn, których widuję w Thornfield Estates. Tamci najczęściej noszą koszulki polo i spodnie khaki i nawet ci młodzi, niby w formie, mają w sobie pewną miękkość. Podwójne podbródki albo brzuszki leciutko zwisające nad drogimi skórzanymi paskami.

W tym facecie nie ma cienia nadmiernej pulchności. Nosi dzinsy i buty, które mają wyglądać na znoszone, ale wiem, że są drogie. Wszystko w nim wygląda drogo – nawet zmięta biała koszula z przypinanym kołnierzykiem.

– Nic się pani nie stało? – pyta, zbliżając się do mnie.

Chociaż leje deszcz, on ma na sobie ciemne okulary pilotki. W ich szklach widzę blady owal mojej twarzy na tle zieleni kaptura.

Zdejmuje okulary i zaczepia je o rozpiętą pod szyją koszulę, odsłaniając bardzo niebieskie oczy. Kiedy spuszcza na mnie wzrok, na jego czole pojawiają się trzy zmarszczki. Ponieważ od dawna nikt nie patrzył na mnie z prawdziwą troską, jego spojrzenie jest dla mnie bardziej atrakcyjne niż ładne ciuchy, supersamochód i idealna sylwetka.

Kręcę głową i podnoszę się z ziemi. Szarpię za smycz Miśka, żeby przyciągnąć go do siebie.

– W porządku – odpowiadam. – Nie powinnam była stać na środku ulicy.

Kącik jego ust się podnosi, pojawia się dołeczek w policzku.

– To ja nie powinienem był ruszać z podjazdu jak szatan.

Nachyla się do Miśka i szybkim ruchem drapie go między uszami. Pies podstawia się do pieszczoty, wywiesza język.

– Domyślam się, że to pani jest tą osobą, która wychodzi z psami i o której ostatnio tak tu głośno – mówi, a ja odchrząkuję i oblewam się rumieńcem.

– Tak, to ja – przytakuję, a on ciągle na mnie patrzy, jakby czekał.

– Jane – rzucam. – Jestem Jane.

– Jane – powtarza. – Nie za często słyszę to imię.

Nie mówię mu, że to nie jest moje prawdziwe imię, tylko imię nieżyjącej dziewczyny, którą znałam kiedyś, w nieistniejącym już życiu. Moje prawdziwe imię jest równie nieciekawe, ale słyszy się je trochę częściej niż Jane.

– Eddie – przedstawia się i wyciąga rękę.

Ściskam ją z bolesną świadomością, że moja dłoń jest wilgotna i oblepiona drobnym żwirkiem z ulicy.

– O tym imieniu też nie można powiedzieć, że jest najpopularniejsze – mówię, a on się śmieje.

To głęboki, ciepły śmiech, który sprawia, że coś łaskocze mnie u nasady kręgosłupa. I może dlatego, kiedy Eddie pyta, czy nie miałabym ochoty wstąpić do niego na kawę, odpowiadam „tak”.

Z bliska dom robi jeszcze większe wrażenie niż z ulicy. Sklepiiony łuk wejścia piętrzy mi się nad głową. Wspólną cechą wszystkich tutejszych domów są masywne drzwi. U Reedów te do łazienki mają przynajmniej dwa metry czterdzieści wysokości. To dodaje powagi i majestatu nawet najmniejszym pomieszczeniom.

Eddie zaprasza mnie i Miśka do środka. Pies natychmiast się otrzepuje, kropelki wody spadają na marmurową podłogę.

– Misiek! – karczę go i ciągnę za obrozę, ale Eddie tylko wzrusza ramionami.

– Podłoga wyschnie szybciej niż ty, co, staruszk?

Znowu klepie psa, a potem gestem zaprasza mnie, żebym poszła za nim.

Po prawej stronie stoi ciężki stół – znowu marmur, znowu kute żelazo – a na nim wyszukana dekoracja florystyczna. Przechodząc, przesuвам palcem po wysuniętym w moją stronę kwiatku. Wydaje się chłodny i jedwabisty, lekko wilgotny, więc wiem, że rośliny są żywe, i zastanawiam się, czy ten facet – albo jego żona, bądźmy realistami – codziennie kupuje świeże kwiaty.

Korytarz prowadzi do obszernego salonu o wysokim suficie. Oczekiwałam czegoś w stylu Reedów, czyli morza neutralności, ale meble w tym pokoju są kolorowe i wyglądają na wygodne. Stoją tu dwie kanapy w kolorze żurawiny i trzy fotele uszaki z obiciami w śmiałe wzory – każdy inny, ale wszystkie świetnie ze sobą współgrają. Podłogi są z jasnego drewna, leży na nich parę dywaników, też kolorowych.

Dwie stojące lampy rzucają na ziemię kałuże złotego światła. Kominek otacza zabudowa z półek na książki.

– Masz książki – mówię, a Eddie przystaje i odwraca się do mnie z rękami w kieszeniach. Jego brwi się unoszą.

Kiwam głową w stronę regałów wypchanych tomami w twardej oprawach.

– Po prostu... w wielu domach też jest podobna zabudowa, ale rzadko stoją tam książki.

Reedowie trzymają na półkach fotografie w ramkach i jakieś dziwaczne wazony, a pomiędzy nimi jest pusto. Clarkowie eksponują chińskie talerze na drucianych podstawkach i srebrną misę.

Eddie nadal mnie obserwuje, ale nie umiem odczytać jego miny.

– Jesteś spostrzegawcza – rzuca w końcu.

Nie wiem, czy to ma być komplement czy nie, i nagle zaczynam żałować, że w ogóle się odezwałam.

Odwracam się w stronę zajmującego całą ścianę okna, które wychodzi na ogród za domem. Tak jak ten od frontu, jest trochę mniej zadbane niż inne na osiedlu, trawa jest wyższa, krzaki nie tak równo przystrzyżone, ale podoba mi się bardziej niż ogrody wypielegnowane na jedną modłę. Tył posesji dochodzi do lasu, wysokie drzewa wyciągają gałęzie ku szaremu niebu.

Eddie podąża za moim spojrzeniem.

– Kupiliśmy też ziemię w głębi, za działką, żebyśmy nigdy nie musieli oglądać niczyjego podwórka – mówi. Trzyma w ręku kluczyki od samochodu, pobrząkują mu w dłoni, to nerwowy tik, który jakoś do niego nie pasuje.

Myślę o tym, co właśnie powiedział – „my”.

Głupio być rozczarowaną. To jasne, że taki gość jest żonaty. W Thornfield Estates nie mieszkają single – prócz Trippa Ingrahama, który jest wdowcem. Single nie wybierają sobie takich osiedli.

– Piękne miejsce – odzywam się. – Takie odosobnione.

„Samotne”, myślę, ale tego nie mówię.

Eddie odchrząkuje, odwraca się od okna i idzie do kuchni. Ruszam za nim. Misiek drepcze przy mnie, woda z mojej kurtki ścieka na podłogę.

Kuchnia jest tak samo dostojna jak pozostała część domu – z potężną lodówką ze stali nierdzewnej, wyspą z ciemnym granitowym blatem i pięknymi kremowymi szafkami. Wszystko zdaje się tu lśnić – łącznie z mężczyzną, który stoi przed ekspresem Keurig i ładuje kapsułkę.

– Jaka kawa? – pyta, odwrócony do mnie plecami, a ja przysiadam na skraju wysokiego stołka.

Cały czas trzymam w ręku smycz.

– Czarna – odpowiadam. Szczerze mówiąc, nie lubię czarnej, ale ponieważ w każdej kawiarni jest najtańsza, to się przyzwyczaiłam.

– Widzę, że mam do czynienia z twardzielką.

Eddie uśmiecha się do mnie przez ramię. Ma bardzo niebieskie oczy. Znowu oblewam się rumieńcem.

„Jest żonaty”, upominam się w duchu.

Kiedy jednak podaje mi kubek, spoglądam na jego dłonie. Są ładne, zadbane, z odrobiną czarnych włosów na grzbietach.

Bez obrączki.

– Opowiedz coś o sobie, Jane Spacerująca z Psami – mówi, wracając do ekspresu, by zrobić kawę sobie. – Jesteś z Birmingham?

– Nie. – Dmucham w gorący napój. – Pochodzę z Arizony, prawie całe życie mieszkałam na Zachodzie, dopiero od roku jestem tutaj.

To prawda, ale podana w niejasny sposób: moja ulubiona metoda informowania obcych o sobie.

Eddie wyjmuje swój kubek spod ekspresu, odwraca się i opiera o blat.

– To czemu tu wylądowałaś?

– Chciałam coś zmienić, znajomy ze szkoły tu mieszkał i zaproponował mi pokój.

Sztuka dobrego kłamania polega na tym, że w każdym kłamstwie trzeba zawrzeć prawdę, choćby jej przeblýsk. Ludzie się na nią złapią i dzięki temu reszta kłamstwa też zabrzmí jak prawda.

„Chciałam coś zmienić”. Chciałam. Bo uciekałam przed tym, co było.

„Znajomy ze szkoły”. Gość, którego poznałam w domu dziecka, gdzie się znalazłam, gdy w domu zastępczym sprawy przyjęły zły obrót.

Eddie kiwa głową i upija łyk kawy, a ja z trudem opanowuję pokusę, by niespokojnie poruszyć się na stołku, zapytać, czemu zaprosił mnie do domu, skoro tylko wymienia uprzejmości, gdzie jest jego żona, dlaczego nie jest teraz w pracy albo dokąd się tak dziś rano spieszył. On jednak wydaje się zadowolony, że siedzi tu ze

mną, pije kawę i patrzy na mnie tak, jakbym była łamigłówką do rozwiązania.

Nic na to nie poradzę, ale mam wrażenie, że rozbiłam głowę na asfalcie i wpadłam do alternatywnego wszechświata, w którym budzę zainteresowanie bogatych i przystojnych facetów.

– A ty? – pytam. – Pochodzisz stąd? Z Birmingham?

– Moja żona pochodziła.

„Pochodziła”. Zachowuję to słowo – ten czas przeszły – w pamięci.

– Ona... ekhm. Tu się wychowała i chciała tu wrócić – ciągnie Eddie, a jego palce bębnią w kubek. Ten sam gest wychwyciłam już wcześniej, na ulicy.

Odstawia kawę i opiera się o blat wyspy przed sobą, krzyżując ramiona.

– Mieszkasz w Mountain Brook? – pyta, a ja unoszę brwi, co go rozśmiesza. – Co? To takie okropne? Że wypytuję?

Może i powinno takie być, ale w rzeczywistości całkiem mi miło, że ktoś się mną interesuje. Nie jest to sztuczne, udawane zainteresowanie pani Reed, tylko prawdziwa, autentyczna uważność. A poza tym wolę siedzieć, rozmawiać i pić kawę w tej cudownej kuchni niż spacerować z Miśkiem w deszczu.

Przesuwając palcem po marmurowej żyłce w blacie, mówię:

– Tylko trochę okropne. Poziom jeden na skali okropności.

Eddie znowu się uśmiecha, a mnie przechodzą ciarki po plecach.

– Poziom jeden to jeszcze do zniesienia.

Też się uśmiecham i trochę odprężam.

– I nie, nie mieszkam w Mountain Brook. Mój znajomy mieszka w Center Point.

Center Point to brzydkie miasteczko położone około dwudziestu mil stąd, dawniej przedmieście Birmingham, a teraz dzielnica supermarketów, centrów handlowych i fast foodów. Zdarzają się w nim i wokół niego ładne miejsca, ale nie zmienia to faktu, że w porównaniu z Thornfield Estates jest inną planetą. Co potwierdza mina Eddiego.

– Cholera – rzuca i się prostuje. – Trochę daleko.

Owszem, i nie wiem, jak długo jeszcze mój rozwalający się samochód wytrzyma te dojazdy, ale uważam, że są warte wysiłku. Zostawiam za sobą brzydotę i przenoszę się tu, do wypielegnowanych trawników i domów z cegły. Zdawałam sobie sprawę, że mądrzej byłoby znaleźć zajęcie w Center Point, tak jak John, ale pierwszą rzeczą, którą zrobiłam, gdy się tam wprowadziłam, było opracowanie dróg ucieczki.

Więc dojazdy mi nie przeszkadzały.

– W Center Point nie było wielkiego wyboru, jeśli chodzi o zatrudnienie – mówię, co znowu jest półprawdą. Miałam różne oferty: kasjerki w Dollar General, w Winn-Dixie, sprzątaczkę w klubie Fit Not Fat!, który otworzyli w lokalu po dawnym Blockbuster Video, ale nie o tego rodzaju zajęcie mi chodziło. Taka praca ani trochę nie przybliżyłaby mnie do osoby, w którą pragnęłam się przeobrazić. – A mój znajomy znał kogoś, kto pracował w tutejszej kafejce Roasted i właśnie tam poznałam panią Reed. A raczej Miśka.

Na dźwięk swego imienia pies merda ogonem, uderzając nim w podstawę mojego stołka. Przypomina mi, że chyba muszę się zbierać. Ale Eddie ciągle mi się przygląda, a ja jakoś nie mogę przestać mówić.

– Siedział przywiązany przed lokalem, więc wyniosłam mu wody. Podobno byłam pierwszą osobą, na którą nie warczał, odkąd jest u pani Reed, więc spytała mnie, czy przypadkiem nie zajmuję się wyprowadzaniem psów na spacer i...

– I stąd się tu wzięłaś – kończy za mnie Eddie, wzruszając jednym ramieniem.

Ten ruch ma w sobie elegancję, której nie odbiera mu wymięta koszula. Podoba mi się też to, jak jego wargi układają się ni to w uśmiech, ni to w złośliwy grymas.

– Stąd się wzięłam – powtarzam, a on przez ułamek sekundy zatrzymuje moje spojrzenie.

Ma bardzo niebieskie oczy z czerwonymi obwódkami i ciemny lekki zarost na bladej skórze.

Dom jest zadbane i posprzątany, lecz panuje w nim wyczuwalna pustka, która – podobnie jak pustka w oczach Eddiego – sprawia, że

przychodzi mi na myśl Tripp Ingraham. Nie cierpię spacerów z jego psem, bo muszę wchodzić do jego dusznego, szczelnie zamkniętego domu, w którym panuje taka atmosfera, jakby z chwilą śmierci żony wciśnięto guzik „pauza”.

I wtedy sobie przypominam, że żona Trippa nie zginęła sama. Zginęła razem ze swoją najlepszą koleżanką w wypadku na jeziorze mniej więcej pół roku temu. Nie zarejestrowałam nazwiska przyjaciółki, bo szczerze mówiąc, stare plotki mało mnie obchodziły, ale dziś tego żałuję.

„Pochodziła”. Jego żona „pochodziła”.

– A ja najpierw oderwałem cię od pracy, omal nie rozjeżdżając cię samochodem, a teraz zmuszam cię do wymiany uprzejmości – mówi Eddie.

Uśmiecham się i obracam kubek w dłoniach.

– Lubię wymianę uprzejmości. Ale mogłabym się obejść bez doświadczenia bycia prawie rozjechaną.

On znowu się śmieje, a mnie nagle odechciewa się stąd wychodzić. Mogłabym tak siedzieć i rozmawiać z nim przez cały dzień.

– Jeszcze kawy? – pyta, a ja, chociaż wypiałam dopiero pół, odsuwam od siebie kubek.

– Nie, będę się zbierać. Misiak musi dokończyć spacer.

Eddie wkłada swój kubek do mniejszego zlewu obok ekspresu do kawy. Wszystkie domy na osiedlu mają takie zlewy, żeby ich mieszkańcy nie musieli, broń Boże, pokonywać dodatkowego metra i odnosić kubka do głównego zlewu. Tak sędzę.

– Ile masz psów do wyprowadzania tu, na osiedlu? – pyta, a ja ześlizguję się ze stołka i sięgam po smycz.

– Cztery – odpowiadam. – No, w sumie pięć, bo państwo Clark mają dwa. Więc pięć psów, czworo właścicieli.

– Zmieściłabyś szóstego?

Stoję i czekam na Miśka, który podnosi się z podłogi i przeciąga.

– Co, masz psa?

Eddie znowu się do mnie uśmiecha – tym razem jego uśmiech jest autentyczny, a moje serce robi fikołka w piersi.

– Nie, ale zamierzam mieć.

– Od kiedy to Eddie Rochester ma psa?

Pani Clark – a raczej Emily, bo mam się do niej zwracać po imieniu – się uśmiecha.

Ciągle się uśmiecha, pewnie po to, by się pochwalić idealnymi licówkami, które musiały kosztować fortunę. Emily jest równie chuda jak pani Reed i równie bogata, ale w przeciwieństwie do pani Reed, zawsze ubranej w przyjemne komplety z dzianiny, nosi drogie stroje sportowe. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście chodzi w nich ćwiczyć, ale co drugi dzień rano wygląda tak, jakby właśnie czekała na rozpoczęcie sesji jogi. Teraz trzyma w ręku kubek termiczny z monogramem, jaskraworóżowym „E” na kwiecistym tle, i mimo że się uśmiecha, dostrzegam jej surowe spojrzenie. Dorastanie w systemie opieki zastępczej nauczyło mnie między innymi, by większą uwagę zwracać na to, jak ludzie patrzą, niż na to, co mówią. Usta są świetne w kłamstwie, ale oczy zwykle zdradzają prawdę.

– Dopiero wziął – odpowiadam. – W zeszłym tygodniu, o ile mi wiadomo.

Wiedziałam, że to było tydzień temu, bo Eddie zrobił to, co zapowiedział – następnego dnia po naszym spotkaniu adoptował szczeniaka setera irlandzkiego, Adelkę, a dzień później byłam już z nią na pierwszym spacerze. Emily musiała mnie widzieć, skoro dziś rano od razu spytała, z czym to psem wczoraj spacerowałam.

Emily wzdycha i kręci głową, opierając pięść na chudym biodrze. Jej pierścionek odbija promień światła i obsypuje białe fronty szafek deszczem małych tęczy. Emily ma wiele pierścionków – tak wiele, że nie jest w stanie nosić ich wszystkich.

Tak wiele, że nie zauważyła tamtego z rubinem, który przepadł dwa tygodnie temu.

– Może to pomoże – mówi i przysuwa się nieco bliżej, jakby powierzała mi sekret. – Wiesz, że jego żona nie żyje – mówi niemal

szeptem. Przy słowach „nie żyje” jej głos zniża się tak, że prawie go nie słychać, jakby śmiało ich wypowiedzenie mogło sprawić, że śmierć zapuka również do jej drzwi, czy coś w tym rodzaju. – Przynajmniej tak zakładamy. Nie ma jej od sześciu miesięcy, więc niezbyt dobrze to wygląda.

– Tak, coś słyszałam – odpowiadam nonszalancko, jakbym wczoraj po powrocie do domu nie wygooglowała sobie Blanche Ingraham, a potem nie siedziała w ciemnościach mojego pokoju i nie czytała: „Również za zaginioną, najpewniej martwą, uważana jest Bea Rochester, założycielka imperium handlowego Southern Manors”.

I jakbym nie sprawdziła sobie, jak się nazywa jej mąż.

Edward.

Eddie.

Radość, która na mnie spłynęła, kiedy przeczytałam ten artykuł, była ciemna i brzydka – należała do emocji, o których wiedziałam, że są zakazane, jednak nie potrafiłam jej odeprzeć. Jest wolny, jej nie ma, a teraz mam powód, by się z nim często widywać. Powód, by przychodzić do tego cudownego domu na cudownym osiedlu.

– To było takie... smutne – mówi przeciągle Emily, która najwyraźniej postanowiła we wszystko mnie wtajemniczyć. Jej oczy błyszczą. Plotki to tutejsza waluta, a ona wyraźnie ma ochotę pozwolić im popłynąć. – Bea i Blanche były o... takie. – Splata palce wskazujący i środkowy i podnosi je na wysokość mojej twarzy. – Papużki nierozłączki od niepamiętnych czasów. Od piaskownicy.

Kiwam głową, jakbym miała jakiegokolwiek pojęcie, jak to jest być papużką nierozłączką. Lub znać kogoś od piaskownicy.

– Eddie i Bea mają dom nad jeziorem Smith, więc Blanche i Tripp ciągle tam z nimi jeździli. Ale kiedy to się stało, chłopaków nie było.

„Chłopaków”. Jakby była mowa o siódmoklasistach, a nie gościach po trzydziestce.

– Nawet nie wiem, czemu w ogóle wypłynęły na to jezioro, bo Bea wcale za tym nie przepadała. Woda to było hobby Eddiego, ale teraz chyba już nie postawi nogi na pokładzie.

Znowu na mnie patrzy, lekko mrużąc ciemne oczy, a ja wiem, że czeka, aż coś powiem albo chociaż okażę, że jestem wstrząśnięta lub

że nie mogę się doczekać dalszego ciągu. Jeśli słuchacz nie wykazuje zainteresowania, plotkowanie przestaje być frajdą, i właśnie dlatego staram się utrzymać obojętną minę i nie angażować się bardziej, niż gdybyśmy rozmawiały o pogodzie.

Obserwowanie tego, jak Emily stara się wydobyć ze mnie jakąś reakcję, sprawia mi satysfakcję.

– Strasznie to wszystko brzmi – rzucam łaskawie.

Emily zniża głos i nachyla się do mnie jeszcze bliżej.

– Tak naprawdę to nadal nie ustalono, co się stało. Łódź była pośrodku jeziora, nieoświetlona. Wszystkie rzeczy Blanche i Bei zostały w domu. Policja sądzi, że sobie popiły i postanowiły wypłynąć na jezioro, a potem wypadły za burtę. Albo jedna wypadła, a druga próbowała ją wyciągnąć. – Znowu kręci głową. – Bardzo, bardzo przykre.

– To prawda – mówię i tym razem udawanie, że mało mnie to interesuje, przychodzi mi z większym trudem.

Obraz łodzi bujającej się na czarnej wodzie i jednej kobiety drapiącej o śliską burtę, a drugiej wychylonej, żeby ją wyciągnąć, ma w sobie coś takiego...

Ale najwyraźniej nie widać tego po mojej minie, bo uśmiech Emily coraz bardziej przypomina grymas, a sposób, w jaki kobieta wzrusza ramionami, wydaje się automatyczny, jak u robota.

– Cóż, mocno to nami wstrząsnęło. To był cios dla całego osiedla. Tripp jest całkowicie rozwalony, zresztą pewnie sama wiesz.

I znowu nie reaguję. Słowo „rozwalony” nawet w jednej którejś nie opisuje stanu Trippa. Nie dalej jak parę dni temu spytał, czy nie zajęłabym się spakowaniem rzeczy jego żony, bo on nie jest w stanie się do tego zabrać. Miałam odmówić, bo nienawidzę siedzieć u niego dłużej, niż to konieczne, ale zaproponował sporo kasy, więc się zastanawiam.

Teraz po prostu beznamiętnie patrzę na Emily. Ona po chwili wzdycha i mówi:

– No, w każdym razie skoro Eddie bierze psa, to może się pozbierał. Nie tąpnęło nim tak mocno jak Trippem, ale on nie był uzależniony od Bei tak, jak Tripp od Blanche. Przysięgam, gość nie

poszedł do łazienki, jeśli jej wcześniej nie spytał o zgodę. Eddie miał do Bei inny stosunek, ale, Boże, też był nieźle załamany.

Jej ciemne włosy muskają ramię, kiedy wykonuje ruch głową, by znów na mnie spojrzeć.

– Miał fioła na jej punkcie. Zresztą jak my wszyscy.

Zwalczam gorycz podchodzącą mi do gardła i wracam myślami do jedyne go zdjęcia Bei Rochester, jakie znalazłam w sieci. Była uderzająco piękna, ale Eddie też jest przystojny, i to bardziej niż większość tutejszych mężów, więc nic dziwnego, że stanowili wyjątkową parę.

– To na pewno była ogromna strata – mówię, a Emily w końcu pokazuje ręką mnie i psy.

– Pewnie mnie nie będzie, jak wrócicie, więc po prostu zamknij je w boksie w garażu.

Zabieram Majora i Pułkownika na spacer, a kiedy wracamy, SUV-a Emily już nie ma. Małe puchate ciałka trzęsą się z podniecenia, gdy wpuszczam je do boksu. Major i Pułkownik to najmniejsze z psów, które wyprowadzam. I najmniej cieszą się ze spacerów.

– Dobre pieski, dobre – mówię, zamykając zasuwkę. Patrę, jak Major sadowi się na posłaniu, które kosztuje więcej, niż zarabiam w dwa tygodnie.

I właśnie z tego powodu wcale nie mam wyrzutów, gdy odpinam od jego obroży przywieszkę ze srebra wysokiej próby i wkładam ją do kieszeni.

– Wisisz mi kasę za czynsz.

Patrzę na niego z kanapy. Wróciłam raptem dziesięć minut temu i miałam nadzieję, że dziś po południu się z nim rozminę. John pracuje w kancelarii tutejszego kościoła, a prócz tego w Muzycznym Duszpasterstwie Młodych, cokolwiek miałyby to oznaczać – nie wiem, bo w kościele za często nie bywałam – więc nie ma stałego grafiku, tak jak bym sobie tego życzyła. Dziś nie po raz pierwszy zastaję go w domu, w kuchni, opartego biodrem o blat i zajadającego jeden z moich jogurtów.

Nieustannie przywłaszcza sobie moje jedzenie, mimo że je podpisuję i chowam ciągle w nowych miejscach w naszej – maleńkiej, to prawda – kuchni. Jest tak, jakby nic w tym mieszkaniu nie należało do mnie, bo John był tu pierwszy i to on mnie przyjął pod swój dach. Zagląda do mojego pokoju bez pukania, używa mojego szamponu, bierze moje jedzenie, „pożycza” mój laptop. Jest chudy i niski, chuchrowaty jak na faceta, ale czasem mam wrażenie, że zajmuje całą przestrzeń naszych wspólnych sześćdziesięciu metrów.

To kolejny powód, dla którego chcę się stąd wydostać.

Wprowadzając się do Johna, zakładałam, że to będzie coś tymczasowego. Powrót do kogoś, kto zna moją przeszłość, był ryzykowny, uznałam jednak, że warto się u niego zahaczyć na pierwszy miesiąc, może półtora, zanim wymyślę, co dalej.

Minęło jednak pół roku, a ja nadal tu jestem.

Zdejmuję stopy ze stolika, wstaję, wsuwam rękę do kieszeni i wyciągam zwitek dwudziestek, które włożyłam tam po dzisiejszej wizycie w lombardzie.

Nie zawsze pozbywam się rzeczy, które zabieram. Bądź co bądź nie chodzi tylko o pieniądze. Największą przyjemność sprawia mi samo *posiadanie*. Plus świadomość, że właściciele i tak nigdy się nie

zorientują, że czegoś brakuje. Dzięki temu czuję się, jakbym coś wygrała.

Ale na wychodzeniu z psami nie zarabiam dość kasy, by pokryć wszystkie potrzeby, więc dziś złapałam samotny brylantowy kolczyk pani Reed ze stosiku przeróżnych skarbów na mojej komodzie i mimo że nie dostałam za niego tyle, ile był wart, wystarczy mi na moją część czynszu za tę głównianą betonową klitkę.

Wpycham banknoty w dłoń Johna, udając, że nie widzę, jak jego palce próbują pogłodzić moje, jak szukają choćby paru sekund dodatkowego kontaktu. Jestem kolejną rzeczą w tym mieszkaniu, którą John pochłonałby, gdyby mógł, ale oboje udajemy, że tego nie wiemy.

– Jak tam twój biznes spacerowy? – pyta, kiedy wracam na naszą żalozną kanapę.

Trochę jogurtu zostało mu w kąciku ust, ale nie zadaję sobie trudu, żeby mu o tym powiedzieć. Biały kleks będzie pewnie widoczny do końca dnia, zaschnie, stworzy skorupkę, która odstraszy jakąś dziewczynę ze Studenckiego Klubu Baptistów, gdzie John spędza parę wieczorów w tygodniu jako wolontariusz.

Już czuję z nią solidarność – z tą nieznaną dziewczyną, moją siostrą w Nieprzepartej Odrazie do Johna Riversa.

Może do tej myśli się uśmiecham, siadając na kanapie i wyrywając spod siebie wiekowy pled robiony na szydełku.

– W zasadzie super. Zdobyłam paru nowych klientów, więc jestem dość zajęta.

Łyzeczka Johna skrobie o dno plastikowego kubeczka z jogurtem – moim jogurtem – a John mierzy mnie wzrokiem. Ciemne włosy beładnie spadają mu na jedno oko.

– Klientów – prycha. – To brzmi, jakbyś była prostytutką.

Tylko Johna stać na próbę wywołania u dziewczyny wstydu z powodu zajęcia tak przyzwoitego jak wychodzenie z psami, ale mam to w dupie. Jeśli wszystko nadal będzie się układać tak dobrze jak teraz, to niedługo przestanę z nim mieszkać. Zdobędę własne lokum z własnymi meblami i własnym pieprzonym jogurtem, który faktycznie uda mi się zjeść.

– Może jestem – odpowiadam i biorę pilota ze stolika. – Może właśnie tym się zajmuję, a tobie tylko mówię, że wychodzę z psami.

Przekręcam się na kanapie, by móc na niego patrzeć.

Nadal stoi przy lodówce, ale głowę ma teraz spuszczoną i mierzy mnie nieufnym spojrzeniem. To sprawia, że mam ochotę posunąć się jeszcze dalej. Więc się posuwam.

– A pieniądze, które masz w kieszeni, mogłam na przykład dostać za zrobienie komuś lodu. Ciekawe, co by na to powiedzieli baptyści.

John się krzywi, kiedy to słyszy, i sięga ręką do kieszeni – albo żeby dotknąć pieniędzy, albo żeby zatuszować swoją reakcję na wzmiankę o lodzie.

„Eddie by się nie skrzywił na ten żart”, myślę nagle. „Eddie by się zaśmiał. Jego oczy zrobiłyby to co zawsze – stałyby się jeszcze bardziej niebieskie, i to dlatego, że go zaskoczyłam. Jak wtedy, kiedy zwróciłam uwagę na książki”.

– Powinnaś pójść ze mną do kościoła – mówi. – Na przykład dziś po południu.

– Pracujesz w kancelarii – mówię – a nie w kościele. Nie wiem, po co miałabym się przyglądać, jak archiwizujesz stare biuletyny parafialne.

Normalnie nie jestem wobec niego tak otwarcie niegrzeczna, wiem, że mógłby mnie stąd wykopać, ponieważ formalnie to miejsce w całości należy do niego, ale jakoś nie mogę się powstrzymać. Ma to związek z tamtym porankiem w kuchni Eddiego. Już tyle razy zaczynałam od nowa, że potrafię rozpoznać, kiedy coś po prostu wskakuje na swoje miejsce, i myślę – wiem – że mój czas w tej głównianej klitce z tym żalonym pajacem dobiega końca.

– Ale z ciebie jędra – mruczy naburmuszony John, ale wyrzuca kubeczek po jogurcie, zbiera swoje rzeczy i wyślizguje się z pokoju.

Kiedy zostaję sama, przeglądam szafki, poszukując czegokolwiek do jedzenia – czegoś, czego on jeszcze nie wziął. Szczęśliwie zostały mi dwa opakowania gotowego makaronu z serem, więc przygotowuję sobie podwójną porcję, wrzucam zawartość do miski i instaluję się na kanapie z laptopem, by kontynuować śledztwo w sprawie Bei Rochester.

Nie zatrzymuję się na długo nad artykułami o jej śmierci. Słyszałam plotki i mówiąc szczerze, sytuacja wydaje się dość oczywista – dwie panie popiły sobie w wypasionym domku nad jeziorem, wsiadły na wypasioną łódkę i zginęły bardzo wypasioną śmiercią. Smutne, ale bez przesady, tragedią bym tego nie nazwała.

Nie. Tym, czego chcę się dowiedzieć o Bei Rochester, jest jej *życie*. Co sprawiło, że zapragnął jej facet taki jak Eddie. Kim była, jak mógł wyglądać ich związek.

Pierwszą stroną, na którą wchodzę, jest strona jej firmy.

Southern Manors.

– Firma z listy Fortune 500 i nic nie zapowiada, żeby to był żart – mruczę, nabijając na widelec kolejne kolanko makaronu.

Na stronie głównej zamieszczono list, a ja natychmiast skroluję w dół, na koniec, by sprawdzić, czy autorem jest Eddie.

Nie, nie on. Widzę inne imię, Susan, to zapewne prawa ręka Bei. Pełno tam oczywistości, jakich można się spodziewać po śmierci założycielki firmy. Że smutek, że strata, że firma będzie działać dalej, kontynuować jej dziedzictwo itp., itd.

Ciekawe, cóż to niby za wielkie dziedzictwo – sprzedaż o wiele za drogie fikuśnych pierdół.

Klikam w kolejne zakładki i przyglądam się kosztownym słojom, bluzom z dyskretnym napisem HEY, Y'ALL! w lewym rogu, po pięćset dolców za sztukę, srebrnym sztućcom do sałaty o uchwytach w kształcie pszczoł.

Na tej stronie jest tyle rzeczy w drobną krateszkę, że chyba eksplodowała tu Dorotka z Krainy Oz, ale nie mogę przestać ich oglądać, nie mogę przestać klikać w kolejne przedmioty.

Smycze dla psów z monogramem. Konewki z ręcznie klepanej blachy. Wielka szklana misa w kształcie jabłka, które ktoś przed chwilą nadgryzł.

Wszystko to drogie, lecz bezużyteczne badziewie – pełno tego na stołach z prezentami podczas uroczystości ślubnych śmietanki towarzyskiej Birmingham. W końcu paroma kliknięciami wydostaję się z orgii drogich ozdób, wracam na stronę główną i jeszcze raz przyglądam się zdjęciu Bei Rochester.

Stoi przed stołem z postarzanego drewna w ciepłym odcieniu. Chociaż nie byłam w jadalni Rochesterów, od razu poznaję, że to musi być u nich, że gdybym zajrzała trochę w głąb domu, zobaczyłabym to właśnie miejsce. W jadalni panuje ta sama atmosfera co w salonie – nic nie jest do siebie idealnie dopasowane, a jednak wszystko świetnie ze sobą współgra, od aksamitnych pokrowców w kwiatowy wzór na ośmiu krzesłach po turkusowo-pomarańczową dekorację pośrodku stołu, kontrastującą z zasłonami w kolorze bakłazana.

Bea też jest uderzająca – jej ciemne, lśniące włosy obcięte na dłuższego boba kołyszą się tuż nad ramionami. Stoi z rękami założonymi na piersi, nieco przekrzywioną głową i uśmiecha się do obiektywu. Szminka na jej ustach ma najpiękniejszy odcień czerwieni, jaki w życiu widziałam.

Bea jest ubrana w granatowy sweter z cieniutkim złotym paskiem w talii i ołówkową spódnicę w granatowo-białą kratkę, w której wygląda uroczo i zarazem seksownie. Prawie od razu zaczynam jej nienawidzić.

I od razu chcę się o niej dowiedzieć wszystkiego.

Googluję dalej. Makaron z serem tężeję w miseczce na podrapanym i pełnym kółek po szklankach i kubkach stoliku Johna, moje palce szybko poruszają się po klawiaturze, a oczy i umysł chłoną fakty dotyczące Bei Rochester.

Niestety jest ich za mało, by mnie zadowolić. Bea nie była żadną sławą. Zwracano uwagę bardziej na samą firmę, na oferowany asortyment niż na Beę, która trzymała się z dala od świateł reflektorów.

Znalazłam tylko jeden wywiad, udzielony pismu „Southern Living” – jasne, no bo jakiemu innemu. Na zdjęciu Bea siedzi przy stole w innej jadalni – serio, czy ta kobieta była kiedyś w innym pomieszczeniu? – tym razem ubrana na żółto, z ceramicznym kubkiem w stokrotki w dłoni, a obok niej stoi kryształowa misa pełna cytryn.

Notka biograficzna jest totalnie napompowana. Bea wychowała się w Alabamie, jeden z jej przodków był w dziewiętnastym wieku senatorem, rodzina miała wspaniały dom w miejscu, które nazywało

się Calera, ale kilka lat temu spłonął. Jej matka niestety zmarła niedługo po tym, jak Bea otworzyła Southern Manors, a córka „robiła wszystko, by zachować jej pamięć”.

Przebiegam oczami przez szczegóły, które już znam – studia w Randolph-Macon College, powrót do Birmingham, rozwój firmy – aż wreszcie natrafiam na imię Eddiego.

Trzy lata temu podczas urlopu na Hawajach Bea Mason poznała Edwarda Rochestera. „Oczywiście nie szukałam związku”, śmieje się Bea. „Chciałam po prostu posiedzieć w spokoju na plaży, przeczytać parę książek i nacieszyć się pysznymi mrożonymi drinkami. Ale kiedy zjawił się Eddie...”

Bea zawiesza głos i lekko kręci głową, oblewając się wdzięcznym rumieńcem. „To było jak trąba powietrzna, ale zawsze powtarzam, że małżeństwo z Eddiem to jedyna impulsywna decyzja w moim życiu. Na szczęście okazało się, że to również najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam”.

Wzdycham i odsuwam się od laptopa, moje plecy protestują, a nogi mam zdrętwiałe, bo za długo na nich siedziałam. Kocyk, który mam na udach, śmierdzi tanim detergentem, więc go odrzucam, marszcząc nos.

Hawaje.

Nie rozumiem, czemu to tylko pogarsza sprawę. Dlaczego wolałabym, żeby się poznali w kościele, country clubie lub którymś z pięciu tysięcy nudnych i bezpiecznych miejsc w okolicy?

„Bo nie chcę, żeby to było coś wyjątkowego”, myślę. „Żeby ona była wyjątkowa”.

Ale jest. Piękna i inteligentna. Do tego milionerka. Kobieta, która stworzyła coś całkowicie z niczego i zawdzięczała to wyłącznie sobie, nawet jeśli miała zaplecze w postaci bogatej rodziny i pochodziła ze środowiska, w którym osiągnąć sukces jest dużo, dużo łatwiej niż w takim, z którego wywodzę się ja.

Gapię się jeszcze na zdjęcie, zastanawiam się, jak brzmiał jej głos, jakiego była wzrostu, jak wyglądali z Eddiem jako para.

Zakładam, że cudownie. Seksownie. Ale czy się do siebie uśmiechali? Czy dotykali się ze swobodą, czy on obejmował ją w pasie, a ona kładła mu rękę na ramieniu? Czy były potajemne pieszczoty, muskanie rąk pod stołem, sekretne sygnały, które znali tylko oni?

Musiały być. O to chodzi w małżeństwie – choć większość małżeństw, które znam, nie jest warta funta kłaków.

A więc Bea Rochester była doskonała. Doskonała bizneswoman, doskonała kobieta, doskonała żona. Pewnie nawet nie słyszała o makaronie z serem z torebki ani nigdy nie była w lombardzie.

Ale ja miałam nad nią pewną przewagę. Nadal żyłam.

Eddiego nie ma, kiedy następnego dnia rano wyprowadzam Adelkę. Jego samochód zniknął z garażu. Kiedy zabieram szczeniaka z ogrodu za domem, wmawiam sobie, że nie jestem rozczarowana.

Osiedle Thornfield Estates leży trochę nad miasteczkiem Mountain Brook, gdzie wcześniej pracowałam, więc dziś postanawiam przejść się tam na spacer. Adelka z zadowoleniem drepcze obok mnie, kiedy opuszczamy osiedle. Tłumaczę sobie, że idę tam, bo ile można się snuć po tych samych ulicach, ale prawda jest taka, że chcę, aby nas zauważono. Aby ludzie, którzy nie wiedzą, że zajmuję się wyprowadzaniem psów, zobaczyli mnie z psem Eddiego. Czyli żeby połączyli nas sobie w głowach. Eddiego i mnie.

Z tego powodu, przechodząc obok Roasted, a potem obok małego butik, w którym – teraz już wiem – sprzedają to samo co w Southern Manors, tyle że to podróbki, lekko zadzieram brodę. Mijam trzy sklepiki z kolorowymi patchworkowymi torbami na wystawach i zastanawiam się, ile takich toreb leży w szafach osiedla Thornfield Estates.

Jak by to było – być kobietą, która wydaje dwieście pięćdziesiąt dolarów na brzydką torbę tylko dlatego, że może?

Adelka biegnie obok mnie. Jej pazurki stukają o chodnik. Już mam skręcić za róg przy księgarni, gdy słyszę:

– Jane?

To pani McLaren. Wychodzę z jej dalmatynką Lolą w każdą środę, a teraz stoi przede mną z kubkiem kawy z Roasted w ręku. Podobnie jak Emily Clark, połowę czasu spędza w wymyślnym stroju do jogi, ale jest niższa i bardziej okrągła zarówno od niej, jak i od pani Reed. Jej twarz okalają blond loki mniej więcej w czterech odcieniach.

– Co tu robisz? – pyta z uśmiechem, a ja oblewam się niespodziewanym rumieńcem, jakbym coś przeszkrobała.

– Tylko mała zmiana scenerii – odpowiadam i ze zmieszaniem wzruszam ramionami. Mam nadzieję, że pani McLaren da mi spokój, ale nie, podchodzi bliżej i spuszcza wzrok na Adelkę.

– Skarbie, wyprowadzanie psów poza osiedle to nie jest dobry pomysł. – Jej słowa są łagodne, przesłodzone, jak nagana udzielona przez filtr waty cukrowej.

Nienawidzę jej za to. Zwraca się do mnie, jakbym była dzieckiem. Albo gorzej – służącą, która zabłąkała się poza strzeżone podwórko.

– Nie jesteśmy daleko od domu – odpowiadam.

Adelka piszczy, ciągnie na smyczy, zamiata chodnik ogonem.

Od domu.

Na nadgarstku pani McLaren dynda papierowa torba z logo jednego z małych butików, które właśnie minęłam. Zastanawiam się, co jest w środku, korci mnie, by rzucić okiem, co kupiła, bo dzięki temu, gdy zobaczę ten przedmiot leżący gdzieś u niej w domu, będę mogła go zabrać. Tak, wiem, to głupia, małostkowa reakcja, która wzbiera we mnie mimo woli, ale jest i bije jak puls pod moją skórą. Cokolwiek ta jędra sobie dziś kupiła, nie będzie się tym cieszyć. Za to, że mnie dziś tak poniżyła.

– Okej, to może już biegnijcie z powrotem, co? – Wysoki ton, jak pytanie. – I skarbie, nie przyprowadzaj tu nigdy Loli, dobrze? Ona jest taka pobudliwa, nie chciałabym, żeby znalazła się wśród tego całego... – macha ręką, torba kiwa się na jej nadgarstku – zamętu.

Widziałam dziś raptem ze trzy samochody, a jedynym zamętem, jaki powstał, jest to, że pani McLaren zatrzymała mnie jak jakiegoś przestępcę, który ośmielił się wyprowadzić psa poza bramę Thornfield.

Ale kiwam głową. Z uśmiechem. Przetykam jad, który już, już ma wypłynąć mi z ust – mam w tym wprawę – i wracam do Thornfield Estates, do domu Eddiego.

Wchodzę. Jest tu chłodno i cicho. Schylam się, by odpiąć smycz Adelki. Jej pazurki szybko stukają na marmurze, a potem na drewnie w drodze do przesuwanych drzwi tarasowych. Podchodzę, otwieram je i wypuszczam ją na dwór.

W tym momencie powinnam odwiesić smycz na haczyk przy drzwiach, może zostawić Eddiemu karteczkę, że byliśmy na

spacerze, a pies jest w ogrodzie, i wyjść. Wrócić do betonowej klitki na St. Pierre Street i znowu zacząć się zastanawiać nad tym, czy nie zdawać na studia, może przejrzeć różności, skarby pozabierane z komód, blatów w łazienkach i nocnych stolików.

Nie robię tego jednak. Przechodzę do salonu, w którym stoi ta jaskrawa, różowoczerwona kanapa i kwieciste fotele, w którym półki uginają się pod ciężarem książek, i patrzę.

Przynajmniej raz nie rozglądam się za czymś, co mogłabym gwizdnąć. Nie mam pojęcia, czy to, że nie chcę stąd niczego ukraść, mówi coś o mnie, o Eddiem lub o tym, co mogę do niego czuć, ale nie chcę. Chcę go po prostu *poznać*. Czegoś się o nim dowiedzieć.

Prawdę mówiąc, nie. Nie jestem ze sobą szczerą. Chcę zobaczyć jego zdjęcia z Beą.

W salonie żadnych nie ma, ale na ścianach widzę miejsca, w których musiały kiedyś wisieć. Gzyms kominka też jest dziwnie pusty. Sądzę, że kiedyś stało tu coś więcej niż para srebrnych świeczników.

Idę korytarzem. Podeszwy piszczą na posadzce. Otacza mnie pustka.

Na górę.

Podłoga jest drewniana, gładka. Tu nie ma niezapełnionych przestrzeni, wszędzie widzę piękne artystyczne przedmioty.

Na podeście schodów stoi stolik ze szklaną misą, którą rozpoznaję z Southern Manors – to ta w kształcie nadgryzionego jabłka. Delikatnie przesuwam po niej palcami i ruszam dalej, teraz krótszym biegiem schodów prowadzącym na piętro.

Panuje tu mrok – lampy są pogaszone, a poranne słońce nie weszło jeszcze na tyle wysoko, by jego światło wpadało przez okna. Po obu stronach korytarza widzę drzwi, ale żadnych nie próbuję otwierać. Kieruję się za to do małego drewnianego stolika pod okrągłym witrażowym oknem na końcu korytarza.

Stoi na nim tylko jedna rzecz – fotografia w srebrnej ramce. Czyli dokładnie to, co bardzo chcę zobaczyć i czego zarazem wolałabym nigdy nie oglądać.

Byłam ciekawa, jak wyglądali razem Bea i Eddie. Teraz już wiem. Pięknie.

Ale nie tylko to. Jest mnóstwo pięknych ludzi, zwłaszcza na osiedlu, gdzie każdy może sobie pozwolić na wszelkie wygody, więc nie chodzi tylko o jej lśniące włosy i idealną figurę, biały uśmiech i markowy kostium kąpielowy. Chodzi o to, że wyglądają tak, jakby pasowali do siebie nawzajem i do tego miejsca. Do boskiej plaży, na której Bea uśmiecha się do obiektywu, a Eddie – do niej.

Każde z nich odnalazło tę właściwą osobę. To, czego większość z nas szuka i nigdy nie znajduje, to, co – jak zawsze zakładałam – nie istnieje, bo jak to możliwe, by na całym wielkim świecie tylko jedna jedyna osoba była stworzona właśnie dla ciebie? Jednak Bea była stworzona dla Eddiego, teraz to widzę, i nagle czuję się bardzo głupia i mała. Jasne, że ze mną flirtował, ale najpewniej należy do mężczyzn, którzy mają to w naturze. On doświadczył w życiu *tego*. Z pewnością nie mógł chcieć mnie.

– To było na Hawajach.

Odwracam się na pięcie, klucze wypadają mi z nagle zdrętwiałych palców.

Eddie stoi w korytarzu przy schodach, oparty o ścianę, z nogą luźno przerzuconą w kostce nad drugą. Dziś ma na sobie dżinsy i niebieską koszulę, która wygląda na zwyczajną, codzienną, a kosztuje pewnie tyle, ile w dwa tygodnie zarobiłabym w kawiarni lub na wychodzeniu z psami. Zastanawiam się, jak to jest: mieć tyle forsy, że nawet nie przyjdzie ci do głowy, że jedna twoja koszula kosztuje tyle, ile czyjś czynsz.

Okulary słoneczne dyndają mu w palcach. Eddie wskazuje ruchem brody stolik.

– To zdjęcie – mówi, jakbym nie wiedziała, o co mu chodzi. – To ja z Beą na Hawajach rok temu. Tam się w zasadzie poznaliśmy.

Z trudem przełykam ślinę. Wsuwam ręce do tylnych kieszeni dżinsów. Rozprostowuję plecy.

– Szukałam łazienki – mówię, a on się lekko uśmiecha.

– Jasne, jasne – mówi, odpycha się od ściany i podchodzi bliżej. Korytarz jest szeroki i przestronny, ale nagle, kiedy Eddie się zbliża, jakby maleje, staje się ciaśniejszy. – Reszta to były przeważnie zdjęcia ze ślubu i parę z budowy tego domu. Ale akurat to... –

Zawiesza głos, podnosi ramkę i przygląda się zdjęciu. – Nie wiem. Po prostu nie mogłem go wyrzucić.

– Wyrzuciłeś pozostałe? – pytam. – Nawet ślubne?

Eddie odstawia fotografię na stolik, ramka cicho stuka.

– Konkretnie to spaliłem. W ogrodzie za domem, trzy dni po wypadku.

– Tak mi przykro – szepczę.

Próbuję nie wyobrazić sobie Eddiego przy ognisku, w którym kurczy się i wygina twarz Bei. Wtedy on na mnie spogląda. Jego niebieskie oczy lekko się mrużą.

– Nie sądzę, Jane – mówi, a mnie zasycha w ustach.

Serce mi łomocze. Żałuję, że weszłam na górę, i zarazem cieszę się, że weszłam, bo w przeciwnym razie nie stalibyśmy tu teraz, a on by tak na mnie nie patrzył.

– To okropne, co się stało – zaczynam znowu, a on kiwa głową, ale jego dłoń już się podnosi, by ująć mnie za łokieć. Jego palce obejmują moją zgiętą rękę, a ja gapię się na miejsce, którego dotykają, gapię się na jego dłoń na mojej skórze.

– Okropne – powtarza. – Ale nie jest ci przykro, bo to, że jej nie ma, oznacza, że ty możesz tu być. Ze mną.

Chcę zaprotestować, bo to straszne, co sobie o mnie pomyślał. Straszne, że taka *jestem*. Ale on ma rację – cieszę się, że tamtej nocy Bea Rochester razem z Blanche Ingraham były na łodzi. Cieszę się, bo to znaczy, że Eddie jest teraz sam.

Jest wolny.

Fakt, że mnie rozgryzł, powinien mnie wprawić w zakłopotanie, ale jest inaczej – wprawia w oszołomienie.

– Nie jestem z tobą – sprzeciwiam się, bo to przecież prawda. Może tu stoimy, może on trzyma mnie za łokieć, ale nie jesteśmy razem. Między Rochesterami tego świata a mną rozpościera się cholernie wielka przepaść.

Ale wtedy on się uśmiecha – to ten powolny uśmiech, który unosi tylko jeden kącik jego ust i sprawia, że Eddie wygląda młodziej i bardziej uroczo.

– Zjedz dziś ze mną kolację – mówi.

Podoba mi się to. Że nie pyta.

– Dobrze – słyszę własną odpowiedź. Przychodzi mi tak łatwo.
Jakbym właśnie przestąpiła przez jakiś próg.

Nie pozwalam mu po sobie przyjechać.

Upadłabym na głowę, gdybym się zgodziła, by zobaczyć, gdzie naprawdę mieszkam, a na myśl, że mógłby natknąć się na Johna, przechodzą mnie ciarki. Nie, chcę istnieć wyłącznie w świecie Eddiego, wskoczyć do niego w pełni uformowana, bez przeszłości, którą dałoby się poznać.

Taka właśnie jest prawda.

Spotykamy się więc w English Village – części Mountain Brook, gdzie jeszcze nie byłam, choć słyszałam, jak Emily o niej wspomina. W Mountain Brook jest sporo dzielnic: Cahaba Village, Overton Village oraz samo Mountain Brook Village. Dla mnie nazywanie poszczególnych dzielnic tej samej miejscowości słowem *village*, czyli „wioska”, jest głupotą. Czemu nie mówicie na nie po prostu „dzielnice”, pretensjonalne dupki, nie mieszkamy przecież na angielskiej prowincji! No ale cóż ja mogę wiedzieć.

Parkuję w sporym oddaleniu od francuskiego bistro, gdzie Eddie zarezerwował stolik, i modłę się w duchu, by po kolacji nie upierał się, żeby odprowadzić mnie do samochodu. Spotykamy się pod markizą w złoto-czarne pasy, przy wejściu do restauracji.

Eddie ma na sobie grafitowe spodnie i białą koszulę, co miło komponuje się z moją sukienką w głębokim kolorze bakłażana. Czuję na plecach przyjemne ciepło jego ręki, gdy idziemy za obsługą do stolika.

Półmrok, białe obrusy, butelka wina – te rzeczy przyciągają moją uwagę od razu. A także to, z jaką swobodą Eddie zamawia całą butelkę, podczas gdy ja ciągle przyglądam się cenom za kieliszek i staram się wybrać coś, co będzie brzmiało w miarę wykwintnie, lecz jednocześnie nie porazi ceną.

Wino, które wybiera, kosztuje ponad sto dolarów. Policzki płoną mi na myśl, że jestem dla niego tyle warta. Wtedy w ogóle

odkładałam menu i z zadowoleniem proponuję, by zamówił coś za mnie.

– A jak wezmę coś, czego nie lubisz? – pyta z uśmiechem.

Jego cera nie wydaje się aż tak blada jak pierwszego dnia. Niebieskich oczu nie okalają czerwone obwódki. Zastanawiam się, czy to może ja go tak uszczęśliwiłam. Ta myśl oszałamia – odurza bardziej niż wino.

– Ja lubię wszystko – odpowiadam. Nie chciałam, by zabrzmiało to dwuznacznie, ale tak brzmi, więc kiedy dołączki w jego policzkach się pogłębiają, zastanawiam się, co jeszcze mogłabym powiedzieć, żeby znowu tak na mnie spojrział.

Wtedy on spuszcza wzrok trochę niżej.

W pierwszej chwili myślę, że patrzy na głębokie wycięcie mojego dekoltu, ale Eddie mówi:

– Ten naszyjnik.

O w dupę.

Postąpiłam idiotycznie, wkładając go. Nierozważnie. Rzadko się tak zachowuję, ale kiedy przed wyjściem spojrzałam w lustro, wydało mi się, że wyglądam nieciekawie bez żadnej biżuterii. Wisiorek zabrany z domu pani McLaren to nic wymyślnego, nie ma brylantów ani innych drogich kamieni, to po prostu srebrny łańcuszek ze złoto-srebrną zawieszka.

Pszczołką – dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę. Ogarnia mnie przerażenie, skręcam palcami serwetkę.

– Dostałam od znajomej – rzucam niby lekko, ale już dotykam zawieszki, czuję jej ciepło na skórze.

– Śliczna – mówi i spuszcza wzrok. – Firma mojej zmarłej żony takie produkuje, więc...

Eddie milknie. Jego palce znów zaczynają bębnić w blat.

– Bardzo mi przykro – odpowiadam. – Słyszałam... słyszałam o Southern Manors i naprawdę...

– Nie mówmy o tym. O niej. – Gwałtownie podrywa głowę, na jego twarzy znów widzę uśmiech, ale nie ten prawdziwy.

Mam ochotę sięgnąć przez stół i wziąć go za rękę, ale to jeszcze nie ten etap, prawda? Chcę go wypytać o Beę i zarazem zapomnieć, że istniała. Chcę tego jednocześnie.

Chcę.

Chcę.

Kiedy zbliża się kelner z naszym drogim winem, uśmiecham się.

– W takim razie pomówmy o tobie.

Eddie unosi brwi i odchyła się na oparcie.

– Co chcesz wiedzieć? – pyta.

Czekam, aż kelner naleje trochę wina do kieliszka Eddiego, potem

– aż Eddie upije łyczek, skinie głową i gestem poprosi kelnera o napełnienie naszych kieliszków. Do tej pory widziałam to tylko w filmach albo w reality show o bogatych żonach, a dziś sama tego doświadczam. Teraz należę do ludzi, którzy jadają tego typu kolacje.

Kiedy nasze kieliszki są już pełne, naśladuję mowę ciała Eddiego – odchyłam się na oparcie.

– Skąd pochodzisz?

– Z Maine – odpowiada swobodnie. – Z małego miasteczka, Searsport. Moja mama nadal tam mieszka, brat też. Ale ja wyjechałem, kiedy tylko się dało. Skończyłem college w Bangor. – Eddie pije wino i patrzy na mnie. – Byłaś kiedyś w Maine?

Kręcę głową.

– Nie. Ale jako nastolatka czytałam dużo Stephena Kinga, więc mam wrażenie, że znam to miejsce dość dobrze.

Śmieje się. Tak jak miałam nadzieję.

– Cóż. Nie ma tam za wiele cmentarzy zwierząt i morderczych klaunów, ale poza tym mniej więcej wszystko się zgadza.

Lekko nachylam się nad blatem i opieram ręce na stole. Nie umyka mi to, że jego wzrok przesuwają się z mojej twarzy na dekolt. To przelotne spojrzenie, przywykłam, że mężczyźni mnie takimi omiatają, ale ze strony Eddiego nie wydaje mi się obleśne. Nie sprawia mi przykrości. Przeciwnie, podoba mi się, kiedy tak na mnie patrzy.

Kolejna nowość.

– Przeprowadzka tutaj musiała być dla ciebie wielką zmianą – mówię, a on wzrusza ramionami.

– Trafiłem tu dość późno. Przedtem pracowałem ze znajomym, często przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, jeździliśmy po całym Środkowym Zachodzie. Przez jakiś czas mieszkałem w Kalifornii.

Tam zrobiłem uprawnienia budowlane. Myślałem, że już się stamtąd nie ruszę, aż tu nagle pojechałem na urlop i...

Kolejny raz zawiesza głos, a wtedy od razu się wtrącam – nie chcę znów tej wymownej ciszy.

– Nie myślałeś, żeby teraz wrócić?

Jest zdziwiony. Dolewa sobie wina.

– Do Maine?

– Albo do Kalifornii. – Wzruszam ramionami.

Ciekawe, czemu ciągle tu mieszka, w miejscu, które niesie tyle złych wspomnień, do którego chyba już zupełnie nie pasuje, w którym mimo majątku i fajnych ciuchów bardzo się wyróżnia.

– No cóż, tu się mieści Southern Manors – odpowiada. – Ja mógłbym zajmować się budowlanką gdziekolwiek, ale Bea zawsze chciała, żeby jej firma działała w Alabamie, więc to byłaby... czy ja wiem? Zdrada czy coś. Przenieść ją gdzie indziej. Albo w ogóle sprzedać. – Jego rysy trochę łagodnieją. – To jej spuścizna. Czuję się zobowiązany ją chronić.

Kiwam głową. Cieszę się, że akurat w tej chwili kelner przynosi jedzenie i rozmowa może umrzeć śmiercią naturalną. Już wiem, jak ważne jest dla niego Southern Manors. Podczas prywatnego śledztwa w Google’u znalazłam parę artykułów o tym, jak to kilka miesięcy po zaginięciu Bei Eddie starał się o to, by sąd uznał ją za zmarłą w świetle prawa. To miało jakiś związek z Southern Manors. Było tam mnóstwo żargonu biznesowego i prawniczego, którego nie rozumiałam, ale sedno pojęłam – Bea musiała formalnie nie żyć, by Eddie mógł przejąć jej firmę i prowadzić ją tak, jak ona by sobie tego życzyła. Zastanawiałam się, co wtedy czuł – formalnie, ostatecznie potwierdzając śmierć żony.

Eddie wbija nóż w stek, podnosi na mnie wzrok i lekko się uśmiecha.

– Dość już o mnie. Teraz chcę usłyszeć coś o tobie.

Produkuję kilka uroczych anegdotek, odmalowuję życie Jane w korzystnym świetle. Niektóre z tych historyjek są prawdziwe (liceum w Arizonie), inne półprawdziwe, a jeszcze inne podkradzione znajomym.

Ale chyba go zadowalają. Eddie uśmiecha się i kiwa głową przez cały posiłek, a kiedy prosi o rachunek, jestem o wiele bardziej odprężona i pewna siebie, niż się spodziewałam.

Po wyjściu z restauracji bierze moją rękę i wsuwa ją sobie w zgięcie łokcia.

To absurd, wiem. Ja, tutaj, z nim. Pod rękę. Ja w jego życiu.

Ale jestem tu i kiedy wychodzimy na ulicę, unoszę głowę i przysuwam się bliżej niego. Skraj mojej spódnicy muska jego uda.

Wieczór jest ciepły i wilgotny, włosy falują mi wokół twarzy, światło latarni odbija się w kałużach i na asfalcie. Zastanawiam się, czy Eddie mnie pocałuje.

Czy zaprosi mnie na noc.

Zamierzam się zgodzić.

Zamówił ciasto na wynos i myślę, że zjemy je razem w jego cudownej kuchni. Albo w łóżku. Czy nie po to je kupił?

Myślę, jak to będzie wejść do tego domu nocą, jak pięknie wnętkowe lampy będą rozpraszać mrok. Jak będzie wyglądał ogród za domem, kiedy wstanie słońce. Jak będzie pachnieć pościel, jaka będzie w dotyku. Jak to będzie – obudzić się w tym domu.

– Nic nie mówisz – odzywa się Eddie i przyciąga mnie do siebie. Przekrzywiam głowę, żeby się do niego uśmiechnąć.

– Mogę być szczerą?

– A co? Mam szansę cię powstrzymać?

Lekko szturcham go w odpowiedzi i czuję, jaki jest przy mnie mocny i ciepły.

– Tak sobie myślałam, że już od dawna nie byłam na randce.

– Ja też – odpowiada.

W świetle latarni wydaje się taki przystojny, że aż kłuje mnie w sercu. Pocieram palcami miękki materiał jego kurtki – drogi, porządny. Przyjemniejszy niż cokolwiek, co sama posiadam.

– Ja... – zaczynam, a on pochyla głowę. Myślę, że mnie pocałuje, właśnie tu, na ulicy w dzielnicy English Village, gdzie każdy może nas zobaczyć, ale nagle czar pryska, bo ktoś go woła.

– Eddie!

Odwracamy się prawie jednocześnie i stajemy twarzą w twarz z mężczyzną, który wygląda jak Tripp Ingraham, Matt McLaren,

Saul Clark czy którykolwiek z pastelowych mieszkańców Thornfield Estates.

Robi minę, przybiera na twarz charakterystyczny wyraz współczucia, w którym usta wyginają się w dół, a brwi tworzą łuki na czole. W ulicznym świetle jego rzędzące blond włosy wydają się rude, a kiedy podaje Eddiemu rękę, dostrzegam błysk obrączki na palcu.

– Dobrze cię widzieć, stary – mówi. – Tak mi przykro z powodu Bei.

Eddie sztywnieje.

– Chris – mówi, potrząsając dłonią tamtego. – Miło cię widzieć. Dzięki. I wielkie dzięki za kwiaty.

Chris tylko kręci głową. Ma na sobie jasnoszary garnitur. Tuż za nim, przy krawężniku, stoi mercedes. Na miejscu pasażera siedzi kobieta; patrzy na nas, czuję na sobie jej wzrok.

Nie obciążam sukienki – jedynej ładnej, jaką mam – ale palce mnie świerzbią, żeby to zrobić.

– Coś okropnego, straszna sprawa – mówi Chris, jakby Eddie sam nie wiedział, że śmierć jego żony była straszna.

Eddie krzywi się i kiwa głową.

– Jeszcze raz dzięki – mówi, bo co można powiedzieć. Chyba nic.

Wtedy Chris rzuca mi spojrzenie.

– Była świetną babką – dodaje, a ja czuję, jak pytania wypalają mu dziurę w podniebieniu.

Kim, u diabła, jestem? Czy to randka? Czy Eddie naprawdę zamierza zastąpić Beę mną – tą bladą, zwyczajną dziewczyną w sukience o rozmiar za dużej?

– To prawda – odpowiada Eddie, a ja czekam, czekam na chwilę, kiedy mnie przedstawi.

Chris też na nią czeka, ale chwila mija, wypełniona skrzępowanym uśmiechem Eddiego, który w końcu klepie Chrisa w ramię.

– Do zobaczenia – mówi. – I pozdrów Beth.

Ruszamy dalej, ale od spotkania z Chrisem, od momentu, gdy imię „Bea” zawisło między nami jak zjawą, Eddie na mnie nie patrzy.

Nie proponuje, że odprowadzi mnie do samochodu.

I nie całuje mnie na pożegnanie.

W domu Ingrahamów wszystko jakby zastygło w oczekiwaniu na powrót Blanche.

Wchodzę tam następnego dnia rano. Czuję się ciężka i powolna, wczorajsza nieudana randka ciąży mi na sercu jak kamień. To, że właśnie dziś umówiłam się z Trippem na pakowanie rzeczy Blanche, w jakiś sposób pasuje do sytuacji.

Wczoraj duch Bei, dziś duch Blanche.

Od czasu gdy zaginęła, minęło wiele miesięcy, ale jedna z jej torebek nadal leży na stoliku w holu. Obok niej kupka biżuterii, zwinięty naszyjnik, kilka bezładnie rzuconych pierścionków. Wyobrażam sobie, jak wraca z kolacji, zdejmuje to wszystko z siebie i niedbale odkłada na szeroką szklaną podstawę lampy, a buty strząsa z nóg prosto pod stolik.

Baleriny w różową kratkę leżą właśnie tam, pod stolikiem. Blanche zginęła w lipcu, więc wyobrażam ją sobie w tych butach, różowej bluzce i białych spodniach do pół łydki. Tutejsze kobiety w lecie wyglądają jak kwiaty, są jaskrawymi plamami kolorów na tle szokująco zielonych trawników i oślepiająco niebieskiego nieba. Zupełnie inaczej sprawa się miała na wschodzie, gdzie dorastałam. Tam najszykowniejszym kolorem był nieodmiennie czarny. A tu, jak sądzę, na pogrzeb chodzi się na lawendowo, na ślub zaś – w jaskrawej czerwieni.

Trippowi nigdy nie próbowałam niczego gwizdnąć. Uwierzcie mi – zauważyłby.

W przeciwieństwie do Eddiego, Tripp nie tknął żadnego zdjęcia Blanche, wszystkie wiszą jak dawniej. Sądzę, że może nawet powiesił więcej. Każdy skrawek ściany zapchany jest fotografiami w ramach. Wśród nich widzę przynajmniej pięć portretów ślubnych. Blanche ma bardzo jasne włosy i się uśmiecha, a Tripp wygląda trochę jak jej brat, nie ma ani śladu dzisiejszego brzuszka i nie sprawia wrażenia, jakby ktoś spuścił z niego całe powietrze.

Kiedy wchodzę, siedzi w salonie z plastikowym kubkiem pełnym lodu i bursztynowego płynu, który na sto procent nie jest mrożoną herbatą.

Jest dwadzieścia trzy po dziewiątej. Rano.

– Dzień dobry! – wołam i dzwonię kluczami, na wypadek gdyby zapomniał, że dał mi je, bym mogła sama tu wejść.

Wtedy jeszcze udawał, że być może wróci do pracy. Jeśli mam być szczerą, nawet nie wiem, czym się zajmuje. Myślałam, że jest prawnikiem, ale być może tylko tak założyłam, bo wygląda na prawnika. Sprawia wrażenie, jakby nie miał żadnych innych ubrań prócz koszulek polo i spodni khaki, a po całym domu porozkładane są golfowe akcesoria: torba z kijami oparta o ścianę przy drzwiach, wiele par butów w rattanowym koszu w przedpokoju, koszulki porzucone w przypadkowych miejscach jak biżuteria żony. Nawet na kubku, z którego właśnie popija smutną śniadaniową kolejkę, widzę symbol jakiegoś klubu golfowego.

Na jego kolanach leży otwarty album ze zdjęciami. Kiedy wchodzę do pogrążonego w półmroku salonu, Tripp wreszcie podnosi na mnie wzrok. Jego oczy za szklami designerskich okularów są zamglone.

– Jan – mówi, a ja już nawet mu nie przypominam, że jestem Jane, nie chce mi się. Kilka razy próbowałam, ale mam wrażenie, że ta informacja nie przebija się przez bagno bourbona Woodford Reserve, w którym stale tkwi jego umysł.

– Prosił pan, żebym dziś zaczęła drugi pokój gościnny – mówię i wskazuję w górę, a on po chwili kiwa głową.

Kieruję się w tamtą stronę, ale nie myślę o Trippie ani o Blanche. Ciągle rozmyślam o Eddiem i naszej wczorajszej kolacji. O tym, że kiedy powiedziałam, że sama pójdę do samochodu, po prostu skinął głową. O tym, jak niezręcznie się uścisnęliśmy i jak szybko zostawił mnie samą.

Myślałam, że...

A zresztą jakie to ma, kurwa, znaczenie. Może myślałam, że coś się między nami dzieje, ale widocznie się myliłam, a jedyną rzeczą, która dzieje się *naprawdę*, jest to, że właśnie wchodzę do „drugiego

pokoju gościnnego” w domu Ingrahamów, żeby pakować... czort jeden wie co.

Pokój, o którym mowa, mieści się na piętrze i jest względnie mały, utrzymany w odcieniach niebieskiego i urozmaicony motywami tropikalnych kwiatów. Na podłodze stoją pudła i plastikowe pojemniki, ale coś mi mówi, że to nie Tripp je przygotował. Tripp ma siostry. Może to one przyszły przygotować dla mnie pokój, urządziły jakieś wstępne sprzątanie, by podtrzymać fikcję, że Tripp ogarnia to całe gównno.

Którego zdecydowanie nie ogarnia.

Jestem tam zaledwie dziesięć minut, gdy słyszę, że nadchodzi.

Myślę, że kiedyś, dawniej, Tripp mógł być całkiem podobny do Johna. Nie był tak żaloszny, to jasne, miał też jaśniejsze włosy i był przystojniejszy. No i mniej od Johna przypominał to wstrętne coś, co gromadzi się w ciemnych kątach za lodówką. Ale na pewno mieli wspólne cechy. Tripp bez dwóch zdań wygląda na kogoś, kto wyżerałby cudze jedzenie. Gotowa jestem się założyć, że na Uniwersytecie Alabamy więcej niż jedna kobieta, którą przestraszył, zniecka stając w drzwiach, zachodziła w głowę, dlaczego ktoś, kto wygląda tak nieszkodliwie, potrafi wzbudzić takie przerażenie.

Jednak niekontrolowane picie skutecznie udaremniło talent Trippa do wzbudzania grozy. Myślę, że miał zamiar zakraść się tu do mnie, do „błękitnego pokoju”, niepostrzeżenie, ale słyszę jego kroki w korytarzu, choć idzie powoli i – przypuszczam – zamierza to robić bezszelestnie. „Może nie chodź po drewnianych podłogach w butach do golfa, głupku”, myślę, ale odwracam się do niego z uśmiechem, kiedy staje w progu.

– Wszystko w porządku? – pytam, a jego zażawione piwne oczy otwierają się szerzej.

Minę ma kwaśną, pewnie dlatego, że zepsułam mu plany, jakiegokolwiek by były. Może miał nadzieję, że usłyszy dziewczęcy pisk albo że upuszczę pudło, zasłonię usta, obleję się rumieńcem. To by mu się spodobało – zapewne. Tripp Ingraham – nie mam wątpliwości – jest tego rodzaju dupkiem, co to szarpie za kierownicę, skacze w windzie i udaje, że spycha dziewczyny z wysokich gzymsów.

Znałam ten typ.

– Trzeba spakować wszystko, co tu jest – mówi, grzechocząc lodem w plastikowym kubku. – Blanche nie była przywiązana do żadnej z tych rzeczy.

Wiem, domyśliłam się. To ładny pokój, ale ma w sobie coś hotelowego. Jakby wszystko, co w nim jest, zostało wybrane tylko ze względu na ładny wygląd, a nie na osobiste preferencje gospodarzy.

Zerkam na łóżko. Obok niego stoi lampa, która ma imitować staroświeckie blaszane wiadro. Jestem gotowa przysiąc, że już gdzieś widziałam ten abażur w delikatny niebiesko-zielony kwiecisty wzór. Wcale by mnie to nie zdziwiło – bibeloty we wszystkich tych domach wyglądają tak samo. We wszystkich z wyjątkiem domu Eddiego.

Uderza mnie myśl, że tak naprawdę wystrój innych domów na osiedlu wydaje się tylko nieudolną kopią wyposażenia wewnątrz Eddiego – jakby tusz w kopiarce powoli się kończył i każda kolejna odbitka była coraz bledsza i coraz mniej wyraźna.

I nagle sobie przypominam, gdzie widziałam tę lampę z wiadra.

– To z Southern Manors? – pytam i pokazuję brodą na szafkę nocną. – Weszłam kiedyś na stronę ich sklepu i...

Tripp przerywa mi niegrzecznym burknięciem, po czym znowu podnosi szklankę do ust. Kiedy ją opuszcza, na zaniedbanych wąsach zostaje mu kropla bourbona. Zlizuje ją. Wzdrygam się na widok różowego skrawka jego języka.

– Nie, Blanche miała ją wcześniej. To chyba lampa jej mamy czy coś. A może kupiła ją na jakiejś wyprzedaży. Nie wiem. – Wzrusza ramionami, brzuch trzęsie mu się pod koszulką polo. – Bea Rochester nie wpadłaby na żaden oryginalny pomysł, nawet gdyby uzał ją w tyłek. Cała ta jej gówniana firma, to Southern Manors, to wszystko wyszło od Blanche.

Odkładałam niezapłacone do końca pudło.

– Jak to? Bea małpowała gust Blanche?

Tripp prycha i wchodzi dalej, za próg. Zahacza końcem buta o wypchany worek na śmieci przygotowany do wyniesienia i wyrywa w nim małą dziurkę. Wystaje przez nią coś różowego.

– Małpowała, kradła... – mówi i macha do mnie kubeczką. – Razem dorastały. Chodziły do szkoły. Ivy Ridge. Chyba nawet mieszkały w jednym pokoju w internacie.

Odwracam się do stosu książek na łóżku i zaczynam je pakować do pudła, które stoi u moich stóp.

– Słyszałam, że były ze sobą bardzo związane – odpowiadam, zastanawiając się, ile uda mi się wyciągnąć z Trippa Ingrahama. Jak na razie jako jedyny nie wypowiada się o Bei jak o kimś, komu słońce świeciło prosto z tyłka, i nie miałabym nic przeciwko temu, by zdradził mi coś ciekawego. Ale plotkowanie to niełatwa sprawa, śliska. Udawaj zbyt zainteresowaną, a nie wiedzieć kiedy wzbudzisz podejrzenia. Udawaj znudzoną i niezaangażowaną, a twój rozmówca albo całkiem się zamknie, albo jak Emily Clark będzie ci podsuwał kolejne kęski, licząc, że wreszcie nadzieje na haczyk właściwą przynęte.

Nie wiem, jak będzie reagował Tripp. Na razie siada na skraju łóżka, materac ugina się pod jego ciężarem.

– Bea Rochester – mruczy. – W rzeczywistości miała na imię Bertha.

Podnoszę głowę, zakładam włosy za ucho, a on patrzy na mnie zamglonym, lecz zogniskowanym na mojej twarzy wzrokiem.

– O, naprawdę? – pytam, a on kiwa głową. Jego noga niespokojnie podryguje w górę i w dół, a palce obracają opróżniony już kubeczek.

– Zmieniła imię, kiedy poszła do college’u, o ile mi wiadomo. Tak mówiła Blanche. Pewnego dnia wróciła do Birmingham i „Mówcie do mnie Bea”, zażyczyła sobie. – Znowu wzdycha, ciągle kiwając nogą. – I Blanche tak do niej mówiła. Potem nigdy nikomu nie wspominała, jak ma naprawdę na imię.

Bertha. Twarde słowo. Wracam myślami do zdjęć, które widziałam poprzedniego dnia wieczorem, do tych czerwonych ust, ciemnych lśniących włosów. Z całą pewnością nie wyglądała na Berthę. Trudno ją było winić, że chciała zmienić imię.

Poza tym to była kolejna rzecz, która nas łączyła, kolejna tajemnica, którą nosiłam w sercu. Ja też nie od zawsze mam na imię Jane. Swoje dawne imię pozostawiłam tak daleko za sobą, że kiedy

słyszę je w telewizji, w sklepie, w radiu, w strzępku czyjejś rozmowy, kiedy mijam jakichś ludzi, którzy je wymawiają, nawet nie drgnie mi powieka. Tamtą osobę pochowałam gdzieś w Arizonie. Jej imię już nic dla mnie nie znaczy.

Mogę się jednak zaliczać do szczęściarzy. Nie ma tu nikogo, kto znałby tamtą mnie. Bea Rochester nie mogła się pochwalić takim luksusem. Jak to było – mieszkać tuż przy kimś, kto wiedział, jak bardzo potrzebowałam się zmienić?

Tripp nadal gada, ale te informacje nie są już użyteczne. To napędzany bourbonem potok żalu, cały czas zbaczący w stronę Blanche. Lament, że nie ma pojęcia, co zrobić z jej rzeczami. Za każdym razem, kiedy tu jestem, słyszę to przynajmniej raz: że wreszcie pozbędzie się tego wszystkiego, co należało do Blanche, zacznie od nowa, może przeprowadzi się do mniejszego domu, „gdzieś bliżej pola golfowego”. Nie robi tego jednak. Zostanie tu, na osiedlu, a w tym domu urządzi coś na kształt sanktuarium na jej cześć.

Dom Rochesterów nie jest sanktuarium.

Myślę o tym, kiedy wychodzę od Trippa, zamykam drzwi za całym jego smutkiem i goryczą. Eddie zostawił sobie tylko jedno zdjęcie Bei, to z Hawajów. Czy to znaczy, że idzie dalej, a przynajmniej pragnie iść?

Myślę, że tak.

I nagle, jakbym go wyczarowała, zjawia się – nadbiega chodnikiem. Na mój widok przystaje. Ciemne, spocone włosy przylegają mu do skroni.

– Jane.

– Cześć.

Stoimy. Ja tulę do siebie starą torbę, Eddie w wypasionym stroju do biegania opiera ręce na biodrach i ciężko dyszy.

Jego klatka piersiowa w wilgotnym od potu tiszercie jest szeroka. Nagle przestaje mnie obchodzić wczorajsza kolacja, jego zmarła żona i to, ile osób może teraz na nas patrzeć.

– Pracujesz u Trippa? – pyta Eddie. Trzy zmarszczki przecinają jego czoło.

Wzruszam ramionami.

– Tak jakby. Przez jakiś czas wychodziłam z jego psem, ale ostatnio głównie pomagam mu pakować rzeczy po żonie.

Zmarszczki się pogłębiają, palce wbijają w kości biodrowe i nagle Eddie mówi:

– Wczoraj zachowałem się jak dupek.

Kręcę głową, już chcę zaprzeczać, ale on podnosi rękę.

– Nie, serio. Z Chrisem znamy się z pracy, ale kiedy wspomniał o Bei... cholernie wytrąciło mnie to z równowagi i zacząłem myśleć, że może jest za wcześnie albo że ludzie będą cię z tego powodu podle traktować, i po prostu...

Wzdycha i na moment zwiesza głowę. Kiedy podnosi na mnie wzrok, włosy spadają mu na czoło jak małemu chłopcu. To takie urocze, takie idealne, że aż palce mnie świerzbią, aby je odgarnąć i przygładzić.

– Mogę dostać drugą szansę? – pyta.

Nawet gdyby się nie uśmiechał, nawet gdyby nie miał aż tak niebieskich oczu, nawet gdybym nie pragnęła go dotknąć tak mocno, że aż szczęka mnie od tego bolała, odpowiedziałabym, że tak.

Pamiętam zapach, duchotę domu Trippa.

To, jak pani McLaren patrzyła na mnie w miasteczku.

Bezwzględne spojrzenie Emily Clark.

Dom Eddiego i uczucie, kiedy przy kolacji wsunęłam rękę w jego dłoń.

„Tak”.

Trąba powietrzna.

Trudno nie użyć tego słowa do opisanego mojego związku z Eddiem, ale ilekroć przychodzi mi ono do głowy, przypominam sobie Beę, która poznała Eddiego na wakacjach.

Ona też tak to nazwała.

Ale może takie jest po prostu bycie z Eddiem. Może każda kobieta, która trafi do jego życia, zostaje w ten sam sposób zmieciona z powierzchni, bo kiedy on uzna, że jej chce, ona nie jest w stanie zachowywać się inaczej.

Dałam mu tę drugą szansę, o którą prosił, ale na moich warunkach. Żadnych więcej randek w Mountain Brook. Tylko na neutralnym gruncie. Eddie sądzi, że przejmuję się ewentualnymi plotkami w Thornfield Estates. Nie chcę, żeby na razie o nas wiedziano, i nie chcę ryzykować kolejnej wpadki podobnej do tej z Chrisem, ale nie dlatego, że martwię się o pracę. Dni moich spacerów z psami i tak są policzone. Ich czas mija – tak miarowo, że praktycznie słyszę tykanie zegara.

Nie, na razie nie chcę, żeby ktoś się dowiedział, bo lubię świadomość, że to tajemnica. Najsmakowitsza z plotek. Która należy do mnie.

W końcu się dowiedzą, ale mam postanowienie, że kiedy to się stanie, ja będę już tak solidnie okopana, że gównem będą mogli z tym zrobić.

A więc luty zmienia się w marzec, marzec – w kwiecień, a my spotykamy się w wymyślnych restauracjach, w których nie rozumiem ani słowa z karty. Spacerujemy po parkach, nasze biodra i ramiona się stykają. Chodzimy do kina i siadamy w ostatnim rzędzie jak nastolatki. Jego dłoń ani na chwilę się ode mnie nie

odrywa – albo ujmuje moją, albo delikatnie przesuwa się po moim obojczyku, albo ciężko, promieniując ciepłem, spoczywa w zagłębieniu na dole moich pleców. Czuję na sobie jego dotyk, nawet gdy nie jesteśmy razem.

Szczerze mówiąc, to jest dla mnie najdziwniejsze. Nie randki, nie sama myśl, że mężczyzna pokroju Eddiego Rochestera może chcieć spędzać ze mną czas, ale to, jak bardzo sama tego pragnę.

Nie jestem na coś takiego przygotowana.

Pragnąć rzeczy? To oczywiste. To w moim życiu norma. Automatycznie wyławiam wzrokiem błysk kosztownego świecidełka na czyimś nadgarstku czy szyi; w swoich pokojach zawsze przyklejałam na ścianach zdjęcia wymarzonych domów, a nie dorastających chłopaków, którymi rzekomo powinny się interesować dziewczyny w moim wieku. Jednak odkąd skończyłam dwanaście lat, unikałam męskich dłoni, więc pragnienie, by dotknął mnie mężczyzna, jest całkowicie nowym doświadczeniem.

I chyba mi się podoba.

Pierwszy raz pocałował mnie przy swoim samochodzie przed restauracją. Smakował czerwonym winem, które przed chwilą piliśmy, a gdy położył dłonie na mojej twarzy, nie czułam się jak w potrzasku, lecz... bezpieczna. I piękna.

Podobało mi się rozczarowanie w jego oczach, kiedy się odsunęłam. Bo oczywiście to zrobiłam. Wyczucie czasu to podstawa, a ja nie zamierzam spieprzyć czegoś tak ważnego, stając się zbyt łatwą zdobyczą. A więc nasza intymność sprowadza się na razie do pocałunków i sporadycznych gorączkowych pieśczoł, kiedy on przesuwa dłońmi po moich ramionach czy udach, a ja dotykam twardych mięśni jego brzucha, ale nie sięgam niżej.

Od dawna nie musiał na nic czekać, tak przynajmniej przypuszczam, więc czemu, do cholery, nie miałyby trochę poczekać na mnie.

Ale nie chodzi tylko o pocałunki, o pożądanie, które czuję. Nie od tego kręci mi się w głowie. Liczy się to, jak bardzo on wszystko zauważa. Jak zauważa *mnie*.

Na naszej trzeciej randce – jedliśmy kanapki w knajpce w Vestavii – biorę z lodówki butelkę gazowanego napoju śmietankowego

i spontanicznie, bez namysłu, opowiadałam historię o zastępczym ojcu, u którego kiedyś mieszkałam. To było dawno, miałam wtedy dziesięć lat. Facet miał obsesję na punkcie napojów śmietankowych, kupował ich całe skrzynki w Costco, ale nigdy nie pozwalał ani mnie, ani Jasonowi, drugiemu dzieciakowi, który wtedy z nami mieszkał, ich tknąć. Co oczywiście oznaczało, że na nic nie miałam większej chęci niż na napój śmietankowy.

Zdziwiło mnie, jak łatwo wylała się ze mnie ta historia. Nie przytoczyłam jej ze szczegółami, rzecz jasna. Nie poruszyłam kwestii rodziny zastępczej, powiedziałam tylko „mój tato”, ale i tak było to najszczerze wyznanie dotyczące mojej przeszłości, jakie zrobiłam przed kimkolwiek w ciągu wielu, wielu lat.

Eddy nie wypytywał, nie patrzył na mnie z litością. Ścisnął mnie tylko za rękę, a kiedy następnego dnia byłam u niego w domu, zastałam całą lodówkę ciemnych szklanych butelek. Ale nie tamtego taniego gówna, które kupował pan Leonard, lecz pysznych napojów dostępnych tylko w drogich delikatesach i ekskluzywnych sklepach spożywczych.

Długo funkcjonowałam w trybie bycia niewidoczną i teraz odurza mnie myśl, że pozwalałam Eddiemu się *dostrzec*.

John wie, że coś jest na rzeczy – jego oczy podobne do paciorków patrzą na mnie jeszcze bardziej podejrzliwie, gdy wodzi za mną wzrokiem po całym mieszkaniu, ale to nie robi już na mnie wrażenia. Podoba mi się, że mam przed nim tajemnicę, podoba mi się mój uśmieszek zadowolenia, podoba mi się, że wychodzę o różnych porach.

Jednak żadna z tych rzeczy – ani pocałunki z Eddiem, ani zabawa z Johnem w kotka i myszkę – nie może się równać z tym, co czuję teraz, kiedy kucam przed klatką Miśka, kiedy zamykam go w niej po spacerze, a jednocześnie słucham rozmowy, którą pani Reed prowadzi przez telefon.

– Eddie się z *kimś* spotyka.

Pozwalam sobie na półuśmieszek. Czekałam na to, ale okazuje się, że moja ekscytacja przekracza wcześniejsze wyobrażenia. Czuję na plecach taki sam dreszczyk jak wtedy, kiedy zgarniam z blatu pierścionek lub wsuwam do kieszeni zegarek.

W zasadzie może nawet większy.

– Wiem! – wykrzykuje pani Reed gdzieś za mną.

Następuje chwila ciszy, a ja się zastanawiam, kto jest na linii. Może Emily? Ona i pani Reed na zmianę przyjaźnią się i nienawidzą – w tym tygodniu najwidoczniej są na przyjacielskiej stopie. Wystarczy jedna kąśliwa uwaga na temat zbyt obcisłych spodni do jogi albo pasywno-agresywny przytyk o braku dzieci i waśń rozpocznie się na nowo. Póki co są jednak psiapsiółkami.

I gadają o mnie.

Tyle że nie wiedzą, o kogo chodzi, i to jest najzabawniejsze. Na to od wielu tygodni czekałam.

Z uśmiechem odwracam się do pani Reed i oddaję jej smycz.

Przyjmuje ją i mówi do telefonu:

– Kochana, czekaj chwilę, zaraz do ciebie oddzwonię.

W takim razie to na pewno Emily. Kiedy są przyjaciółkami, właśnie tak się do siebie zwracają. „Kochana”.

Odkłada słuchawkę na blat i uśmiecha się do mnie.

– Jane – prawie mruczy, a ja od razu wiem, co jest grane.

Robiła tak już wcześniej, w sprawie Trippa Ingrahama, gdy próbowała ze mnie wyciągnąć wszelkie przypadkowe informacje, wszystko, czego mogłam się dowiedzieć, będąc u niego w domu. Załamuje mnie jej przekonanie, że robi to subtelnie. Kiedy więc pyta, czy u Rochesterów rzuciło mi się w oczy coś nowego, odpowiadam:

– Nie, raczej nie.

Głupia odpowiedź. Z satysfakcją patrzę, jak pani Reed mruga, niepewna, co o tym sądzić, po czym mijam ją, lekko machając palcami.

– Do zobaczenia za tydzień! – rzucam wesoło.

Na stoliku przy drzwiach leżą okulary przeciwsłoneczne Chanel i równiutko ułożony stosik gotówki, ale nawet na nie nie spoglądam.

Za to w tej samej sekundzie, gdy wychodzę na chodnik, wyciągam telefon i piszę do Eddiego.

Jeśli jest zdziwiony, że zainicjowałam randkę i że zaproponowałam, abyśmy zjedli u niego w domu, to nie daje tego po sobie poznać. Odpisał po paru minutach, a kiedy zjawiam się u niego o siódmej wieczorem, kolacja jest już gotowa.

Nie pytam, czy sam ją przyrządził, czy kupił coś gotowego w sklepie garmazeryjnym w miasteczku, gdzie można dostać tego typu dania – całe lady bezwysiłkowych, wymyślnych potraw, które wystarczy wrzucić do piekarnika albo do jakiegoś pięknego żeliwnego garnka i podać jako samodzielnie przygotowane. To nie ma znaczenia. Liczy się to, że chociaż mógł po prostu zamówić coś z dostawą do domu, zadał sobie większy trud, by ten wieczór był udany. Trud ten świadczy zaś o tym, że Eddie jest gotowy na kolejny krok.

Czekam, aż zjemy kolację i przejdziemy do salonu. Eddie zapala kilka świec. Lampy rozlewają kałuże ciepłego, złocistego światła na drewnianej podłodze. Podaje mi kieliszek wina, sobie nalewa whiskey. Przydymioną, drogą. Czuję to na jego wargach, kiedy mnie całuje.

Wracam myślami do tamtego dnia, gdy przyszedłam tu pierwszy raz. Gdy piliśmy kawę i niepewnie tańczyliśmy wokół siebie. Te nowe wersje nas – ładnie ubranych (mam na sobie najmniej spłowiałe obcisłe czarne dzinsy i top ze sztucznego jedwabiu z metką H&M znaleziony w sklepie dobroczynnym), pijących alkohol, a nie kawę, pogrążonych w zupełnie innym tańcu – nakładają się na wcześniejszych Jane i Eddiego.

Jane i Eddie. Podoba mi się, jak to brzmi. Zostanę Jane już na zawsze – tak postanawiam. To do tej chwili, do tego miejsca prowadziły mnie wszystkie ucieczki i kłamstwa. Były tego warte, bo oto jestem tutaj – z tym pięknym mężczyzną w jego pięknym domu.

Została mi ostatnia rzecz do zrobienia.

Odwracam się od niego i kręcę nóżką kieliszka w palcach. Nie widzę, co jest za wielkim przesuwным oknem do ogrodu. Dostrzegam w nim tylko swoje odbicie i odbicie Eddiego, który opiera się o oddzielającą salon od kuchni wyspę z marmurowym blatem.

– To przemiły wieczór – mówię, starając się, by w moim głosie zabrzmiała odpowiednio tęskna nuta. – Będzie mi bardzo brakować tego miejsca.

Nietrudno mi przywołać smutny ton – kłuje mnie w sercu już na samą myśl o tym, że trzeba będzie opuścić ten dom. To kolejne dziwne uczucie, kolejne, do którego nie jestem przyzwyczajona. Pragnienie, by gdzieś zostać. Czy to dlatego, że jestem zmęczona uciekaniem, czy przyczyna jest inna? Dlaczego tu? Dlaczego teraz? Nie wiem, ale mam świadomość, że to miejsce, ten dom, to osiedle dają mi poczucie bezpieczeństwa, jakiego nie zapewniały żadne tymczasowe przystanki na mojej drodze.

Odbicie Eddiego w szybie marszczy czoło.

– Co masz na myśli?

Odwracam się do niego i wzruszam ramionami.

– Po prostu nie jestem pewna, jak długo będę mogła zostać w Birmingham – mówię. – Nie chcę do końca życia wychodzić z psami, a mieszkanie z moim współlokatorem to koszmar. Przeglądałam ofertę studiów magisterskich na Zachodzie i... – Zawieszam głos, zastanawiam się, czy nie wzruszyć ramionami, ale ostatecznie pozostaję przy melancholijnym westchnieniu.

– A co z nami? – pyta Eddie, ja zaś robię wszystko, co w mojej mocy, by ukryć uśmiech.

Spoglądam na niego i przekrzywiam głowę.

– Eddie – mówię. – Wszystko jest super, ale... przecież dla nas nie ma przyszłości, prawda? Ty ostatecznie będziesz potrzebował kobiety z większą... ogładą. – Macham wolną ręką. – Bardziej wyrafinowanej. Ładniejszej.

I wtedy biorę głęboki oddech.

– Poza tym nie byłam z tobą do końca szczerą w sprawie mojej przeszłości... to znaczy mojego poprzedniego życia.

Nieruchomieje. Przygląda mi się. Czeka.

– Okej – mówi łagodnie, cierpliwie. – Chcesz zacząć od razu?

Kiwam głową i podejmuję ogromne – największe w dotychczasowym życiu – ryzyko. Mówię mu prawdę.

– Odkąd skończyłam trzy lata, do końca, to znaczy do czasu, kiedy przestał mnie obejmować system, wychowywałam się

w rodzinie zastępczej. Ten tata, o którym kiedyś wspomniałam... to nie był mój prawdziwy ojciec, tylko zastępczy, w dodatku niezbyt miły. Nie znam swoich prawdziwych rodziców, nie wiem nawet, kim byli. To znaczy znam ich z imienia i nazwiska, na papierze. Ale nie mam z nimi żadnych wspomnień. Nie wiem, kim naprawdę jestem. Czy chciałbyś być z taką osobą? Z kimś, kto nie ma żadnych korzeni?

Eddie odstawia szklankę i podchodzi do mnie.

– Tak. – Jego głos jest niski, dłonie spoczywają na moich gołych ramionach.

Czuję ten dotyk aż do palców stóp, a kiedy przygryzam dolną wargę, widzę, że jego oczy śledzą jej ruch.

– Dziękuję, że się tym ze mną podzieliłaś, Jane. Teraz, kiedy to o tobie wiem, kiedy mogę sobie wyobrazić, przez co przeszłaś... – Urywa i patrzy mi w oczy. Widzę w nich tyle empatii i życzliwości, że nogi się pode mną uginają. – ...wcale nie pragnę cię mniej. Pragnę cię bardziej – kończy.

To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu usłyszałam.

– Eddie – zaczynam, a on wzmacnia uścisk.

– Nie – odpowiada. – Gdybym pragnął Emily Clark albo Campbell Reed, byłbym z kimś takim jak one. Ale jestem z tobą, bo właśnie ciebie chcę, Jane.

Spuszcza głowę. Ledwie muska mnie wargami. Nagłe ukłucie, lekkie ukąszenie jego zębów – i przepełnia mnie takie pożądanie, że prawie się trzęsę.

– Moja Jane – mówi nisko, chrapliwie.

Mocno przetykam ślinę, niczego teraz nie udaję, nie buduję żadnych pozorów.

– Nie jestem twoja – odpowiadam z trudem. – Jestem wolna jak pieprzony ptak.

Uśmiecha się, a kiedy znowu mnie całuje, tym razem ja leciutko szczypię go zębami w to samo miejsce, w które on ugryzł mnie.

Dziś stąd nie wyjdę, oboje to wiemy.

Nie wyjdę stąd już nigdy.

Część II. Bea

Lipiec, jeden dzień po Blanche

Nie wiem, dla kogo to piszę.

Chyba dla siebie. Żeby to wszystko utrwalić, póki pamiętam na świeżo. Nie mogę mieć nadziei, że ktoś to znajdzie. Nadzieja jest w tej chwili zbyt bolesna.

Ale może jeśli zapiszę to wszystko czarno na białym, odnajdę w tym jakikolwiek sens i to uchroni mnie przed szaleństwem.

Wczoraj w nocy pierwszy raz w życiu dotarło do mnie, jak łatwo i niepostrzeżenie człowiek może stracić rozum.

Wraz z innymi rzeczami Eddie przyniósł mi książkę, powieść w miękkiej okładce, mam ją jeszcze z czasów studiów, a długopis znalazłam w szufladzie szafki nocnej, którą wstawiliśmy tu parę miesięcy temu, zaklinował się z tyłu.

W tym, że zapisuję własną historię na słowach, które w przeszłości już parę razy czytałam, jest coś dziwnego.

Ale jeszcze trudniejsze jest pisanie prawdy.

Wczoraj wieczorem mój mąż Edward Rochester zamordował moją przyjaciółkę Blanche Ingraham.

Blanche nie żyje. Eddie ją zabił. Ja siedzę w zamknięciu w naszym domu. Niezależnie od tego, ile razy powtarzam sobie te fakty, ciągle pozostają koszmarnie i nierealne. Czy tego chcę czy nie, mam wrażenie, że cierpię na halucynacje. Albo że utonąłam razem z Blanche i jestem w piekle.

To miałyby chyba większy sens.

Ale tak nie jest. Pojechałyśmy z Blanche na weekend do domu nad jeziorem, na taki babski wypad, żeby pobyć trochę razem. Obie byłyśmy strasznie zajęte, ja miałam urwanie głowy w Southern Manors, a Blanche kłopoty z Trippem, więc uznałyśmy, że świetnie będzie spokojnie posiedzieć, pogadać, napić się wina i pośmiać się

tak, jak śmiałyśmy się kiedyś, w młodości. Tak, to był cudowny weekend.

Odtwarzam go sobie w głowie, żeby się przekonać, że nic nie zapowiadało tego, co miało się zdarzyć.

Trudno się w tym połapać.

Pamiętam, że Eddie zjawił się bez zapowiedzi i postanowiliśmy we troje wypłynąć na jezioro w świetle księżyca. Eddie sterował, a Blanche i ja tańczyłyśmy do muzyki z głośników. Nagle poczułam się jakoś dziwnie, głowa zaczęła mi ciążyć, myśli stały się niespójne, zamglone. Było ciemno. Blanche wrzeszczała, ja wylądowałam w wodzie, która była ciepła, ciepła jak w wannie, i wiedziałam, że muszę płynąć, płynąć, ale kiedy dotarłam do brzegu, Eddie już tam był, a mnie potwornie bolała głowa. Potem ogarnęła mnie ciemność. Kiedy otworzyłam oczy, byłam... tu.

W tym pokoju.

To Eddie wpadł na pomysł, żeby na drugim piętrze urządzić pokój paniki – po obejrzeniu odcinka *60 Minutes*, gdzie była mowa o tym, że taki schron to ostatni krzyk mody w budownictwie. Zgodziłam się, kiedy wykańczał dom, bo chciałam, żebyśmy mieli wszystko, co najlepsze, a skoro miało go to uszczęśliwić, to czemu nie?

Zrobiłabym wszystko, żeby uszczęśliwić Eddiego.

To był jego pomysł, żeby ten pokój jakoś urządzić. On zaproponował, by wstawić łóżko.

– Na wypadek, gdybyśmy utknęli tu na dłużej – rzucił prowokacyjnie, objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie, a ja, choć byliśmy małżeństwem prawie od roku, poczułam ten sam dreszcz, ten sam ogień co wtedy, gdy mnie pierwszy raz pocałował.

Nigdy nie przestałam tak się czuć przy Eddie. Może dlatego nie przewidziałam tego, co się później wydarzyło. Byłam zbyt zakochana, zbyt ufna, zbyt...

*

Eddie wszedł, kiedy pisałam. Zdążyłam wepchnąć książkę pod łóżko, zanim drzwi się otworzyły, żeby nie zobaczył, że piszę. Bogu dzięki.

W przyszłości muszę bardziej uważać.

Zadne to pocieszenie, ale wygląda okropnie. Zawsze był taki nienaganny, ale dziś miał czerwone oczy i zwiotczałą, prawie szarą skórę. I choć to porąbane, chore, na ułamek sekundy zrobiło mi się go żal. Chciałam mu pomóc. Między nami zawsze tak było. Ja planowałam, Eddie wykonywał.

Czekałam, aż coś powie, zechce przynajmniej wyjaśnić, co tu się dzieje. Pewnie powinnam na niego wrzeszczeć, rzucić się z pięściami. Zrobić cokolwiek.

Ale ja tylko siedziałam. Jak skamieniała.

Chciałam go oskarżyć o przedłużające się skutki działania tego świństwa, które musiał dosypać mnie i Blanche do drinków, ale natychmiast gdy wszedł, popadłam w niemoc, jakby sparaliżowało mnie połączenie strachu i szoku. Mogłam tylko patrzeć, jak odwrócony do mnie tyłem wyklada na stolik przy drzwiach butelki z wodą, paczuszki ciastek z masłem orzechowym, jabłka i banany.

Eddie zabił Blanche.

Zabił ją i może zabić mnie.

Eddie, mój mąż, mój partner. Mężczyzna, którego – jak sądziłam – tak świetnie znam. Który w dniu, kiedy się poznaliśmy, uśmiechał się do mnie z taką słodyczą w oczach. Który zawsze z uwagą słuchał, gdy opowiadałam mu o swoim dniu, o firmie, o marzeniach. Który zapamiętywał błahe drobiazgi – na przykład jaki ostry sos najbardziej lubię albo że do kawy dodaję jedną łyżeczkę cukru i jedną pastylkę słodzika.

Ten człowiek, mój Eddie, był mordercą.

Kiedy za dużo myślę, chce mi się wrzeszczeć, a boję się, że jeśli zacznę wrzeszczeć, nigdy nie przestanę, więc zamiast wrzeszczeć, głęboko oddycham, mimo że rytm – wdech na cztery, wstrzymaj do czterech, wydech na sześć – przypomina mi o zajęciach jogi, na które chodziłyśmy razem z Blanche jeszcze miesiąc temu.

Boże, ledwie miesiąc temu. A wydaje się, że to było w innym życiu.

Eddie się do mnie nie odezwał, postawił tylko jedzenie i wodę i wyszedł, a wtedy ja położyłam się na podłodze i zaczęłam płakać. Trzęsłam się tak strasznie, że zęby mi dzwoniły.

Jak to możliwe, że wyszłam za potwora i dowiedziałam się o tym, gdy już było za późno?

*

Cztery dni po Blanche

Dziś Eddie znowu wszedł, znowu przyniósł wodę i jedzenie, i tym razem próbowałam z nim porozmawiać, ale gdy tylko wypowiedziałam jego imię, podniósł rękę. Na jego twarzy malowała się pustka.

Miałam wrażenie, że patrzę na obcego mężczyznę jedynie o rysach Eddiego. Nie znałam tego obcego, lodowatego człowieka. Kiedy wyszedł, poczułam ulgę. Tym razem nie płakałam ani się nie trzęsłam. Może spisywanie tego wszystkiego naprawdę działa.

*

Sześć dni po Blanche

Eddiego nie było od dwóch dni. W tym czasie ochłonełam, poczułam się spokojniejsza, bardziej trzeźwa.

Nadal nie rozumiem, jaki ma plan i po co mnie tu przetrzymuje, dlaczego nie leżę na dnie jeziora razem z Blanche. Ale musi być jakiś powód. Zamierzam go odkryć.

Muszę być sprytna.

Sprytniejsza niż Eddie.

To jedyny sposób, by ująć z życiem.

Bea nie chciała się spóźnić, ale jest duży ruch, a do tego pada.

Kiedy wreszcie siada naprzeciwko Blanche w boksie ich ulubionej restauracji La Paz, przyjaciółka jest już przy drugiej margaricie,

a koszyczek z czipsami jest prawie pusty. Blanche od razu daje znak kelnerowi, wskazuje na swój kieliszek i na kieliszek Bei, która próbuje się na to nie wkurzyć. Rzeczywiście zwykle bierze margaritę, tyle że akurat dziś planowała nie pić.

Ukrywanie irytacji najwyraźniej słabo jej wychodzi, bo kiedy się odzywa, jej głos brzmi ostrzej, niż zamierzała.

– Widzę, że czwartek z margaritą?

Blanche tylko wzrusza ramionami i przeciąga kolejnego czipsa przez salsę w małej niebieskiej miseczce.

– A co, to zabronione? – rzuca z udawanym rozbawieniem.

Ostatnio z Blanche dzieje się coś dziwnego, a Bea nie może dojść, co to jest. Może chodzić o Trippa; są małżeństwem dopiero od roku, ale już wyczuwa się między nimi jakąś drażliwość, napięcie. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu Bea była u nich na drinku i przez bite dwie godziny musiała znosić ich wzajemne uszczypliwości, docinki i drobne zniewagi opakowane w pozory uczucia.

Teraz, siedząc naprzeciwko Blanche, widzi, że przyjaciółka ma trochę podpuchnięte oczy i matową cerę. Żałuje, że wyskoczyła z tą uwagą o margaricie.

Kiedy kelner stawia przed nimi drinki, Bea podnosi ciężką szklankę z brzegiem oblepionym grubą solą i dotyka nią szklanki Blanche.

– Nasze zdrowie – mówi. – Patrz, nie pijemy już tych potwornych bomb cukrowych z El Calor.

Tak jak miała nadzieję, na twarzy Blanche pojawia się słaby uśmiech. El Calor to była tania meksykańska knajpka koło Ivy Ridge, szkoły średniej, do której chodziły. Przesiadywały tam w każdy piątek wieczorem, na długo przed tym, jak skończyły dwadzieścia jeden lat, i zamawiały najwstrętniejsze drinki, jakie tylko były w karcie – podawane w ogromnych miskach, mocno schłodzone mikstury w kolorze jaskrawej czerwieni, neonowej zieleni lub intensywnego błękitu, które barwiły wargi i zęby.

Bea nadal ma zdjęcie zrobione w klasie maturalnej, na którym razem z Blanche pokazują języki – Blanche fioletowy, ona purpurowy – a oczy im błyszczą od młodości i alkoholu.

Uwielbia to zdjęcie.

Tęskni za tamtymi dziewczynami.

Może właśnie dziś jest szansa na odzyskanie odrobiny tamtego nastroju?

Wtedy jednak Blanche sięga po menu, a Bea dostrzega bransoletkę na jej nadgarstku.

Nie zastanawiając się, wyciąga do niej rękę. To śliczne, cieniutkie srebrne kółko z filigranowym wisiorkiem – skorpionem, znakiem zodiaku Blanche, wysadzonym brylancikami.

– W przyszłym roku będziemy mieli w ofercie coś podobnego – mówi, obracając nadgarstek Blanche, by lepiej przyjrzeć się bransoletce. – Tylko zawieszka może mieć różne kolory emalii do wyboru. Podaruję ci jedną.

Blanche wyrywa rękę, łokciemomal nie potrącając szklanki. Ruch jest tak gwałtowny, tak agresywny, że dłoń zdezorientowanej Bei zawisa w powietrzu nad miseczką z salsą.

– Mam tę – mówi Blanche, patrząc w kartę, nie w oczy przyjaciółki. – Nie potrzebuję drugiej.

– Pomyślałam, że... – zaczyna Bea, ale nie kończy.

Też bierze do ręki kartę, choć i tak zawsze zamawia to samo.

Blanche podobnie, ale dziś obie wpatrują się w menu z taką uwagą, jakby w opisach rozmaitych burritos i enchiladas były zaszyfrowane wszystkie tajemnice wszechświata.

Cisza, która wisi między nimi, jest ciężka i niezręczna. Bea się zastanawia, kiedy ostatnio czuła się tak przy Blanche, swojej najlepszej koleżance od czasu, gdy była zestresowaną czternastolatką, która pierwszy raz wyjechała z domu i próbowała odnaleźć się w nowej, prestiżowej szkole.

Kiedy kelner przyjmuje zamówienia – obie biorą to co zwykle, czyli Bea enchilades verdes, a Blanche zupę z tortillą – powraca ta sama cisza, a Bea jest ciekawa, czy za chwilę będzie musiała zacząć skrolować telefon. W końcu Blanche pyta:

– No i jak sprawy z tym gościem?

Beę przeszywa kolejne ukłucie irytacji.

– Eddie jest w porządku – odpowiada, mocniej akcentując imię, którego Blanche nie wie, czemu nigdy nie używa. Zawsze mówi „ten gość”, ewentualnie „twój facet”, a raz, na lunchu ze wspólnymi znajomymi z Ivy Ridge, powiedziała nawet „ten koleś Bei, jak mu tam”.

Na przestrzeni lat Bea obserwowała to mnóstwo razy – słyszała, jak Blanche tak mówi, używa sprawdzonych lekceważących zwrotów, tyle że nigdy bezpośrednio do niej. Z tamtego lunchu wyszła wcześniej.

Teraz Blanche dopija margaritę i powtarza:

– Eddie.

Krzyżuje ręce na stole, wychyla się naprzód, rękaw jej tuniki niebezpiecznie zbliża się do plamy salsy przy nadgarstku.

– Nie ufam mężczyznom, którzy się tak zdrabiają – mówi. – No weź. Dorosły facet. Masz na imię Robert, to nie jesteś Bobbym, na litość. Ani Johnnym, jeśli jesteś Johnem.

– No – Bea nie może się powstrzymać. – Albo kiedy jesteś trzeci z rodu, a oficjalnie tytułujesz się Tripp¹.

Blanche mruga, ale ku zdziwieniu Bei śmieje się i odchyła na oparcie.

– Okej, niech ci będzie, ty zołzo – mówi, ale jakoś bez przekonania.

Bea wyczuwa, że część napięcia odpływa, i zastanawia się, czy da się jeszcze uratować ten wieczór.

Wtedy jednak Blanche pochyla się bardziej i bierze Beę za rękę. Jest pijana, Bea to widzi, trzecia margarita załatwiła sprawę rozpoczętą przez pierwszego i drugiego drinka. Jej uścisk jest zadziwiająco silny.

– Ale serio, Bea. Co ty wiesz o tym gościu? Poznałaś go na plaży. Kto wraca z wakacji z facetem?

– Z narzeczonym, jeśli już – mówi Bea, patrząc Blanche w oczy. – Oświadczył mi się w zeszłym tygodniu. Dlatego chciałam się z tobą spotkać. Żeby ci powiedzieć. Niespodzianka!

Bea z zażenowaniem przysuwa ręce do twarzy i przebiera palcami, uśmiecha się, ale już wie, że nie wywoła zamierzonego efektu. Tej reakcji na radosną nowinę, którą nieraz widziała u innych – chwili ciszy, a potem pisku, łez w oczach, nieeleganckich obściskiwań, spontanicznego planowania imprez, pytań o pierścionki, sukienki i podróże poślubne.

Nie.

Blanche, jej najlepsza przyjaciółka, jej tego nie daje.

Odchyła się tylko na oparcie kanapy, usta ma rozchylone z nagłego zdziwienia. Jest teraz blondynką, kolor został zrobiony fachowo, ale jest dla niej za ostry. Przez chwilę Bea ma nawet wrażenie, że siedzi naprzeciwko obcej osoby.

A potem, po chwili, Blanche znowu wzrusza ramionami i grzechocze lodem w szklance.

– No to przynajmniej się zgódź, by Tripp przygotował ci intercyzę.

Kelner przynosi jedzenie, a kiedy stawia talerze na stole, Bea może tylko patrzeć na Blanche i czekać, aż znowu zostaną same. Wtedy wychyla się w jej stronę i syczy:

– Wielkie dzięki za szczere wsparcie.

Blanche wyrzuca ręce do góry, srebrna bransoletka przesuwa się po jej chudym przedramieniu.

– A co chcesz, żebym powiedziała, Bea? Że cieszę się razem z tobą? I uważam, że ślub z naprawdę seksownym gościem, który zagadnął cię na plaży, to superpomysł?

– Niezupełnie tak było – mówi Bea, rozkłada serwetkę na kolanach i rozgląda się dokoła.

Mówią cicho, ale ma wrażenie, że tylko sekundy dzielą je od wybuchu sceny jak z Żon z Birmingham. To ostatnia rzecz, której by sobie życzyła. To również ostatnia rzecz, której życzyłaby sobie Blanche, ale jeśli chodzi o tę nową Blanche – za chudą, za pijaną, za bardzo blond – to kto może mieć pewność?

– Nie rozumiesz – upiera się Blanche i teraz kobieta z sąsiedniego stolika rzeczywiście rzuca im spojrzenie spod lekko uniesionych brwi. – Jesteś teraz bogata, Bea. I to nieprzeciętnie bogata. Nie jesteś prawniczką ani lekarką z sukcesami na koncie. Jesteś na dobrej drodze, by zgarnąć pieprzoną fortunę, i ten gość o tym wie.

– I niby dlatego jest mną zainteresowany, tak? – pyta Bea. Czuje, że płoną jej policzki, choć ogólnie jest jej chłodno. – Bo jestem bogata. A tobie, tak się dziwnie składa, strasznie to nie w smak. Rozumiem, rola mojej przyjaciółki była o wiele łatwiejsza, kiedy mogłaś mnie traktować jak... pieprzoną misję charytatywną.

Blanche prycha i prostuje się tak gwałtownie, że drży cały boks.

– Okej, dobra. Tylko się o ciebie troszczę i chcę ci uświadomić, że nie możesz związywać się z każdym przypadkowym facetem, który jest dla ciebie miły, ale skoro dla ciebie sprawa jest już przesądzona, to widzę, że niepotrzebnie marnuję energię.

Bea prawie się trzęsie, nie jest nawet w stanie myśleć o jedzeniu, więc odsuwa talerz i sięga po drinka. Lód się roztopił, margarita zrobiła się

słona, kwaśna i za mocna, ale i tak wypija ją do dna.

– Chcę po prostu, żebyś uważała – mówi Blanche łagodnie. – Prawie go nie znasz. Jesteście razem od... czekaj, od jak dawna? Miesiąca?

– Trzech miesięcy – odpowiada Bea. – I wiem wszystko, co powinnam wiedzieć. Wiem, że on mnie kocha, i wiem, że ja jego też.

Blanche się krzywi.

– Dobra. Bo miłość to jedyne, co się liczy.

– Wiem, że ostatnio między tobą a Trippem średnio się układa...

– Nie średnio – przerywa jej Blanche, pokazując gestem cudzystów. – Po prostu małżeństwo to znacznie więcej pracy, niż ci się wydaje. – Kręci głową i odkłada widelec. – Ale dobra. On jest seksowny, a ty bogata, więc... no, może wam będzie łatwiej. Może w tym tkwi cała tajemnica.

Złość uchodzi z Bei tak szybko, jakby ktoś wyciągnął z niej korek.

Blanche jest zazdrosna.

O to chodzi.

Blanche jej zazdrości. Zazdrości jej pieniędzy, sukcesu, a teraz jeszcze faceta. Bea nigdy nie sądziła, że przyjaciółka mogłaby pragnąć czegoś, co należy do niej. A teraz pragnie. Wszystkiego. Dlatego Bei łatwiej ująć dłoń Blanche.

– Możemy ogłosić rozejm? – pyta łagodnie. – Bo nie wyobrażam sobie, jak to będzie mieć druhnę, z którą przestało się gadać.

Blanche prychna, ale po chwili odwzajemnia uścisk.

Część III. Jane

Nie wiedziałam, że pościel może *pachnieć* miękkością, a pościel Eddiego właśnie tak pachnie. Co rano, kiedy się budzę w tym wielkim łóżu z tapicerowanym zagłówkiem, przytykam pościel do nosa i wdycham jej zapach, zastanawiając się, jak to się stało, że miałam takie cholerne szczęście.

Od dnia, gdy mniej więcej wprowadziłam się do Eddiego, minęły dwa tygodnie. Dwa tygodnie miękkiej pościeli, popołudniowego zapadania się w pluszową sofę i oglądania głupich reality show na ogromnym ekranie.

Nie zamierzam opuścić tego miejsca.

Powoli wstaję z łóżka, palce moich stóp zatapiają się w puszystym dywanie, który na nie czeka. Sypialnia jest pod każdym względem luksusowa – ciemne drewno, głębokie błękity, tu i ówdzie plama szarości. Pokój jest neutralny. Męski. To jedyne miejsce w domu, gdzie wpływy Eddiego są silniejsze niż ręka Bei – to widać. Mogę się założyć, że przedtem ten pokój był urządzone w takich samych zestawionych ze sobą mocnych barwach jak reszta domu. Mieniący się szmaragdowo-niebieski, intensywna fuksja. Ale tu nie – tu jest tylko Eddie.

I teraz ja.

Kiedy wchodzę do kuchni, on już tam jest, ubrany do pracy. Uśmiecha się do mnie i podaje mi kubek parującej kawy.

– Dzień dobry – mówi.

Pierwszego ranka, kiedy się u niego obudziłam, zrobił mi zwyczajną czarną kawę, taką, jaką piłam tamtego dnia, gdy się poznaliśmy. Ze zmieszaniem wyznałam, że tak naprawdę nie lubię czarnej, więc teraz mam do dyspozycji drogi spieniacz do mleka i wszelkie możliwe syropy smakowe.

Dziś moja kawa pachnie cynamonem, a ja, zanim upiję pierwszy łyk, głęboko wdycham ten zapach.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale sypiam z tobą wyłącznie dla kawy – mówię, a on puszcza do mnie oko.

– Umiejętność parzenia dobrej kawy jest moją jedyną zaletą.

– Ej, chyba masz jeszcze parę innych – odpowiadam, a on rzuca mi spojrzenie spod uniesionych brwi.

– Tylko parę?

Podnoszę kciuk i palec wskazujący i zbliżam je do siebie, a on się śmieje, co rozgrzewa mnie prawie tak samo jak kawa.

Lubię go. Trzeba to przyznać szczerze. I nie chodzi ani o dom, ani o pieniądze, chociaż nie mogę powiedzieć, żebym nimi pogardzała, to jasne. Ale bycie z Eddiem jest... przyjemne.

A on lubi *mnie*. Nie tylko tę mnie, którą wymyśliłam, lecz przebłyski tej prawdziwej, które pozwoliłam mu zobaczyć. Chcę mu pokazać więcej prawdziwej siebie. Chyba. A od dawna nie miałam na to ochoty.

Eddie odwraca się do zlewu, płucze swój kubek i pyta:

– To jakie plany na dziś?

Czekałam na tę chwilę przez ostatnie dwa tygodnie z nadzieją, że zainteresuje się, co w ogóle robię w ciągu dnia. Bo nadal wyprowadzam te przekłete psy. Co z tego, że mieszkam u Eddiego, co z tego, że żywię się jedzeniem z jego lodówki, skoro pod wszystkimi innymi względami nadal jestem samodzielna. Tankuję samochód, kupuję sobie ubrania, drobiazgi. No i nadal muszę płacić czynsz.

– Psy – odpowiadam krótko, a on podnosi wzrok i marszczy czoło.

– Ciągłe to robisz?

Ciepło, które przed chwilą do niego czułam, wyparowuje. A myślał, że czym się zajmuję całymi dniami? Siedzeniem i czekaniem, aż wróci? Ukrywam jednak irytację, wstaję ze stołka i wzruszam ramionami.

– No tak. Przecież muszę zarabiać.

Eddie się krzywi i wyciera ręce w jedną ze ścierek z Southern Manors, których mnóstwo wisi w kuchni. Akurat na tej jest idealnie nadgryziony plaster arbuza.

– Kiedy tylko potrzebujesz, korzystaj z mojej karty. Bardzo proszę. I dziś dodam cię jako współwłaściciela do mojego konta. Osobistego,

nie firmowego Southern Manors. To wymagałoby o wiele więcej papierologii, ale kiedyś możemy się tym zająć.

Stoję, a on się odwraca, zwija ścierkę i wrzuca ją do pralni, która mieści się przy kuchni.

Czy dla mężczyzn takich jak on sprawa jest tak prosta? Oto proponuje mi dostęp do tysięcy, tysięcy dolarów jakby nigdy nic, a ja mogę po prostu... go wykorzystać? Wziąć wszystko, jeśli zechcę?

Może na tym to polega – nie przejdzie mu nawet przez myśl, że mogłabym to zrobić. Że ktokolwiek byłby gotów to zrobić, zwłaszcza kobieta.

Ale skoro jego propozycja jest dokładnie tym, czego pragnęłam, uśmiecham się i lekko kręcę głową.

– Eddie, to byłoby... super. Dziękuję.

– Jaki jest sens mieć pieniądze, jeśli moja dziewczyna nie może ich wydawać, co? – Obchodzi wyspę, otacza mnie ramieniem w pasie i wtula nos w moje włosy. – Aha – dodaje, zanim się odsunie – i może pojechałabyś do siebie po swoje rzeczy? Zamieszkałabyś tu oficjalnie.

Przykładam rękę do piersi i robię najbardziej zalotną minę, jaką mam w repertuarze.

– Edwardzie Rochester, prosisz mnie, żebym się do ciebie wprowadziła?

On znowu się uśmiecha i tyłem idzie do drzwi.

– Chyba tak. Co ty na to? Zgadzasz się?

– Może – odpowiadam, a on uśmiecha się szerzej i odwraca.

– Zostawiam kartę tutaj! – woła.

Słyszę, jak kawałek plastiku stuka o marmur, potem drzwi się otwierają, zamykają i zostaję sama w domu.

W moim domu.

Robię sobie drugą kawę i niosę ją na górę, do obszernej łazienki przy sypialni – jak dotąd mojego ulubionego miejsca tutaj.

Jak wszystkie inne pomieszczenia, jest o wiele za duża, ale nie przytłacza. Bea odcisnęła na niej swój znak, to jasne. Gdyby łazienkę projektował Eddie, byłaby wytworniejsza, nowocześniejsza. Szkło,

stal i płytki metro. Zamiast tego mamy marmur i mosiądz, na podłodze ceramiczną mozaikę z – szok – magnolią pośrodku.

Przesuwam palcem stopy po jednym z ciemnozielonych liści, po czym podchodzę do wanny.

W mieszkaniu mieliśmy wannę, ale musiałabym mieć nierówno pod sufitem, żeby z niej korzystać. Nie dlatego, że jest ciasna, ma plamy i czarną pleśń na fugach, ale miałabym siedzieć nago w tym samym miejscu, w którym John bierze prysznic? W życiu, nie ma mowy. Nie, zawsze brałam najszybsze prysznice świata, krzywiąc się, gdy tylko przyłgnęła do mnie mokra zasłonka.

Zasługuję, kurwa, na tę wannę.

Siadam na jej krawędzi, pochylam się i odkręcam kurek z gorącą wodą. Nie wypuszczając kubka z dłoni, drugą ręką sprawdzam temperaturę strumienia.

Będę się tu kąpać codziennie, zawsze. Właśnie tak będę spędzać poranki. Nigdy więcej nie będę dojeżdżać z Center Point. Ani wychodzić z psami.

Kiedy zaś się już wystarczająco wymoczę, ubiorę się i pojedę do tej obskurnej klitki, a potem zostawię ją za sobą i zapomnę o niej na zawsze.

*

Biorę, jak mówi Eddie, „praktyczny samochód”, czyli mercedesa SUV-a, i z cienistej enklawy Mountain Brook zjeżdżam ku centrom handlowym i szpetnym osiedlom mieszkaniowym, do dawnego domu.

Dziwnie się czuję, parkując taki piękny samochód na miejscu, gdzie wcześniej stał mój sfatygowany hyundai, a jeszcze dziwniej – wchodząc po betonowych stopniach w nowych skórzanych sandałach, których obcasy stukają tak głośno, że aż się krzywię.

Drzwi do mieszkania dwieście trzydzieści cztery wyglądają jeszcze obskurniej. Wyławiam klucz z torebki. Kiedy wsuwam go do zamka, okazuje się, że drzwi są otwarte. Marszczę czoło i wchodzę do środka. John to dziwak, ale o taką niefrasobliwość bym go nie

posądzała. I wtedy uzmysławiam sobie, że to ja jestem niefrasobliwa, bo zanim tu przyjechałam, powinnam była zadzwonić do kościoła i upewnić się, czy John poszedł do pracy i nie robi tego, co właśnie robi – czyli nie siedzi na kanapie pod moim szydełkowym pledem i nie ogląda nudnych przedpołudniowych programów w telewizji.

– Oto i wraca – mówi z ustami pełnymi płatków.

Mógłby żywić się wyłącznie płatkami, tak sądzę, i to najtańszymi, tym słodkim gównem produkowanym z myślą o dzieciach. Oczywiście niemarkowym, żeby było jasne. To, co wrzuca teraz do ust, zmieniło mleko w szarawe błoto. Nie staram się nawet ukryć odrazy, kiedy pytam:

– Nie powinieneś przypadkiem być w kościele?

John, nie odrywając wzroku od ekranu, wzrusza ramionami.

– Mam wolne.

Świetnie.

Odwraca się do mnie, by coś dodać, i robi wielkie oczy na mój widok.

– Co ty masz na sobie?

Mogłabym rzucić, żeby zachował takie pytania dla swoich przyjaciółek z internetu, ale w ten sposób tylko przedłużyłabym naszą interakcję, a to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, więc macham ręką i idę do swojego pokoju.

Drzwi są otwarte, choć doskonale pamiętam, że je zamykałam. Z irytacją zaciskam usta. Ale moje łóżko nadal jest zasłane, a kiedy otwieram szufladę, bielizna wydaje się nienaruszona, więc uff, przynajmniej tyle.

Sięgam pod łóżko, wyciągam wysłużoną torbę podróżną, rozpinam suwak i dopiero wtedy podnoszę głowę, by rozejrzeć się po pokoju.

Nie żebym wcześniej nie widziała, jaki jest ponury. Cokolwiek bym robiła, i tak wyglądał na zapuszczony i przypominał pomieszczenie służbowe, a raczej celę.

Ale teraz, po dwóch tygodniach życia u Eddiego...

Nie ma tu ani jednej rzeczy, którą chciałabym ze sobą zabrać. Mam ochotę to wszystko porzucić – mdłe kolory, liche tkaniny,

postrzępione brzegi. Nawet więcej, szczerze mówiąc. Mam ochotę to wszystko, kurwa, podpalić.

Wychodzę z pokoju z pustymi rękami. Nawet bez torby, którą wepchnęłam z powrotem pod łóżko. Bez bielizny, niech John sobie jej używa do swoich zboczonych celów, droga wolna. Nie biorę nawet świecidełek i skarbów pozabieranych z domów w Thornfield Estates.

John wyłączył już telewizor i teraz siedzi przodem do mnie, z kolanami nadal okrytymi pledem. Uśmiecha się złośliwie, najpewniej dlatego, że czeka, aż poproszę o zwrot kocyka, gotowy odpowiedzieć w taki sposób, żebym musiała się zastanawiać, czy jest wulgarny, czy nie jest. (Jest).

Kocyk też może sobie zatrzymać.

– Wyprowadzam się – mówię bez wstępów, wpychając rękę w tylne kieszenie. – Nie mam żadnych zaległości, jeśli chodzi o czynsz, więc...

– Nie możesz się tak po prostu wyprowadzić.

Gniew pęcznieje mi w piersi, ale tuż za nim czai się coś innego.

Radość.

Już nigdy nie będę musiała oglądać twarzy tego dupka. Nie spędzę ani jednej nocy w tym depresyjnym mieszkanku, nie wezmę prysznic w letniej wodzie, która ledwie ciurka z kranu. Nigdy nie będę musiała wyławiać z kieszeni banknotów, żeby je wręczyć Johnowi Riversowi.

– Ale to robię. Szaleństwo.

John mruży oczy.

– Powinnaś mnie poinformować z dwutygodniowym wyprzedzeniem – mówi, a ja się śmieję, odchylając głowę do tyłu.

– Nie jesteś właścicielem tego miejsca, John. Jesteś tylko żalonym chłoptasiem, który myślał, że się z nim prześpię, jeśli pozwoli mi u siebie pomieszkać. I w dodatku brałeś ode mnie za dużo.

Na jego szyję wychodzi blady rumieniec, dolna warga odrobinę mu odstaje, a ja znowu czuję ogromną ulgę, że już nigdy w życiu nie będę musiała z nim rozmawiać. Niebawem ludzie tacy jak John

Rivers w ogóle przestaną dla mnie istnieć. *On* już prawie dla mnie nie istnieje.

– Nigdy nie chciałem się z tobą przespać – mówi naburmuszonym tonem. – Nie jesteś nawet atrakcyjna.

Kiedyś by mnie to zabolowało. Nawet z ust kogoś takiego jak John. Zawsze miałam świadomość, że jestem całkowicie zwyczajna, nieszczególna, nijaka. Czułam to bardzo wyraźnie, kiedy patrzyłam na zdjęcia Bei, na jej ciemne, błyszczące włosy kołyszące się wokół ślicznej twarzy z wysokimi kośćmi policzkowymi i dużymi oczami. Jej ciało było w przedziwny sposób zarazem dorodne i szczupłe, w przeciwieństwie do mojej równej od góry do dołu, niemal chłopięcej sylwetki.

Ale Eddie wybrał właśnie mnie. Małą, zwykłą, nudną mnie.

Dzięki temu czuję się teraz piękna. Chociaż raz. I wiem, że mam moc.

Spoglądam więc na Johna z uśmiechem wyższości.

– Wmawiaj to sobie, ile ci się podoba – mówię, odwracam się i wychodzę.

Nie wiem, czy odgłos zamykanych drzwi kiedykolwiek przyniósł mi taką satysfakcję. Wracając do samochodu, z przyjemnością słucham stukania moich obcasów. Uwielbiam to, że są takie hałaśliwe.

„Wal. Się” – myślę przy każdym kroku. „Wal. Się. Wal. Się”.

Z uśmiechem zbliżam się do mercedesa. Biorę kluczyki i naciskam guziczek zamka centralnego na pilocie. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że niedaleko mercedesa, na przeciwległym miejscu parkingowym, stoi znajome czerwone auto. Odruchowo myślę, jakie to dziwne, że ktoś tutaj ma taki ekstrawóz.

Dopiero kiedy drzwi się otwierają i wysiada Eddie, mój umysł rejestruje, że to jego samochód, a on... przyjechał. Tu. Do Center Point. Na moje główniane osiedle.

Jego widok tak mi tu zgrzyta, że mam ochotę uciekać – wskoczyć do samochodu (jego samochodu, przypomina mi mój durny umysł) i czym prędzej zmykać.

– Hej, piękna – mówi Eddie, zbliżając się do mnie.

Kluczyki kołyszą mu się na palcu.

– Śledziłeś mnie? – wypalam.

Dobrze, że mam na sobie okulary przeciwsłoneczne, dzięki temu nie widzi mojej miny. Wytrącił mnie z równowagi – nie dlatego, że takie zachowanie dziwnie mi do niego nie pasuje, lecz dlatego, że znalazł się *tutaj*. Zobaczył to miejsce, tę wstrętą dziurę, którą próbowałam przed nim ukryć. Nieważne, że właśnie się z nią żegnam i już nigdy do niej nie wrócę. On wie, że w ogóle istniała, i ten fakt doprowadza mnie prawie do łez.

Eddie wzdycha i wciska ręce w tylne kieszenie. Wydaje się zupełnie nie na miejscu – tu, na tym parkingu, w tym życiu.

Coraz bardziej kręci mi się w głowie.

– Wiem – mówi. – Szaleństwo, nie powinienem był. – Potulnie się do mnie uśmiecha. Nie nosi ciemnych okularów; lekko mruży oczy w słońcu. – Ale tracę przez ciebie rozum, co poradzę?

Choć jest ciepło, przechodzi mnie chłodny dreszcz.

Eddie jest romantyczny, jasne. Namiętny, z całą pewnością. Ale to... to raczej nie w jego stylu.

„Znasz go od jakichś pięciu minut, więc być może *wcale* go nie znasz”, mówię do siebie. Mogę to rozegrać tylko w jeden sposób. Uśmiecham się, wywracając przy tym oczami.

– Ale z ciebie tandeciarz – mówię, ale pilnuję, by na mojej twarzy malowało się zadowolenie, przygryzam dolną wargę, by naprawdę dobrze to sprzedać.

Musiało zadziałać, bo on z wyraźną ulgą opuszcza ramiona, a potem podchodzi i obejmuje mnie w pasie. Przyciskam czoło do jego piersi i wdycham jego zapach. „Głupia jesteś”, mówię sobie w duchu. Tak bardzo przywykłam do tego, że ludzie mnie okłamują i manipulują mną, że teraz spodziewam się tego wszędzie i widzę to nawet tam, gdzie tego nie ma. Może Eddie ma taki charakter, że trochę przegina, jeśli się w coś zaangażuje. Być może jest mnóstwo rzeczy, których jeszcze w nim nie rozpracowałam.

– Jesteś jej chłopakiem?

Oboje się odwracamy. John w tiszercie i luźnych dresach stoi na schodach. Jest boso, tłuste włosy sterczą na wszystkie strony. Kiedy się patrzy na niego i na Eddiego stojących blisko siebie, trudno uwierzyć, że należą do jednego gatunku.

– Na to wygląda – odpowiada Eddie swobodnie, ale czuję, że trochę się spina, napręża mięśnie.

– To super – mruczy John i spogląda to na mnie, to na Eddiego. Najwyraźniej próbuje zrozumieć, o co tutaj chodzi.

Eddie nadal się do niego uśmiecha, wciąż jest przyjaźnie nastawiony i odprężony, ale bije od niego coś mrocznego i natarczywego, a kiedy spuszczam wzrok, okazuje się, że jego dłoń luźno zwisająca wzdłuż ciała zaciska się w pięść.

John tego jednak nie widzi. Schodzi ze schodów i staje naprzeciwko nas. Tak blisko, że czuję zapach jego potu i płatków, które przed chwilą jadł.

– Jane powinna była wypowiedzieć mi najem dwa tygodnie wcześniej – mówi.

Eddie unosi brwi.

– Nic podobnego – odpowiadam. – O niczym takim nie było mowy.

– Była – upiera się John, a ja rozumiem, że to jego rozpaczliwa walka o władzę. Nie czyni go jednak mniej żalonym. Czuję gorące, tępe pulsowanie na twarzy, wiem, że to rumieniec, który pełźnie mi od piersi w górę.

– Wyślij papiery do mojego prawnika – mówi Eddie i wyciąga wizytówkę z portfela. Nie przestając się uśmiechać, wręcza ją Johnowi, a ja widzę, jak ten rzuca błyskawiczne spojrzenie najpierw na wizytówkę, a potem na Eddiego, i dopiero wtedy ją przyjmuje.

– Dobra – odpowiada, a ja wiem, że John Rivers już nigdy się do nas nie odezwie.

Bzdury, jakie wymyśla, działają tylko na kobiety, które znalazły się pod ścianą, chociaż też nie zawsze. Ale na kogoś takiego jak Eddie? Kogoś, kto jeździ takim autem i swobodnie posługuje się słowami typu „mój prawnik”? W tym starciu John nie ma nic do powiedzenia.

Nie może się jednak powstrzymać przed zadaniem ostatniego ciosu.

– Powodzenia, stary – mówi i przenosi na mnie wzrok. – Spodziewaj się kłopotów.

Boję się, że zaraz uduszę się ze wstydu ściskającego mi gardło. Nienawidzę tego, że Eddie już wie, że ten dupek stanowił element mojego życia, że teraz już w pełni rozumie, jakie było nędzne, zanim go poznałam.

Eddie kładzie rękę na mojej talii i lekko mnie do siebie przyciska.

– Janie, mogłabyś mi przynieść telefon? Został w samochodzie. Chcę wziąć numer Johna, na wypadek gdyby jeszcze coś wynikło.

Nie jest to reakcja, jakiej oczekiwałam, i być może tylko dlatego kiwam głową i ruszam przez parking w stronę czerwonego auta. Dochodzę do tylnego zderzaka i oglądam się przez ramię.

Eddie i John stoją teraz bliżej siebie; Eddie ma spuszczoną głowę i mówi coś do Johna. Nie podnosi na niego ręki, nie wykorzystuje przewagi wzrostu, by okazać mu wyższość czy go nastraszyć, ale w jego postawie, w linii sylwetki jest zapowiedź przemocy. Mam wrażenie, że najchętniej przerzuciłby Johna przez przednią szybę najbliższego zaparkowanego samochodu.

John, mimo że jest ograniczony, też to widzi. Blednie jeszcze bardziej, a każde słowo, które Eddie wypowiada z uśmiechem, popycha go w tył, na schody. John, który nadal trzyma ręce głęboko wepchnięte w kieszenie dresów, potyka się w pośpiechu, a Eddie nie robi nic, żeby mu pomóc, pozwoliłby mu upaść, jednak John odzyskuje równowagę, rzuca mi ostatnie brudne spojrzenie, odwraca się i rusza do mieszkania.

Swojego. Już tylko swojego. Nigdy więcej mojego.

Eddie podchodzi do samochodu, znów jest rozluźniony, a jego krok płynny. Całe napięcie wyparowało, jak gdyby nigdy go nie było. Zbliża się do mnie, wyciąga rękę, ujmuje moje dłonie i lekko je ściska.

– Proszę, powiedz, że ten gnojek nie jest twoim eks – mówi z uśmiechem.

Skłamałabym, twierdząc, że nie przechodzi mnie dreszczyk pożądania. Nakręca mnie bliskość Eddiego czy to, że obronił mnie przed Johnem? W każdym razie nie do końca udaję, kiedy przytulam się do niego i mówię:

– Błagam cię, chyba nie sądzisz, że mam tak fatalny gust, jeśli idzie o facetów.

Eddie, nadal szczerząc zęby, nachyla się i całuje mnie w czubek nosa.

– Czy ja wiem? Skoro zakochałaś się we mnie?

Zaplanowanie pierwszego „przypadkowego” spotkania z mieszkankami Thornfield Estates zajmuje mi całe wieki. Bądź co bądź moment musi być wybrany idealnie – miałam przecież do dyspozycji tylko jeden strzał i chciałam być pewna, że nie spudłuję. Myślałam, czyby nie zaaranżować czegoś w miasteczku, wpaść na nie znienacka w Roasted albo po prostu przespacerować się chodnikiem z torbą z któregoś z drogich butików w ręku. Godzinami wyobrażałam sobie, jak mogłoby przebiec takie spotkanie, i choć scenariusz był satysfakcjonujący, nie miał tej mocy, jaką chciałam mu nadać.

Potem przyszło mi do głowy, żeby zagrać va banque i napisać do nich esemesy z zaproszeniem na lunch do Eddiego, ale w domu nadal obecny był duch Bei, a ja się obawiałam, że będę wyglądać jak żałosna imitacja byłej gospodyni, która przywłaszczyła sobie jej terytorium.

Nagle mnie olśniło, że przecież Emily Clark i Campbell Reed często wychodzą na poranne spacerki, więc już wiedziałam, jak zaaranżować to pierwsze spotkanie.

Oto więc jestem – spaceruję po chodnikach Thornfield Estates, a Adelka ciągnie mnie na smyczy.

Wychodzenie z własnym psem, nie dla pieniędzy, jest w rzeczywistości całkiem fajne. Pogoda dopisuje, Adelka jest grzeczna. Podoba mi się, że się na mnie ogląda, gdy zauważy coś nowego, macha ogonem i uśmiecha się do mnie po psiemu. A może po prostu teraz lubię ją bardziej niż przedtem, bo jest moja. Moja i Eddiego, nasza wspólna, adoptowana już po odejściu Bei.

Jestem tak pochłonięta rozmyślaniami o tym, że ja i Eddie posiadamy coś, co nas łączy i jest tylko nasze, że prawie przegapiam chwilę, kiedy dostrzegają mnie Emily i Campbell. Podnoszę wzrok i patrzę w ich stronę. Obie mają na sobie białe buty sportowe z neonowym wzorem i okulary przeciwsłoneczne tak wielkie, że

zasłaniają pół twarzy. Trochę szkoda, bo zakrywają też częściowo ich miny, lecz subtelnie rozchylone wargi Emily i to, że krok Campbell na moment traci rytm, mi wystarcza.

– Jane?

Emily wysuwa się naprzód, przed Campbell, która niespiesznie idzie za nią z rękami opartymi o wygięcie w dolnej części pleców.

– O, cześć! – mówię, unosząc rękę, zakładam włosy za ucho i schylam nieco głowę, w pełni przechodząc w tryb skrępowania.

– Myślałam, że rzuciłaś to zajęcie? – pyta Emily i spogląda na Adelkę, a ja lekko się śmieję i owijam sobie smycz wokół dłoni.

– Rzuciłam, rzuciłam – potwierdzam. – Wyszłam po prostu z Adelką, żeby się trochę rozruszać.

Czekam, aż zaskoczy. Muszą samodzielnie złożyć elementy układanki, bo jeżeli im pomogę, pójdą plotki, że się obnoszę.

Nie zrozumcie mnie źle – obnoszę się jak cholera. Ale jednocześnie chcę, by Emily, Campbell i Caroline McLaren docelowo uważały mnie za przyjaciółkę, nie wroga, a to oznacza, że muszę dobrze rozegrać to rozdanie, tę chwilę, kiedy po raz pierwszy zobaczą mnie jako dziewczynę Eddiego, nie jako dziewczynę, którą Eddie zatrudnia do wychodzenia z psem.

– Eddie ci ją oddał czy coś takiego? – pyta Emily, a ja tłumię westchnieniem.

Z całego grona osiedlowych znajomych Emily jest najmilsza, ale z całą pewnością nie najbystrzejsza. Nagle żałuję, że nie ma z nimi Caroline. Ona ułatwiłaby mi zadanie. Na szczęście z odsieczą przybywa Campbell. Zdziera okulary i patrzy na mnie okrągłymi oczami.

– To ty jesteś tą tajemniczą dziewczyną – mówi i szturcha Emily.
– Pamiętasz, jak gadałyśmy, że Eddie się z kimś spotyka?

Usta Emily układają się w komiczne „o” i wydają cichy okrzyk zdumienia.

– Oooh!

Macham wolną ręką, lekko przenosząc ciężar ciała na drugą nogę.

– Zupełnie się tego nie spodziewałam – mówię – i tak naprawdę to trwa od niedawna, więc dziwnie mi w ogóle o tym mówić. –

Zawieszam głos, wydaję coś w rodzaju jęku, wywracam oczami. – No dobra, teraz to już *serio* czuję się fatalnie.

To kolejny trik, którego nauczyło mnie życie – dawać ludziom poczucie, że mają przewagę, wtedy szybciej zaczynają ci ufać. Już widzę, że rysy Campbell łagodnieją, a uśmiech Emily wygląda na szczery.

Nie jestem zagrożeniem, nie jestem intruzem. Jestem tylko Uroczą Jane, Której Niemożliwie Się Poszczęściło i Która o Tym Wie.

Dadzą sobie z tym radę.

Emily wyciąga rękę i z sympatią klepie mnie po ramieniu.

– Ty kokietko – droczy się.

Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek słyszałam to słowo w normalnej rozmowie, ale w ustach Emily brzmi jakoś właściwie.

I wtedy – tak jak przypuszczałam – ona pokazuje na swój dom.

– To za dobra wiadomość, żeby gadać o tym na środku ulicy. Chodźmy do mnie.

*

Jako gość czuję się u Emily zupełnie inaczej.

Wypuszczam Adelkę do ogrodu za domem, gdzie są już Major i Pułkownik. Uśmiecham się do psów, gdy merdają do mnie ogonami, a potem wracam do kuchni. Campbell i Emily stoją przy blacie. Na pewno rozmawiały o mnie – kiedy wchodzę, za szybko podnoszą wzrok i odsuwają się nieco od siebie – nie wyglądają jednak na nieufne czy wkurzone. Raczej zdziwione.

A ja, jeśli mam być szczerą, lubię być tematem rozmowy.

Emily wrzuca kawałki owoców do wyciskarki, silnik warczy, a sok, który wypływa, jest ciemny, jadowicie zielony, ale przyjmuję szklankę i z uśmiechem upijam łyk. Smakuje, jakby ktoś zmieszał ćwierć kilo imbiru ze skoszonym zielskiem, ale jeśli piją go kobiety pokroju Emily i Campbell, to mnie, kurwa, też chyba zacnie smakować.

– Nooo – mówi przeciągle Emily, opiera się na blacie i podpira brodę pięścią jak nastolatka na piżama party. – To słucham.

Śmieję się i wzruszam ramionami.

– Serio, to nic interesującego. Pewnego dnia zaczęliśmy rozmawiać, potem zaprosił mnie na kawę, a potem... – Zawieszam głos i skromnie spuszczam wzrok na blat.

Zawsze lepiej pozwolić ludziom skorzystać z wyobraźni niż zdawać im relację z każdego szczegółu.

Tylko że Campbell żąda szczegółów, no bo jak inaczej.

– No dobra, a teraz na jakim jesteście etapie? – pyta, postukując paznokciami w szklanę. Ma na palcu wskazującym nowy pierścionek, cienką złotą obrączkę wysadzaną brylancikami. Próbuje się na niego nie gapić, nie pragnąć go. – To coś poważnego?

Uśmiecha się, kiedy spoglądam jej w oczy, głowę ma lekko przechyloną na bok, jak przy konspiracyjnych „babskich rozmowach”, podczas których widziałam ją z Emily i Caroline tysiące razy, ale w jej spojrzeniu odnajduję jakąś bezwzględność, dostrzegam też lekkie drganie mięśni jej szczęki.

Ostrożnie, ostrożnie.

Przez sekundę myślę, czy nie zawrócić na drogę bezradnej naiwności i nie rzucić czegoś w stylu „Och, wiesz, jak to jest, małymi kroczkami do przodu”, pójść w tego typu gadkę. Ale w głębi duszy nie chcę tego robić. Chcę, by wiedziały, że zamierzam tu zostać, więc lepiej niech przywykną do tej myśli, i to szybko.

Nie wzruszam więc ramionami, nie rumienię się. Patrzę Campbell prosto w oczy i mówię:

– Tak, coś poważnego.

Emily wydaje krótki pisk i wyciąga rękę, by ścisnąć moje ramię.

– Ale bomba!

Campbell patrzy na nią i widzę, że się waha. Jeśli Emily stanie po mojej stronie, to czy Campbell będzie miała inne wyjście, niż zrobić to samo?

Najwyraźniej ona też dochodzi do tego wniosku, bo w końcu się do mnie uśmiecha i mówi:

– Gratulacje, Jane. Bez kitu.

Teraz mogę już bezpiecznie wrócić do postawy zawstydzenia i niepewności.

– Wiecie, póki co tylko się spotykamy – mówię. – To nie znaczy, że zaraz ślub.

– Ale mieszkacie razem, tak? – pyta Emily. Ponieważ nie odpowiadam od razu, dodaje: – No, tak założyłam. Skoro wychodzisz z Adelką dla przyjemności.

– Mieszkamy – odpowiadam, spuszczać wzrok. Udaję skrępowanie. – Mieszkałam po drugiej stronie miasta, więc po prostu tak było łatwiej.

Łapię szybkie spojrzenie, które między sobą wymieniają, ale nie wiem, co dokładnie ono znaczy. Myślę, że jestem puszczałką, skoro tak szybko wprowadzam się do faceta? A może sądzą, że Eddie jest głupcem, skoro mi na to pozwolił?

Nie wiem. Zanim się odezwę, Emily wzrusza ramionami.

– No ale kiedyś możecie się pobrać. To niewykluczone.

Widzę, jak jej wzrok przesuwa się na ogromną lodówkę ze stali nierdzewnej. Na drzwiach wisi zdjęcie z jakiejś ogrodowej imprezy przy grillu, są tam Emily i Campbell, a między nimi stoją Bea Rochester i Blanche Ingraham. Wszystkie się uśmiechają, a Emily otacza Beę ramieniem w pasie.

Pozwalam im zobaczyć, że widzę to zdjęcie, po czym spoglądam prosto na nie.

– Na pewno musi wam jej brakować. Blanche też, rzecz jasna.

Emily lekko marszczy czoło, unosi dłoń i obraca w palcach złoty krzyżyk z perłami, który ma na szyi. Campbell dopija sok.

– Na pewno bez nich wszystko tutaj jest zupełnie inne – odzywa się w końcu Emily, powoli, z wahaniem, i jeszcze mocniej marszczy czoło.

– Mniej dramatów, to na pewno – dodaje Campbell. Przenosi wzrok na mnie i macha ręką. – Nie powinnam była tego mówić.

Przeciwnie, chcę, żeby mówiła *tego* znacznie więcej. Jakich dramatów?

Tracę nieco z dotychczasowego samozadowolenia i kiedy siadam przy kuchennej wyspie Emily, czuję się mniej pewna siebie. Otrzymałam przypomnienie, że tutejszy świat pełen jest podskórnych prądów, historii, powiązań i próżni. Kiedy już mi się wydaje, że wiem, jak sobie w nim radzić, niespodziewanie

wyskakuje coś nowego, coś, co mi udowadnia, że jestem tu świeża i zielona. Że jestem nie stąd.

– W sumie to było nasze ostatnie spotkanie – mówi Emily, podchodząc do lodówki. – Czwarty lipca. Strasznie to dziwne, ale ciągle mi się wydaje, że dostanę esemesa od Blanche albo Bea napisze do mnie mejla w sprawie Komitetu Upiększania Osiedla czy coś w tym guście. – Kręci głową. – Nie wiem, kiedy wreszcie się przyzwyczaję, że ich nie ma.

Kurde, to zmierza nie w tym kierunku, który sobie wyobrażałam. Rozpaczliwie szukam jakiegoś punktu zaczepienia, żeby nie spaść, żeby skierować tę rozmowę na inny tor. Niestety jedyną rzeczą, której się chwytam, jest:

– Komitet Upiększania Osiedla?

Zabijcie mnie, że pozwoliłam tym słowom wydobyć się z moich ust.

Emily lekko unosi brwi, robi wielkie oczy.

– No – mówi. – Nie miałyśmy ani jednego spotkania od... no, od tej sprawy z Beą i Blanche, bo bez nich było jakoś... dziwnie. Ale idzie lato, może powinnyśmy coś zaplanować. Jak sądzisz, Cam?

Campbell kiwa głową, wstaje i odnosi szklanekę do zlewu.

– Jak najbardziej. Te rabaty przy wjeździe na osiedle są totalnie do niczego.

Dopiero wczoraj je mijałam i myślałam, że są śliczne, kolorowe i trochę zarośnięte. Ale teraz przytakuje Campbell nieco zbyt entuzjastycznie.

– Totalnie!

Na chwilę zapada cisza, tylko odrobinę przydługa, a ja bezwiednie rzucam się w nią na łeb, na szyję.

– Wiem, że w zasadzie jestem tu tak świeża, że nie mogę twierdzić, że tu mieszkam, ale jeśli będziecie potrzebować kogoś do pomocy w tym waszym Komitecie, to z przyjemnością się zgłaszam.

Na samą myśl, że miałabym spędzać czas, gadając o kwiatach z mieszkankami tego osiedla, opuszczają mnie siły życiowe, ale skoro Bea się tym zajmowała, to ja też będę. Niech do mnie przywykną. Do idei, że póki co nigdzie się nie wybieram.

Widzę, że Campbell chce zaprotestować, zapewne na tej podstawie, że tylko mieszkam u Eddiego, a sama nie posiadam domu na osiedlu – na gorąco stworzyła sobie jakąś zasadę, która nie istnieje. Znam ten typ.

Emily natomiast się rozpromienia.

– Byłoby świetnie!

Campbell też się uśmiecha, lecz nie od razu, a kiedy się do mnie odwraca, mam wrażenie, że to raczej wyszczerzone zęby, a nie uśmiech.

– Superświetnie.

Maj

Nie miałam pojęcia, że można wydać ponad tysiąc dolarów na pieprzone lampy solarne, które z wyglądu przypominają latarnie gazowe.

Ale oto właśnie pakuję pudła z lampami do bagażnika SUV-a, a karta kredytowa Eddiego praktycznie dymi w mojej kieszeni. On nie robi afery, wiem – kazał mi brać „wszystko, co Emily uważa za niezbędne” – ale parę miesięcy temu dosłownie na każdy posiłek jadłam ramen albo płatki, więc kiedy kasjer w Home Depot mówi: „Razem tysiąc dwadzieścia trzy dolary siedemdziesiąt osiem centów”, a ja nie kupiłam niczego poza lampami, coś boleśnie kłuje mnie w piersi.

Mój pierwszy tydzień w Komitecie Upiększania Osiedla upływa, rzecz jasna, znakomicie. Jak dotąd miałyśmy jedno spotkanie u Emily i stawiło się na nim pięć osób: Emily, Campbell, Caroline, Anna-Grace, której nie znałam, i ja. Większość przez godzinę tylko popijała białe wino i rzucała niekonkretne uwagi, co poprawiłoby wygląd osiedla, i dopiero dziesięć minut przed końcem Emily zaproponowała te wymyślne lampy.

– Rozjaśnią tę rabatę z przodu, a gdybyśmy kupiły ich sporo, mogłybyśmy je porozstawiać też przy chodnikach.

Jak kretynka zgłosiłam się na ochotnika, żeby to załatwić, ale nie wpadłam na to, że jest to jednoznaczne ze sfinansowaniem i przetransportowaniem zakupu do Thornfield Estates.

Teraz, kiedy gość w pomarańczowej kamizelce pomaga mi załadować ostatnią paczkę do samochodu, żałuję, że nie zaczekałam do weekendu. Mogłaby z tego wyjść całkiem fajna wyprawa z Eddie, ale jest środa po południu, więc Eddie pracuje. Ostatnio spędza w pracy dużo czasu, bo musi prowadzić jednocześnie swoją

firmę i Souhtern Manors, więc czasem zjawia się w domu późnym wieczorem.

Sama się dziwię, że tak brakuje mi jego obecności. Można by pomyśleć, że swobodne korzystanie z domu, samochodów i pieniędzy ukoji moją samotność, ale dom jest... duży. I nadal pełen rzeczy Bei, bo wiadomo, że ja nie posiadam niczego, co mogłabym wnieść od siebie. Może to będzie następny projekt, który sobie wyznaczę.

Naciskam guzik na pilocie, by zamknąć bagażnik SUV-a, i podchodzę do drzwi kierowcy, gdy nagle słyszę:

– Jane.

John stoi na parkingu z plastikową torbą w ręku i mruży oczy w jasnym blasku słońca.

Przez ułamek sekundy obawiam się, że mam zwidy, bo skąd, do cholery, miałby się tu wziąć, ale nagle sobie przypominam, że specjalnie nie wybrałam się do bardziej wyszukanych sklepów w Mountain Brook i przyjechałam do Home Depot w Vestavii, bo pomyślałam, że tu będzie taniej. Stare nawyki – to chyba to.

Ale kościół Johna też jest w Vestavii, powinnam była o tym pamiętać. Z drugiej strony od mojej wyprowadzki minęło już tyle czasu, że praktycznie wyrzuciłam Johna z pamięci.

Teraz go ignoruję, ale jestem podenerwowana, więc chcąc otworzyć samochód, wciskam niewłaściwy guzik na pilocie i uruchamiam alarm. Przenikliwy sygnał wydaje się głośniejszy niż w rzeczywistości.

– Kurwa – warczę pod nosem, próbując wyłączyć alarm, a kiedy mi się to udaje, John stoi już obok mnie, tak blisko, że czuję jego tani dezodorant, pewnie coś o nazwie Mountain Lynx albo Fresh Iceberg.

– W zasadzie to dobrze, że na ciebie wpadłem – mówi, a ja się cofam i uderzam łopatką w lusterko SUV-a.

– Cóż, jeśli chodzi o mnie, to myślę zupełnie odwrotnie – odpowiadam – więc...

– Ktoś cię szukał, dzwonił do mieszkania.

Zamieram. Drętwienie, które początkowo czuję tylko w koniuszkach palców, obejmuje teraz całe ramiona. Bez sensu, bo

to mógł być ktokolwiek. Może ktoś z knajpy Roasted chciał zapytać, czy nie wrócę do roboty. Przecież podałam numer stacjonarny do kontaktu, tak? Poza tym kiedy mieszkałam u Johna, odpowiadałam na miliony ofert pracy. Minęło sporo czasu, ale co z tego, ludzie nadal mogą przeglądać stare zgłoszenia. Mogły dzwonić tysiące różnych osób. To nie musiał być nikt *stamtąd*.

Jednak gdzieś w głębi duszy, w miejscu niedostępnym dla nikogo, wiem.

– Okej, i? – rzucam, ale w moim tonie nie wybrzmiewa zjadliwość ani znaczenie „gównu mnie to obchodzi”, które chciałam mu nadać. Czuję się schwyтана w potrzask i przerażona.

Jestem schwyтана w potrzask i przerażona.

– Ta osoba twierdziła, że dzwoni z Phoenix.

Czuję w piersi ogromny ciężar, serce łomocze mi za szybko, za mocno. Drętwienie wpełza na twarz. Zaczynam się bać, że za chwilę nie będę mogła wydusić ani słowa.

– Próbuje namierzyć kogoś, kto może znać kobietę, która nazywa się Burns. Helen Burns.

John wysuwa język i szybko zwilża wargi. Nienawidzę tego, że nie jestem w stanie pohamować swojej reakcji, że on widzi, jak się wystraszyłam. Nienawidzę tego, że dałam mu tę chwilę przewagi.

Ale to nazwisko.

Odwracam się, na oślep szukam zamka, nie bawię się już z pilotem, chcę po prostu otworzyć swój samochód („Samochód Eddiego, Eddiego! Tutaj nic nie należy do ciebie”) i oddalić się od Johna.

– Nie znam nikogo o tym nazwisku – ciągnie John i podchodzi tak blisko, że zahacza sportowym butem o moją stopę; gumowa podeszwa drapie mnie w kostkę. – Ale z tego, co gadał ten gość, wynika, że ty możesz ją znać. Mówił, że będzie teraz po dwudziestce. Niska, włosy brązowe, oczy też. Blizna na prawym ramieniu.

Odwracam się, uwięziona między nim a samochodem, metal i szkło parzą mnie w plecy.

– I co mu powiedziałaś?

John się uśmiecha. Nie wygląda tak tchórzliwie i żałośnie jak wtedy przy Eddiem. Ciuchy ma czyste, włosy uczesane, i nagle ogarnia mnie okropne przeczucie, że nie wpadł na mnie przypadkiem – że mnie śledził, jechał za mną aż do Vestavii, bo chciał doprowadzić do tego spotkania i przypilnować, by przebiegło dokładnie tak, jak sobie zaplanował.

Ta myśl, nie wiedzieć czemu, jest gorsza niż wszystkie obleśne rzeczy, które robił, kiedy u niego mieszkałam.

John nie ma prawa istnieć w moim nowym życiu. Zarówno on, jak i to wszystko, co się zdarzyło w Phoenix, miało zostać za mną. Na zawsze.

Każde mi czekać na odpowiedź o parę sekund za długo, a ja w tym czasie czuję coraz większy ciężar w żołądku i coraz szybszy łomot serca. Nienawidzę go, nienawidzę, nienawidzę.

W końcu wzrusza ramionami.

– Powiedziałem mu, że się pomylił. Że nie znam nikogo o tym nazwisku i nikogo, kto by pasował do tego opisu.

Ulga, która mnie zalewa, jest tak słodka, że prawie bolesna, ale po piętach depta jej świadomość, że jestem teraz dłużniczką Johna Riversa. Słodysz kwaśniej mi w ustach.

– Oczywiście mi nie uwierzył – ciągnie John. Wpycha ręce do kieszeni i buja się na piętach. Ten chujek uwielbia się nade mną pastwić. – Zostawił numer, powiedział, żebym do niego oddzwonił, gdyby pamięć mi się przypadkiem odświeżyła. – Spuszcza na mnie wzrok i szczyrzy zęby. – I wiesz, właśnie to, że dziś na ciebie wpadłem, odświeżyło mi w pamięci...

– Czego chcesz?

Blask w jego oczach trochę przygasa. Miał zamiar ciągnąć to dłużej, tak mi się zdaje. Chciał patrzeć, jak się wiję na haczyku. Eddie poniżył go w mojej obecności, więc teraz moja kolej cierpieć – rozumiem. Chcę to po prostu przerwać, dając mu jak najmniejszą satysfakcję.

– O ten czynsz ci chodzi? – ciągnę i sięgam do torebki.

Mam tam zwitek banknotów, to moja własna forsa, nie Eddiego. Zarobiona na wychodzeniu z psami i sprzedaży kradzionych rzeczy, forsa, którą trzymałam na dnie torby i nie planowałam jej stamtąd

wyjmować, bo chciałam, żeby mi przypominała to, co za sobą zostawiłam, bo chciałam być kobietą, która po prostu może trzymać dwieście dolców w torebce i nigdy o nich nie myśleć, nigdy nie czuć potrzeby ich wydania.

Wyjmuję je teraz i wpycham Johnowi do ręki.

– Masz. To więcej, niż byłabym ci winna za twoje „dwutygodniowe wypowiedzenie”, więc jesteście kwita.

John gapi się na wymięte banknoty, mruga, a potem podnosi na mnie wzrok. Nie wiem, czego w ogóle chciał lub oczekiwał. Może sam tego nie wiedział.

Ale chyba nie pieniędzy, bo patrzę na niego i wyczuwam, jak się ze sobą zмага, by znów przejąć kontrolę nad sytuacją, mimo że właśnie wpycha kasę do kieszeni.

– Dzięki – mówi po chwili i znowu się uśmiecha. – I wiesz co? Moja pamięć, ot tak, po prostu, znowu się zablokowała. – Stuka się palcem w bok głowy. – Śmieszna sprawa z tą pamięcią. Pojawia się i znika. No.

Zapewne ćwiczył sobie tę pieprzoną kwestię przed lustrem i normalnie poszłabym z nim na konfrontację, ale teraz tylko wsiadam do samochodu. Drżącymi rękami wsuwam kluczyk do stacyjki. Patrzę w lusterko i widzę, jak John odchodzi w stronę swojego auta. Czekam, aż zniknie mi z oczu, opieram głowę o kierownicę i robię głębokie wdechy przez nos.

John nie wie niczego o Phoenix. Ani o Helen. To wszystko działo się wcześniej, zanim go poznałam w domu dziecka, więc kiedy sprawy się skomplikowały i nie miałam dokąd pójść, wydawał się bezpieczny.

Lub dość bezpieczny.

Ale powinnam była pamiętać, że żadne miejsce nigdy nie jest do końca bezpieczne. Ani żaden człowiek.

„Prócz Eddiego”, poprawiam się. „Eddie jest bezpieczny. Thornfield Estate jest bezpieczne. Tam jesteś bezpieczna”.

Jednak w drodze do domu ciągle patrzę w lusterko.

– Laski, jeśli zjem jeszcze jednego, to padnę.

Emily bierze serowego paluszka i podaje mi talerz, więc nie jestem pewna, czy rzeczywiście grozi jej natychmiastowa śmierć, ale uśmiecham się do niej ze współczuciem.

– Ja też – mówię, a potem dodaję „laski”, o ułamek sekundy za późno.

Na szczęście Emily chyba nie zwraca na to uwagi. Siedzimy na podłodze w jej salonie: ja, ona, Campbell, Anna-Grace i Landry. Nadal nie znam ich nazwisk ani nawet nie wiem, na jakich ulicach mieszkają, ale zarówno Anna-Grace, jak i Landry przypominają tutejsze kobiety, które już poznałam. Piękne, szczupłe, ładne zęby, dobra biżuteria i swobodny sposób ubierania się, którego nigdy nie nauczę się naśladować. Jedyną rzeczą, która wyróżnia te dwie, jest to, że obie są w ciąży – Landry trochę bardziej zaawansowanej, z brzuszkiem wyraźnie zaokrąglonym pod bladoniebieskim topem, a Anna-Grace na wcześniejszym etapie, jakby zjadła na lunch o jeden kawałek pizzy za dużo. Wcześniej słyszałam, jak mówiła Emily, że postanowili dać dziecku na imię Hilliard, niezależnie od płci, więc siedząc na podłodze, popatruję na jej brzuch ze współczuciem.

Na poprzednie spotkanie – pierwsze, w którym uczestniczyłam – włożyłam sukienkę Lilly Pulitzer, w związku z czym musiałam niezręcznie sterczeć na kanapie, podczas gdy one z gracją rozłożyły się na podłodze w legginsach i luźnych topach, z bosymi stopami. Spodziewałam się czegoś trochę bardziej formalnego i wyszukanego, stąd sukienka, ale znów zabrakło mi wyczucia.

Za to dziś ubrałam się prawie identycznie jak Emily. Obie postawiłyśmy na neutralne odcienie, Emily piaskowy, ja kremowy wpadający w skorupkę jajka, o którym wiem, że mi w nim nie do twarzy, ale Anna-Grace i Landry tym razem nie patrzą na mnie jak na nieproszonego gościa, więc chyba jest poprawa. A może

dowodłam swojej wartości w ich oczach tym, że kupiłam te lampy, ale nie przedstawiłam rachunku, co na pewno byłoby niezręcznością?

W każdym razie też siedzę na podłodze, obok Emily, po jednej stronie gigantycznego tapicerowanego podnóżka, którego gospodyni używa w charakterze stolika. Dziś stoi na nim duża drewniana taca z wiaderkiem lodu, w którym poci się białe wino, a ja podejrzewam, że wszystko – i podnóżek, i taca, i wiaderko, i malowane kieliszki, z których pijemy – pochodzi ze sklepu Southern Manors.

Już mam o to zapytać, ale ostatnią rzeczą, której bym sobie życzyła, jest przebudzenie widma Bei. Na pierwszym spotkaniu nikt na szczęście o niej nie wspomniał, a ja nie zamierzałam stwarzać okazji do najmniejszych choćby porównań w sferze, która dotyczyła nas obu.

– No dooobra – mówi Campbell, wyciągając kupiony tydzień temu segregator z monogramem. – Nasza droga Jane, która jest gwiazdą, kupiła nowe lampy solarne, dzięki ci, Jaaaane.

Unoszę kieliszek i uśmiecham się do nich.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Cała przyjemność po mojej stronie, tyle że mój ekswspółlokator groził mi na parkingu Home Depot, a Eddie ma do spłacenia tysiąc dolarów za coś równie durnego jak lampy.

– I – ciągnie Campbell, zjeżdżając palcem w dół strony – Anna-Grace powiedziała, że firma ogrodnicza jej teścia może nam podarować darń do wykorzystania przy bramie głównej. – Przykłada rękę do serca i spuszcza głowę, robiąc przy tym przesadnie smutną minę. – Jesteś prawdziwym aniołem.

Anna-Grace wykonała jeden pieprzony telefon i dostała trochę cholernej ziemi gratis – czy to naprawdę kwalifikuje ją do statusu anioła? Ale co ja mogę wiedzieć?

Biorę kolejnego paluszka serowego. Jestem podenerwowana przez tę sprawę z Johnem, więc zachowuję się bardziej jędzowato niż zwykle. Mam za zadanie udowodnić tym babkom, że jestem jedną z nich, nie uważam ich za rywalki, i muszę o tym pamiętać.

Campbell odkłada segregator i siada na piętach.

– Okej, w ten sposób większość celów na lato mamy już odhaczonych. W tej sytuacji musimy chyba zacząć myśleć o jesieni.

– O nie, laseczki, jeżeli padnie tu choć jedno słowo o porodach, to wychodzę – mówi Landry, wywraca oczami i wszystkie się śmieją.

Ja też, ale znowu zaczynam z minimalnym opóźnieniem. Na mój gust rozmawiają w jakimś obcym języku.

– Ani słowa o porodach, Landry, nie przesadzaj – zapewnia ją Campbell z uśmiechem. Łączy dłonie pod brodą, jej pierścionki połyskują. – Myślałam, że mogłybyśmy to miejsce jakoś zabawnie zaaranżować w klimacie futbolowym – mówi. – No wiecie, co mam na myśli, na przykład pół frontowej rabaty na czerwono-biało, a pół na pomarańczowo-niebiesko.

Wszystkie babki rozplývają się w zachwytach, a ja tylko siedzę, uśmiecham się i spoglądam to na jedną, to na drugą, bo znowu nie mam bladego pojęcia, o co chodzi.

Landry najwidoczniej dostrzega moją minę, bo lekko szczyrzy zęby i wychyla się do przodu.

– Iron Bowl – mówi, jakby to cokolwiek wyjaśniało, a ja unoszę brwi, nadal z uśmiechem, nadal, kurwa, w kropce.

– Kim jesteś, Bammerem czy Barnerem? – pyta Anna-Grace, wyciągając butelkę z wiaderka. Wina już prawie nie ma, więc Emily cmoka i idzie do kuchni.

– Jane nie jest z Południa – mówi Campbell i odhacza coś na liście. Następnie przenosi wzrok na mnie. – Auburn i Alabama – wyjaśnia. – Dwa największe tutejsze uniwersytety rywalizują w futbolu. Prawie każdy południowiec jest od urodzenia zdeklarowany, komu kibicuje.

– Landry i ja skończyłyśmy Alabamę – mówi Anna-Grace. – A więc Roll Tide’ i tak dalej.

– A ja kończyłam Auburn – dodaje Emily, nadchodząc z kuchni z otwartą butelką wina. – War Eagle!

Pozwalam sobie dolać wina, w głowie mi się kręci, zastanawiam się, czy rywalizacja uniwersytetów w futbolu to coś, co powinno mnie obchodzić.

– A ty gdzie chodziłaś do szkoły, Jane? – pyta Anna-Grace.

Nie jest tak ładna jak Campbell czy Emily, ma trochę za ostre rysy i nieco za jasne włosy przy tak bladej cerze. Kiedy zakłada ręce na piersi, jej bransoletki pobrzękują, a ja muszę zwalczyć chęć, by też taką mieć. Nie nową, kupioną, lecz jedną z tych jej.

Zastanawiam się, czy je okłamać. Czy wymyślić jakiś mało znany uniwersał, o którym nie miały szansy słyszeć. Ale i tak mam już sporo kłamstewek na koncie, a w spojrzeniu Anny-Grace jest coś, co każe mi sądzić, że albo po powrocie do domu go sobie wygoogluje, albo zaraz wymyśli koleżankę, która też tam studiowała. Coś, co mnie zagnie.

Więc mówię... no dobra, może nie dokładnie prawdę, ale coś do niej zbliżonego.

– Skończyłam dwuletni college, a potem robiłam kursy online. Dużo pracowałam, więc to najlepiej dawało się pogodzić.

– Tak, słyszałam od Campbell i Emily, że wychodziłaś z ich psami?

Intonuje to jak pytanie, ale naprawdę nie pyta.

– Yhy, właśnie. – Uśmiecham się.

– I tak poznałaś Eddiego?

– Uhm.

Biorę kolejnego paluszka, choć wcale nie mam na niego ochoty. Okruchy zostawiają ciemne plamki na moich nowych beżowych legginsach, a osoba, która piekła te paluszki, dała za dużo chili. Od ostrej przyprawy kręci mnie w nosie, a oczy prawie łzawią.

– Boże, gdybym wiedziała, że takie rzeczy się zdarzają, że można poznać bogatego, seksownego wdowca, wyprowadzając psy na osiedlu, nie zawracałabym sobie głowy głupim randkowaniem w sieci – mówi Landry, a ja nagle sobie przypominam, że już o niej słyszałam. Emily i Campbell plotkowały coś o jej mężu, lekarzu, który przed kilkoma miesiącami romansował z przedstawicielką firmy farmaceutycznej.

– Zakładam, że zwyczajnie miałam farta – odpowiadam i zmuszam się do uśmiechu.

Nie jestem w stanie przywołać tej fałszywej skromności, którą emanowałam wobec pozostałych kobiet. Może przez to, jak ona na

mnie patrzy? Może dlatego, że mam już dość? Jestem tu, prawda? To nie wystarczy?

– Więc gdzie mieszkałaś przed Birmingham? – pyta Landry, prostując się i poprawiając poduszkę pod plecami.

Spodziewałam się tego i już postanowiłam, że odpowiedź, która padnie, będzie niekonkretna.

– Boże, chyba wszędzie. – Wzruszam ramionami. – Moja rodzina ciągle się przeprowadzała.

Właściwie to ja ciągle się przeprowadzałam, wślizgiwałam się w kolejne rodziny. Kuzyn tu. Dalecy krewni tam. Potem rodziny zastępcze. W końcu ostatni dom – w Phoenix.

Na jego wspomnienie wino nagle wydaje mi się kwaśne, żołądek wywraca się do góry nogami i odstawiam kieliszek na tacę, prawie nie trafiam i pinot grigio omal nie rozchlapuje się dokoła.

– No ale oczywiście nigdy dotąd nie mieszkałam na Południu – mówię. Znowu szczerzę zęby i próbuję zatuszować skrępowanie. – Inaczej potrafiłabym odróżnić Roll Tide od War Eagle czy coś tam.

Parskają śmiechem, jak miałam nadzieję, a ja ufam, że teraz już będziemy mogły wrócić do rozmów o kwiatkach, flagach czy jakichkolwiek głupotach, których sobie życzą. Wydam kolejnego tysiąka na pieprzone świecące dekoracje ogrodowe, tylko pozwólcie mi już nie mówić o sobie.

– Ale mam nadzieję, że planujesz tu zostać – mówi Landry, znowu zamieniając się w stuprocentową słodycz. – Teraz, kiedy już ty i Eddie... – Urywa i macha ręką.

Nie ma w tym żadnej kąśliwości, a jej spojrzenie nie jest tak badawcze jak spojrzenie Anny-Grace, ale i tak czuję, że pytanie zawisa w powietrzu.

Campbell kończy za nią.

– Nie wiem, kochana, czemu on po prostu nie pójdzie na całość i się z tobą nie ożeni.

– No, poważnie – dodaje Emily, kiwa głową i dolewa sobie wina.
– Jeśli ma zamiar z tobą mieszkać, to przynajmniej mógłby cię zaobrączkować.

– Caleb chciał, żebyśmy zamieszkali razem przed ślubem – wyznaje Anna-Grace i kręci głową tak energicznie, że koński ogon

zamiata jej plecy. – A ja ciągle mówiłam, że nie, nie sędzę. Jeśli facet chce, żeby kobieta praktycznie *była* dla niego jak żona, to musi sprawić, żeby się nią faktycznie *stała*.

Wszystkie pomrukują z aprobatą, a ja przenoszę wzrok z twarzy na twarz i przyglądam się tym kobietom, które wczesnym popołudniem w przypadkowy wtorek popijają wino i zgodnie twierdzą, że wyjście za mąż to największe osiągnięcie kobiety.

I w końcu do mnie dociera.

Mogę wejść w skład każdego komitetu, nosić wyłącznie odpowiednie ciuchy, dowiedzieć się wszystkiego o pieprzonym futbolu, mówić dokładnie to, co trzeba, a i tak nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Nie stanę się jedną z nich, dopóki Eddie mi się nie oświadczy.

Przez następny tydzień robię wszystko, by tylko nie myśleć o Emily, Campbell ani o tym, co wyniosłam ze spotkania. Próbuję nie chcieć więcej niż to, co już mam. Bo to, co już mam, można przecież porównać z wygraną na loterii, a życie zdążyło mnie nauczyć, że to właśnie przez zachłanność można wszystko spieprzyć.

Ale mam to gdzieś pod skórą i ciągle mnie to swędzi – to, jak na mnie patrzyły, ich pytania, obelgi pod woalem żartów.

I nie chodzi tylko o żony z Thornfield. Chodzi o Johna, o tego kogoś, kto do niego dzwonił i go wypytywał. Mam wrażenie, że wtedy, na parkingu przy Home Depot, John osiągnął to, co zamierzał: potraktował mnie z góry, patrzył, jak ogarniają mnie strach i zdenerwowanie, a w bonusie trafiło mu się jeszcze dwieście dolców. Na pewno był uszczęśliwiony. I mimo że brzmi to dziwnie, ja Johnowi ufam.

Dobra, „ufam” to nie to słowo.

Znam go – chyba tak lepiej. Jego i ludzi do niego podobnych. Nas, którzy zawsze byliśmy dziećmi zastępczymi, ciągle spotykaliśmy się w domach dziecka lub schroniskach. John mógł mnie wtedy śledzić, w najbliższych dniach może do mnie zadzwonić, może coś insynuować, ale nie wyda mnie gliniarzom. A przynajmniej nie sądzę, by mnie wydał.

Status pani Rochester wydaje się kolejną cegłą w murze odgradzającym mnie od tego typu zagrożeń, no bo może John nawet by się nie ośmielił, gdyby sądził, że będzie to w jakiś sposób dotyczyć Eddiego.

A więc mam plan. Nowy plan.

Nie wystarczy mi to, że mieszkam z Eddie. Pozycja jego dziewczyny nie jest przepustką do tego światka. Tu trzeba być żoną. Co oznacza, że najpierw muszę zostać narzeczoną.

Dlatego przez kilka kolejnych dni rozpracowuję Eddiego. Nie wiem, jakie znaki zwiastują, że mężczyzna rozważy oświadczy –

szczerze mówiąc, nigdy nie znałam osoby, która by się zareczyła. Ludzie, których w życiu poznałam, to albo zadeklarowani single, albo już małżonkowie. Nie po raz pierwszy żałuję, że nie mam prawdziwego przyjaciela. Kogoś, z kim można by pogadać, tej jednej jedynej osoby, która znałaby o mnie całą prawdę.

Ale mam tylko siebie.

*

Mniej więcej tydzień po spotkaniu komitetu Eddie wraca z pracy wcześniej i pyta, czy nie miałabym ochoty przejechać się z nim i Adelką do Cahaba River Walk. To park niedaleko nas, jedno z miejsc, gdzie Eddie zabrał mnie zaraz na początku naszej znajomości. Podoba mi się panująca tam cisza, spokój, ścieżka wijąca się nad wodą, cień drzew, więc kiedy tylko Eddie proponuje spacer, wstępuje we mnie nowy duch.

Wie, że lubię to miejsce. Jest dla nas wyjątkowe, bo już tam byliśmy.

A Eddie nigdy nie wraca wcześniej z pracy.

Myśl, że być może nie będę musiała robić nic wielkiego, żeby mi się oświadczył, oszałamia mnie, więc kiedy wysiadamy z samochodu, prawie podskakuję jak dziecko.

Eddie ze śmiechem bierze mnie za rękę. Adelka biegnie przed nami, szczeka na wiewiórki.

– Chyba się cieszysz – mówi, a ja całuję go w policzek.

– Cieszę się – odpowiadam.

Naprawdę się cieszę. Do chwili, gdy Eddie podchodzi do ławki nad rzeką i wyjmuję telefon.

– Przepraszam – mówi. Adelka pada na ziemię u naszych nóg i dyszy. – Mam parę mejli do wysłania, muszę to zrobić przed końcem dnia pracy.

I tyle z naszego cudownego popołudnia w parku. Siedzę, pocę się i wkurzam, Eddie pisze, po rzece płynie kajakiem dwóch facetów.

Są też spacerowicze. Kiedy zbliżają się do nas dwie kobiety w sportowych spodenkach i obcisłych topach, widzę, jak omiatają

wzrokiem Eddiego, a jedna z nich, brunetka z tak samo lśniącymi włosami i szczupłą talią jak Bea, spogląda na mnie, jakby myślała: „Hm. Ciekawe, co to ma być”.

Twarz mi płonie nie tylko od upału. Siedzę i zastanawiam się nad tym samym: „Ciekawe, kurwa, co to ma być”.

Eddie nadal pisze na telefonie. Postanawiam zacząć subtelnie.

– Muszę sobie zrobić paznokcie – wzdycham i przebieram palcami ręki uniesionej na wysokość oczu. – Jak byłam u Emily, to właściwie widziałam tylko paznokcie. Paznokcie i tony biżuterii. Ja bym się stresowała, gdybym miała na sobie więcej niż jeden pierścionek.

Dobra, ten ostatni kawałek może nie był tak subtelny, jak zamierzałam, ale czasy są trudne i tak dalej.

Eddie prychnął, ale nie podnosi wzroku znad ekranu.

– Bea zawsze uważała, że to bezguście nosić tyle biżuterii co one. Zwłaszcza że prawie wcale nie wychodzą z domów.

– Dobra, no cóż, brylantami ociekać nie muszę, ale powinnam chociaż zadbać o paznokcie.

Eddie, nadal patrząc w telefon, łapie mnie za rękę i w zamyśleniu unosi moje palce do ust. Chciałabym, żeby powiedział coś w stylu, że moje paznokcie są w porządku albo że nie zauważył, żeby wymagały jakichś zabiegów, ale on mówi:

– Podobno to miejsce, gdzie u nas robią paznokcie, jest do przyjęcia.

Kiwam głową, zabieram rękę i skręcam w palcach brzeg koszuli.

– Bea też tam chodziła? – pytam i w końcu zdobywam jego uwagę.

Podnosi wzrok, mruga i odpowiada:

– O ile mi wiadomo. Wszystkie dziewczyny z osiedla tam chodzą.

– Kobiety – mówię, a kiedy Eddie się krzywi, lekko się prostuję. – Przecież... wszystkie są co najmniej po trzydziestce. Jakie z nich dziewczyny?

Eddie się rozchmurza i uśmiecha do mnie w sposób, jakiego jeszcze nie widziałam. To nie seksowny uśmiezek ani usta wygięte w zachwycie, kiedy powiem coś, co go zauroczy. To... pobłażanie.

Nieco paternalistyczne.

Denerwuje mnie to.

– No tak, przepraszam – mówi i znów pochyla się nad telefonem.
– *Kobiety.*

– Słuchaj, wiem, że jesteś ode mnie starszy i... jak by to powiedzieć, widziałeś więcej świata czy coś, ale nie musisz mnie traktować protekcyjnie. – Te słowa wymykają mi się mimochodem, zanim się zastanowię, zanim sobie przypomnę, że mam być Jane, której on pragnie, a nie Jane, którą naprawdę jestem.

Ale wtedy do mnie dociera, że on czasem lubi Jane, którą naprawdę jestem.

Eddie opuszcza telefon i kieruje na mnie całą uwagę.

– Jestem dupkiem, tak?

– No, czasem.

Teraz pojawia się ten prawdziwy uśmiech. Eddie znowu bierze mnie za rękę i ściska.

– Przepraszam – mówi. – Mam huk roboty. Ale chciałem spędzić dziś trochę czasu z tobą i wyciągnąć cię na chwilę z domu. Od jakiegoś tygodnia wydajesz mi się jakaś nieswoja.

Od spotkania z Johnem.

Siedzę, mózg mi dymi, zastanawiam się, co odpowiedzieć, ile zdradzić. Widzę przed sobą małą szansę, szparkę w uchylonych drzwiach, w którą być może uda mi się wcisnąć, zmieszać odrobinę kłamstwa z pewną ilością prawdy i być może tędy dojść do miejsca, do którego dążę, szybciej, niż rzucając aluzje do paznokci i pierścionków.

– No, chyba po prostu cały czas się zastanawiam, do czego to wszystko zmierza – mówię, a on ściąga brwi i mars na jego czole się pogłębia. Jeden z kajakarzy krzyczy coś do drugiego, mijają nas kolejna para truchtających kobiet, które ukradkiem spoglądają na mnie i na Eddiego. – Nie chodzi mi o to, że nie lubię z tobą mieszkać – ciągnę. – Bo lubię. Naprawdę. Ale wiesz, kiedy przez całe życie byłeś na cudzej łasce, w pewnym momencie zaczynasz mieć dość tego uczucia.

Eddie odkłada telefon i prostuje się na ławce. Złączone ręce trzyma między kolanami.

– Co masz na myśli?

Nie odrywam wzroku od rzeki przed sobą, od rodzin spacerujących z wózkami dla dzieci. Od pary, która idzie objęta.

– Widziałeś, gdzie przedtem mieszkałam. Wiesz, jak wyglądało moje życie, zanim cię poznałam. Ja... ja tu nie pasuję.

Eddie prychnął.

– Dobra, powtórzę się, ale nie wiem, co masz na myśli.

Odwracam się do niego i odsuwam okulary przeciwsłoneczne na czoło.

– Mam na myśli, że nie jestem Emily ani Campbell, ani...

– Ale ja nie chcę, żebyś była żadną z nich – mówi i bierze mnie za rękę. – Kocham cię dlatego, że żadną z nich nie jesteś. I dlatego, że nie jesteś... – Zawiesza głos, a ja widzę, jak jego grdyka porusza się podczas przełykania.

Chce powiedzieć „że nie jesteś Beą”. Wiem to, a on wie, że ja wiem, ponieważ natychmiast odwraca wzrok. Ale po raz pierwszy zaczynam się zastanawiać, w czym rzecz. Przecież wiadomo, że ją uwielbiał, więc czemu nagle to, że jestem od niej inna, miałyby być moją zaletą?

– Przepraszam. – Eddie ściska moje palce. – Przepraszam, jeśli nie dość jasno ci okazuję, jak bardzo chcę, żebyś tu była. Jak bardzo cię potrzebuję i... tak, jak bardzo jesteś tu na miejscu. – Odwraca się przodem do mnie i spuszcza głowę, aż nasze czoła prawie się ze sobą stykają, a jego usta muskają moje. – Jestem w tobie cholernie zakochany, Jane – mruczy. Kiedy to słyszę, ciarki przechodzą mi po plecach. Ciepło jego oddechu owiewa mi twarz. – Tylko to się liczy. Nie żadne górniane osiedle, nie żadna Emily ani nic. To niepotrzebny biały szum. To... – Podnosi nasze złączone ręce i znowu je ściska. – To jest prawdziwe. I to się liczy.

Eddie całuje mnie w kostki dłoni, a ja czekam, w zasadzie wstrzymując oddech, bo jeżeli istnieje chwila, która idealnie nadaje się na oświadczenia, to ta chwila właśnie trwa, tu, w parku, przy zachodzie słońca, kiedy on na mnie patrzy w ten sposób, a ja nawet nie muszę udawać, że jestem zszokowana i oszołomiona. Jak to możliwe, że wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że tego pragnę?

Ale on opuszcza nasze dłonie, odwraca się i wzdycha.

– Spróbuję się częściej pojawiać, okej? Przesunę więcej obowiązków w Southern Manors na Caitlyn. Dwie firmy naraz to za dużo, ale w tej chwili nie mogę rzucić ani jednej, ani drugiej. Rozumiesz to, prawda?

Siedzę bez ruchu, nadal czuję dotyk jego ust na palcach i zastanawiam się, jak to się stało, że ta chwila prysła, dlaczego znowu jest mowa o jego pracy, a nie o oświadczeniach, więc nie pozostaje mi nic innego, jak tylko skinąć głową i wydusić słabe „Uhm”.

Odchrząkuję i lekko potrząsam głową. Boże, Jane, weź się w garść.

Przysuwam się bliżej, przeplatam rękę przez jego łokieć i opieram głowę na jego ramieniu. Rozczarowanie ciąży mi na sercu, jest jak zimny, twardy gład. I nie dlatego, że perspektywa roli pani Rochester jeszcze bardziej się ode mnie oddaliła.

Dlatego że szczerze chcę, aby Eddie mnie pragnął.

Ponieważ ja pragnę jego.

Następne spotkanie Komitetu Upiększania Osiedla odbywa się u Eddiego.

U mnie. Czasem tak myślę o tym miejscu. Ale myślenie a prawdziwe odczuwanie to dwie różne sprawy, więc kiedy po spotkaniu niosę do zlewu puste kieliszki, nie mogę pozbyć się uczucia, że znajduję się dokładnie w tym samym miejscu co na samym początku: bliżej mi do służącej niż do pani domu.

Spotkanie było w sumie bezcelowe i sędzę, że uczestniczki zwołały je tylko po to, by mieć powód przyjścia do tego domu. Kiedy siedziałyśmy w salonie i gadałyśmy o zdjęciach z Pinteresta i obrazach znalezionych w internecie po wpisaniu hasła „dekoracje ogrodu na jesień”, przez cały czas miałam wrażenie, że katalogują sobie w głowach, co stąd zniknęło, a co przybyło.

Po wyjściu innych Campbell i Emily ociągają się pod pretekstem, że pomogą mi pozbierać naczynia, ale wiem, że chcą jeszcze trochę poniuchać.

– Świetny jest ten dom – mówi Campbell, wkładając butelkę po winie do kosza ze szkłem. – To znaczy zawsze był, ale teraz wydaje się tu jakoś jaśniej, co, Em?

Emily mruczy i kiwa głową, dopijając resztkę wina z kieliszka.

– Zdecydowanie.

Dom ani odrobinę się nie zmienił od dnia, kiedy tu ostatnio były. Brakuje może paru zdjęć, ale jeśli chodzi o wystrój, nie dałam się ponieść gorączce zmian. Nie wiem, czy one próbują być miłe, czy raczej zarzucają haczyk, więc postanawiam sama dać im przynętę.

– Wszystko tu jest takie cudne, że nie chciałam niczego zmieniać. Bea miała naprawdę doskonały gust. – Śmieję się krótko, z zakłopotaniem, dla lepszego efektu. – Znaczy to w sumie jasne, bo na tym opierała się cała jej kariera.

Emily i Campbell wymieniają spojrzenia, a ja udaję, że tego nie widzę.

– Rzeczywiście wiedziała, co z czym dobrze wygląda – zgadza się po chwili Campbell i podchodzi, by oprzeć się obok mnie o granitowy kuchenny blat. – Ale wiesz co? Zawsze miałam wrażenie, że u Blanche jest jeszcze ładniej. Bez urazy, Jane – dodaje szybko, a ja macham ręką i wracam myślami do domu Ingrahamów. Były tam śliczne rzeczy, jasne, ale może Tripp tak wszystko zapuścił, że całość nie robiła takiego wrażenia.

– Boże, pamiętam, jak Blanche się wkurzyła, kiedy salon Bei znalazł się na rozkładówce świątecznego wydania „Birmingham Magazine” – wspomina Campbell, a ja dostrzegam rzucone w moją stronę ukradkowe spojrzenie Emily.

– Blanche zawsze miała fioła na punkcie świąt – odpowiada Emily ostrożnie.

– Raczej na punkcie Bei – mówi Campbell, krzywiąc się. Odwraca się do mnie i zakłada włosy za ucho. – Przepraszam. Stoimy w twojej kuchni i odgrzewamy stare plotki. Też mi atrakcja.

– Nic nie szkodzi – zapewniam i naprawdę tak myślę.

Mam wrażenie, że widzę migawki z życia Bei i Blanche, które niekoniecznie pasują do tego, co sądziłam, że już wiem, i chcę ich zobaczyć więcej. Może jeśli zdołam odmalować sobie pełny obraz Bei, przestanę się czuć tak, jakby ciągle tu była. Jakby w każdej chwili mogła wyłonić się zza rogu.

Czasem mi się zdaje, że naprawdę tak jest. Na przykład w ubiegłym tygodniu przyjechał dostawca świeżych kwiatów. Zamówienie złożone przez Beę, którego Eddie do tej pory nie anulował. Nie ma jej już prawie od roku, ale bukiet lilii i magnolii na głównym stole w moim domu należy do niej i za każdym razem, kiedy go mijam, mam wrażenie, że po prostu jej nie zauważyłam, że na chwilę zniknęła mi z oczu, ale zaraz wróci.

Teraz jednak Emily i Campbell kręcą głowami.

– Nie, już dosyć cię dziś wykorzystaliśmy. – Emily obchodzi wypę i całuje mnie w policzek. – Dziękujemy za gościnę.

– Do usług – odpowiadam, a Campbell się uśmiecha i poklepuje mnie po ramieniu.

– Jesteś kochana. Przekaż, proszę, Eddiemu podziękowania za to, że pozwolił nam się tu dziś spotkać.

Aaaaa, tu je mam. Nie uważają tego domu za mój.

Uśmiechając się z napięciem, odprowadzam je do drzwi. Nie chciałam się wykazać brakiem subtelności, ale teraz już raczej nie mam wyboru. Czuję, że to wszystko zaczyna mi się wymykać z rąk, powoli, powoli, ale jednak. Jeżeli wkrótce się nie zaręczymy, stracę cały ten obszar, który udało mi się do tej pory wywalczyć.

Więc kiedy Eddie prawie godzinę później wraca do domu, siedzę na kanapie z iPadem w ręku. Zgodnie z moimi przewidywaniami on się nachyla i całuje mnie w skroń.

– Moja dziewczynka – mruczy, a ja wyczuwam ten moment, kiedy spogląda na ekran.

Jego ciało sztywnieje.

– UCLA?

Wzruszam ramionami. Nie robię takiego gestu, jakbym chciała schować iPada, nie udaję też zażenowania. Jeśli chcę, by zadziało, Eddie musi myśleć, że traktuję to poważnie.

– Mówiłam ci, że rozważam studia magisterskie.

Prostuje się, ale kostki jego dłoni nadal spoczywających na oparciu kanapy bieleją.

– W Kalifornii?

Odwracam się, opieram stopy na podłodze i podnoszę na niego wzrok.

– Eddie, kocham cię i kocham tu mieszkać. Kocham być z tobą. Ale muszę się o siebie zatroszczyć. Sam rozumiesz.

Eddie się cofa, zakłada ręce na piersi.

– Rozumiem, ale myślałem... myślałem, że jasno się wyraziłem, że chcę cię mieć tutaj. Że tu jest twoje miejsce. Przy mnie.

Podnoszę się, staję na wprost niego i zadzieram brodę.

– Przez całe życie musiałam polegać tylko na sobie. Ludzie mówili, że mnie kochają, i składali obietnice, a potem ich nie dotrzymywali.

Jeszcze jeden krok w jego stronę. Ujmuję go za nadgarstek.

– Jediną osobą, której mogę zaufać, jestem ja sama, Eddie. Życie mnie tego nauczyło. W brutalny sposób. Nie możesz mnie winić, że planuję. Tak, planuję.

W jego szczęce drga mięsień. Czekam, prawie wstrzymując oddech. Eddie się odwraca i sztywno idzie do sypialni, a ja się załamuję. Spieprzyłam to. Działałam za ostro, za szybko i on zaraz mnie wyrzuci. Ja pierdolę, nie mogę robić magisterki, bo nie mam licencjatu, więc...

Eddie wraca. W jego ręku widzę aksamitne pudełeczko. Stoję skołowana tą karuzelą emocji, a on nagle zatrzymuje się przy mnie, przykłada na jedno kolano, otwiera pudełeczko i...

– Wyjdź za mnie – mówi ochrypłym głosem.

Gapię się na mieniący się iskrami pierścionek ze szmaragdem – wielki zielony kamień otacza aureola małych brylancików.

– Powinienem być cię o to poprosić już dawno – ciągnie – i chciałem.

– No chyba – mówię drżącym głosem, a on się cicho śmieje.

Bierze mnie za rękę. Z jego twarzy znika teraz napięcie.

– Proszę cię, Jane. Zostań moją żoną.

Wsuwa mi pierścionek na palec lewej ręki. Metal jest jedwabście gładki, wypolerowany ze starości, i choć pierścionek jest odrobinę za ciasny, wydaje się idealny.

Gapię się na swoją rękę. Taki wspaniały klejnot na moich zwyczajnych, drobnych palcach, palcach o nadal nieco nierównych paznokciach z poodłupywanym blad różowym lakierem. Coś ściska mnie za gardło, zaraz zabraknie mi powietrza, a serce wyskoczy mi z piersi. Wmawiam sobie, że to satysfakcja, zwycięstwo, udało się, kurwa, mam to, ale wiem, że chodzi o coś więcej.

O wiele, wiele więcej. I to mnie przeraża, ale też pierwszy raz w życiu czuję, że wolno mi pragnąć tak wiele.

I że to dostanę.

– A niech to – szepczę.

Eddie, nadal klęcząc, uśmiecha się do mnie.

– Czy to ma być „tak”?

Patrzę na niego, na tę jego przystojną twarz, niebieskie oczy, kolano oparte na drewnianej podłodze, i kiwam głową.

– Tak – mówię, a on się podrywa, bierze mnie w ramiona i mocno całuje. Ten pocałunek coś we mnie budzi, więc ciągnę go na kanapę, zdieram z niego ciuchy, nasze ciała przywierają do siebie.

Potem leżymy bezsilni, spoceni, w połowie ubrani, a ja bawię się jego wilgotnymi włosami na karku.

– Powinienem był cię poprosić w jakimś ładniejszym miejscu – mamrocze w mój obojczyk. – Zabrać cię na kolację.

– Ale wtedy nie moglibyśmy mieć tego – przypominam mu, szturchając go udem. – Albo moglibyśmy, ale obsługa by nas wyrzuciła i ładnie poprosiła, żebyśmy już nie wracali.

Eddie się śmieje, a potem podnosi głowę i patrzy na mnie.

– Jesteś pewna? – pyta. – Że chcesz za mnie wyjść, mimo że jestem taki żałosny?

Podciągam się, by pocałować go w usta.

– Wychodzę za ciebie właśnie dlatego, że jesteś taki żałosny – odpowiadam, a on znowu się śmieje.

Kiedy zmienia pozycję, widzę mój pierścionek połyskujący za jego ramieniem.

Pani Rochester.

Jestem zaręczona.

Ja pierdole. *Zaręczona.*

Nie mogę przestać patrzeć na pierścionek, na to, jak błyszczy w słońcu, jak ciąży mi na palcu i jaki jest przyjemnie chłodny.

Ale, co dziwne, chodzi o coś więcej niż pierścionek, niezależnie od tego, jak jest wspaniały. Chodzi o świadomość, że Eddie go kupił, zanim sama zapragnęłam, aby mi się oświadczył.

Czyli tego chciał. Wybrał mnie.

Do tej pory nikt mnie nigdy nie wybrał. Przez całe życie tylko mi się przyglądano i przekazywano mnie z rąk do rąk. A teraz – proszę.

Setki razy mijałam miejscowy sklep z sukniami i akcesoriami ślubnymi, zupełnie inny niż wielkie salony ślubne w centrach handlowych, i patrzyłam na delikatne koronki i jedwabie w oknie wystawowym. I mimo że nigdy nie ciągnęło mnie do typowo kobiecych klimatów, jeśli chodzi o stroje, to na widok białych cacek zawsze czułam się trochę... rzewnie. Tak, to chyba jest to słowo.

Nawet teraz, gdy otwieram drzwi, a mały dzwonek pobrzękuje nad moją głową, coś trzepocze mi w piersi.

Nie ma tu górnego oświetlenia, są tylko strategicznie rozmieszczone lampy stojące, wielkie szyby i okno dachowe. Suknie nie wiszą w ścisiku na ustawionych rzędami wieszakach, ciężkie spódnice i wyszywane koralikami gorsety nie zlewają się ze sobą, tak że nie można ich od siebie odróżnić. Nic podobnego. Tu stroje prezentowane są na staroświeckich drucianych manekinach lub przewieszane przez elementy stylowych mebli, jakby panna młoda przed chwilą się przebrała i swobodnie zarzuciła suknię na drzwi szafy.

Właściciel tego sklepu nie musi się obawiać, że któraś z klientek pobrudzi suknię albo ją uszkodzi – żadna nie dopuściłaby się takiego nietaktu – nie ma więc potrzeby pakować sukien w kilometry folii

chroniącej przed brudnymi rękami jak w tańszych salonach ślubnych.

Kobieta, która do mnie podchodzi, ma miękkie jasne włosy upięte nisko w elegancki kok, a jej strój przypomina mi Beę, którą widziałam na zdjęciach. Jest elegancki i zarazem kobiecy: to wytworna prosta czarna sukienka bez rękawów, perły i pantofle w pepitkę z małą amarantową kokardką nad piętą.

Ma na imię Huntley, no bo jak inaczej.

Dostrzegam spojrzenie, jakim omiata mój pierścionek, i choć z całą pewnością nie należy do osób na tyle prostackich, by podliczać w głowie wartość klientek, jej uśmiech wyraźnie się ociepla.

Wiem, że wiele dziewczyn snuje marzenia o swoim ślubie, lecz ja nigdy tego nie robiłam. Naprawdę. Może to, że kiedykolwiek wyjdę za mąż, wydawało mi się zbyt mało prawdopodobne, a może po prostu miałam na głowie inne, poważniejsze sprawy, które wymagały uwagi.

Teraz okazuje się, że uwielbiam to jak cholera.

Chodzimy po sklepie, rozmawiamy o odcieniach bieli i kości słoniowej, różnicach między skorupką jajka a wanilią, o włosach upiętych lub rozpuszczonych i rodzajach welonów, które w związku z tym wchodzi w grę. Kiedy Huntley daje mi do przejrzania katalog z próbkami tkanin, omal nie mdleję.

Wychodząc z salonu, jestem na przyjemnym haju, którego wcale nie wywołały dwie lampki szampana wypite z Huntley podczas rozmowy.

Wychodzę za Eddiego Rochesterą.

Zostanę jego żoną i będę mieszkać w tym cudownym domu, a popołudnia takie jak to dzisiejsze, popołudnia spędzone nie na wychodzeniu z cudzymi psami, obsłudze klientów, parzeniu kawy lub wożeniu ludzi uberem, nie będą tylko chwilami wytchnienia. Będą moją codziennością.

– Jane?

To Emily. Stoi z tekturowym kubkiem w ręku, jej twarz zasłaniają wielkie ciemne okulary. Zerka na pasiastą markizę salonu i otwiera usta ze zdumienia.

– O, kochana, nawet nie chcę słyszeć, że byłaś tam bez powodu. Mój uśmiech nie jest ani odrobinę fałszywy.

– Okazuje się, że jednak przypieczętował to pierścionkiem.

Emily piszczy, zarzuca mi ręce na szyję i bierze mnie w objęcia pachnące wodą Santal 33.

Sama też nią pachnę, odkąd dwa miesiące temu zwędziłam flakonik z jej łazienki.

– Pokazuj, szybko – żąda, kiedy się od siebie odsuwamy, i macha rękami, żebym wysunęła dłoń.

Ogarnia mnie kolejna fala czegoś, co podejrzenie przypomina radość, a najpewniej jest zastrzykiem adrenaliny po zwycięstwie.

Nie opanowałam jeszcze do perfekcji tego ruchu – ruchu prezentowania pierścionka, i zwalczam pokusę, by wykonać gest, który przyuważyłam u dziewczyn w telewizji: wygiąć cały nadgarstek, jakbym oczekiwała, że prócz wyrażenia zachwyty dla pierścionka Emily go także ucałuje.

Ostatecznie czuję się tak, jakbym zwyczajnie wystawiła rękę do inspekcji. Jestem zażenowana i nagle bardzo świadoma tego, jak niestosownie wygląda ten szmaragd przy moich niezadbanych dłoniach o zniszczonym manikiurze.

Ale Emily wzdycha.

– Cudowny. I tak do ciebie pasuje!

Unoszę rękę i sama mu się przyglądam.

– Nadal nie mogę się do niego przyzwyczaić – mówię. – To wszystko zmiotło mnie jak trąba powietrzna, ale dzięki pierścionkowi stało się prawdziwe. Wiesz, o co mi chodzi?

Uśmiecham się do niej.

– Pamiętam, kiedy sama tak się czułam. Pierścionek zdecydowanie cementuje sprawę – mówi Emily, po czym unosi brwi i pyta: – Sama wybierałaś?

Kręcę głową. Patrzę na szmaragd otoczony brylancikami.

– Nie, Eddie wybrał. Jest o wiele większy niż cokolwiek, co sama bym wybrała, ale uwielbiam szmaragdy, więc nie narzekam.

Emily kiwa głową.

– Eddie ma świetny gust, jeśli chodzi o biżuterię. Zawsze myślałam... – Urywa i ściąga wargi, a ja wiem, że już miała

powiedzieć coś o Bei, ale się powstrzymała.

Nie chcę, żeby Bea popsuła mi tę chwilę, więc szybko się odzywam.

– Tak tylko zajrzałam, w sprawie ślubu jeszcze nie ustaliliśmy nic konkretnego – mówię lekko, a jej ramiona nieco się rozluźniają.

– Stawiacie na dużą fetę? Mnóstwo rodziny?

Do tej chwili nie przyszło mi do głowy, żeby się zastanowić, jak właściwie mógłby wyglądać mój ślub z Eddiem. Byłam tak pochłonięta ideą bycia panią Rochester, że w zasadzie nie poświęcałam żadnej myśli samej uroczystości. Teraz jednak nie mogę się skoncentrować na niczym innym – mam przed oczami wielki kościół: po stronie Eddiego wszystkie ławki pełne, jego rodzina z Maine stawiała się w całości, natomiast po mojej stronie wszystkie puste, wszystkie z wyjątkiem tej, w której siedzi John Rivers i je płatki z mlekiem. Obraz jest tak groteskowy i wstrętny, że dosłownie potrząsam głową, żeby go z niej wyrzucić. Emily najwyraźniej odbiera to jako odpowiedź na swoje pytanie.

– A zatem cichy ślub – mówi Emily z uśmiechem. – Uwielbiam takie. Klasa i elegancja. Stosownie do sytuacji.

Znowu przenosi wzrok na mój pierścionek, a ja przesuwam torby tak, żeby go zasłoniły, i posyłam jej swój najlepszy beznamiętny uśmiech – dokładnie taki sam, jaki podpatrzyłam u niej, u Campbell i u Caroline McLaren.

– Właśnie – mówię przesłodzonym głosem i wskazuję na drogę. – Przepraszam cię, mam jeszcze parę spraw do załatwienia, więc...

– Jasne, jasne. – Emily macha ręką. Brylant w jej pierścionku zaręczynowym, co najmniej trzykaratowy, w szlifie princessa, łapie i odbija światło. – I milczę jak grób!

– Nie musisz. – Lekko wzruszam ramionami. – To nie żaden sekret.

Prawda jest taka, że chcę, aby wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Aby całe Thornfield Estates miało dziś o czym mówić przy kolacji.

Wstępnie i niekonkretnie umawiamy się na kawę w tym tygodniu i każda z nas rusza w swoją stronę. Emily pisze coś na telefonie. Na

następnym spotkaniu Komitetu Upięszania Osiedla wszyscy będą już wiedzieć, a ja znajdę się w centrum uwagi.

Wracając do domu, postanawiam wstąpić do Whole Foods po jakieś zakupy. Odkąd poznałam Eddiego, nie przygotowałam mu jeszcze ani jednego posiłku i myślę, że to może być miły pomysł. Jest dość późne wiosenne popołudnie, moglibyśmy się przełączyć na tryb podmiejski i wrzucić coś na grilla.

Uśmiecham się z zadowoleniem i wjeżdżam na parking.

W sklepie panuje spokojna atmosfera, alejki są szerokie, a muzyka kojąca. W porównaniu z Piggly Wiggly, gdzie się kiedyś zaopatrywałam, to zupełnie inny świat.

Popycham wózek i zastanawiam się, czy Eddie się zorientuje, że kupiłam gotowe jedzenie. Uwielbiam wyszukane żarcie, ale, jeśli mam być szczerą, zaczynam mieć go trochę dość. Niedawno złapałam się na tym, że tęsknię za makaronem z serem – i to nie tym z Annie's Organics, nie tym mrożonym, który ma przyzwoity skład, lecz tym w niebieskim pudełku, za dolara.

Prycham i skręcam w inną alejkę. Kogo ja chcę oszukać? To porządny sklep, nie sprzedają tu byle czego jak w tanim markecie. Gapię się więc na pięćdziesiąt rodzajów hummusu i tapenady i zastanawiam się, czy by po drodze do domu nie wstąpić na stację benzynową. Może tam będą mieli mój ulubiony makaron z serem.

– Miło cię widzieć.

Od razu rozpoznaję ten głos, nawet nie muszę się odwracać.

Tripp Ingraham stoi za mną w koszulce polo i szortach khaki, z koszykiem zawieszonym na przedramieniu. Rzut oka do koszyka ujawnia puszki piwa rzemieślniczego i kilka opakowań z mrożonymi, ale rzekomo zdrowymi posiłkami.

Tripp wygląda trochę lepiej niż wtedy, gdy go ostatni raz widziałam. Wciąż jest jakby wzdęty, różowe polo opina się na jego niepokojąco krągłym, gładkim brzuchu, ale rysy twarzy wróciły już do normy, a krew odpłynęła z białek oczu. Przyczesał nawet włosy. Może zdołał wytrzymać bez drinka aż do południa.

Uśmiecham się drętwo i nieśmiało macham ręką.

– Dzień dobry, panie Ing... Tripp.

Kącik jego ust unosi się ni to w uśmiechu, ni to w złośliwym grymasie.

– No tak, przecież już u mnie nie pracujesz – mówi. – Podobno powinienem ci pogratulować – dodaje.

Boże, Emily działa szybciej, niż sądziłam.

– Dziękuję – odpowiadam. – Jesteśmy bardzo szczęśliwi. Miło było cię spotkać.

Chcę się koło niego prześlizgnąć, ale on twardo stoi pośrodku alejki. Choć przyciśnięcie Trippa Ingrahama sklepowym wózkiem do regału przyniosłoby mi nie lada satysfakcję, przystaję i spoglądam na niego z uniesionymi brwiami.

– Więc kiedy dokładnie to się stało? – pyta, machając wolną ręką. – To znaczy ty i Eddie? Bo muszę przyznać, że mnie to zaskoczyło.

– Nas również – odpowiadam, nadal uśmiechnięta.

Napominam się, że muszę być tą dziewczyną, za którą Tripp mnie uważa, niewinną studentką świeżo po licencjacie, która zarabia, wyprowadzając psy na spacer, i której się poszczęściło. Ciekawe, kiedy wreszcie poczuję, że mogę porzucić tę farsę i zachowywać się normalnie, jak zwyczajna... ja.

– Wiesz, nigdy nie rozumiałem tego całego „fenomenu” Eddiego. – Unosi ręce i pokazuje palcami cudzysłów. Ciężki koszyk kołysze się w zgięciu jego łokcia.

Nie wysilam się, żeby się dowiedzieć, co konkretnie ma na myśli, bo po pierwsze on wyraźnie czeka, aż go o to spytam, a po drugie chcę już stąd iść. Ale właśnie się okazuje, że kiedy chodzi o kobietę, Trippa Ingrahama nie powstrzyma taka drobnostka jak brak zainteresowania.

– Jest przystojny, owszem, miły, jak sprzedawca używanych samochodów, ale Boże, gdy się patrzy na reakcję kobiet z osiedla, to można by pomyśleć, że ma fiuta jak stąd do Afryki.

Okej, może źle oceniłam stan trzeźwości Trippa.

Ale dobrze się składa – teraz dał mi powód, bym stanowczo go wyminęła, zadzierając przy tym brodę jak ktoś, kto jest śmiertelnie urażony i skrzepowany, nie tylko wkurzony.

Ustępuje mi z drogi dosłownie w ostatniej chwili, jeszcze sekunda i wjechałabym w niego wózkiem, a kiedy dochodzę do końca alejki,

woła:

– Mam tylko nadzieję, że nie lubisz rejsów łódką.

Kiedy się na niego oglądam, ma zaciętą, brzydką minę.

– Bo kobiety, które znajdują się w pobliżu Eddiego Rochestera i łódek, mają pecha – dodaje i odchodzi.

Wracam do działu warzyw i owoców, zostawiam w połowie wypełniony wózek i idę do drzwi.

Droga do domu nie trwa dość długo, bym zdążyła się otrząsnąć z nieprzyjemnego nagłego strachu, który zasiał we mnie Tripp Ingraham – nikt inny, tylko pieprzony Tripp Ingraham. Znowu widzę bladą, zielonkawą twarz Bei pod wodą. Kiedy wjeżdżam na podjazd, mam żołądek w gardle.

– Przestań, przestań, przestań – mamroczę do siebie i przykładam ręce do twarzy.

Żona Eddiego utonęła na skutek wypadku, a wraz z nią jej najbliższa przyjaciółka. Eddiego nawet przy tym nie było, a panie nieźle sobie popiły i być może o coś się pokłóciły. Takie rzeczy się, kurwa, zdarzają.

Próbuję przywołać wspomnienie wizyty w salonie ślubnym, uśmiechu Huntley i tego, jak mnie traktowała – jakbym właśnie wstąpiła do jakiegoś prestiżowego klubu – i związane z tym uczucie przyjemności. Uścisku Emily i jej promiennego uśmiechu na widok pierścionka. To się teraz liczy.

Kiedy wchodzę do domu, okazuje się, że Eddie już wrócił. Przebrał się nawet w szorty i koszulę z guziczkami przy kołnierzyku. Teraz, kiedy już poznałam zawartość jego szafy, wiem, że ma ich mnóstwo, we wszystkich kolorach tęczy. Mężczyźni to potrafią – kiedy już natrafią na coś, w czym dobrze wyglądają, chodzą w tym do końca życia.

– O, jest moja dziewczynka – mówi z ożywieniem na mój widok.

Uśmiecham się na powitanie, ale musi być po mnie widać, że jestem wytrącona z równowagi, bo Eddie od razu marszczy czoło.

– Wszystko w porządku?

Wślizguję się w jego ramiona i wzdycham, kiedy się wokół mnie zamykają; moja głowa idealnie mieści się pod jego podbródkiem.

– Długa wyprawa w poszukiwaniu sukni ślubnej – mówię, a on cicho się śmieje.

Jego ręce miarowo masują mnie po plecach.

– Chybabym nie przeżył. Piwa?

Przytakuję, choć głowa trochę mnie boli po tych dwóch kieliszkach szampana, a poza tym jest dopiero trzecia.

Eddie przyciska usta do mojego czoła, puszcza mnie i idzie do lodówki, a ja odkładam torebkę, wchodzę do kuchni i biorę dwie limonki ze srebrnej misy na blacie.

– Na pewno nic ci nie jest?

Eddie znowu gładzi mnie po plecach, a ja zmuszam się do uśmiechu i kroję limonki na ćwiartki, żeby wrzucić je do piwa.

– Nie, wszystko gra – odpowiadam i kręcę głową. Odgarniam kosmyk z czoła wierzchem dłoni. – Po prostu natknęłam się na Trippa Ingrahama i było bardzo dziwnie.

Eddie nieruchomieje. Spuszcza na mnie wzrok.

– To znaczy jak?

Nie jestem do końca pewna, ile chcę mu zdradzić. Nerwy wciąż mam napięte i boję się, że jeśli powiem mu prawdę, źle to zrozumie. Pomyśli, że wystraszyło mnie to, co Tripp mówił o nim i o łódkach. A wmawiam sobie, że wcale tak nie było. Uśmiecham się więc do Eddiego i upuszczam nóż na blat.

– Oj, sam wiesz, jaki on jest i czego można się po nim spodziewać.

– Zarzucam mu ręce na szyję i przywieram do niego. – Myśli, że wychodzę za ciebie dla pieniędzy.

Niepokój częściowo znika z jego twarzy, kiedy Eddie obejmuje mnie w talii i kładzie dłonie na moich biodrach.

– Mam nadzieję, że wyprowadziłaś go z błędu i powiedziałaś, że robimy to dla seksu.

– No jasne – odpowiadam, a kiedy on opuszcza głowę do pocałunku, przygryzam mu dolną wargę i zapominam o Trippie Ingrahamie i bzdurach, które wygadywał.

Potem siedzimy na dworze w drewnianych fotelach, a przed nami w dużym kręgu z kamieni trzaska ogień. Nieopodal dymi grill, a zapach pieczonego mięsa przypomina mi letnie noce w Phoenix, kiedy nieruchome powietrze było tak suche, że jedna zabłąkana iskra mogła wzniecić pożar.

Przewrócony grill, rozżarzone węgle rozsypane na żwirowym podjeździe, płacz Jane, tej prawdziwej, czerwona twarz pana Brocka, oszroniona puszka z piwem w jednej jego dłoni, kuchenne szczypce w drugiej.

Jego fartuch z wizerunkiem wielkiej żaby o czerwonych, ułożonych w obsceniczny dzióbek wargach i napisem „Pocałuj kucharza”, ja leżąca na kamieniach, piekąca ręka, piekąca twarz i zdziwienie, jaki durny jest ten fartuch i jak to możliwe, że taki człowiek może mieć nad nami taką władzę.

Nie myślałam o tym od dawna. Wyparłam to wspomnienie, ale teraz wróciło – to ohydne wspomnienie wróciło do mnie akurat tu i teraz, w tym doskonałym miejscu.

Spuszczam wzrok i znowu przyglądam się pierścionkowi, obracam rękę to w tę, to w tamtą stronę, łapię odbicie ognia w szlachetnym kamieniu.

„To minęło. Już cię nie dotknie. Nawet gdyby John powiedział nie wiadomo co”.

Eddie wzdycha. Siedzi obok mnie z wyciągniętymi nogami. Naprawdę dobrze dziś wygląda. Mam wrażenie, że kiedy go poznałam, wydawał się jakiś szorstki i wykończony, a przez tych kilka miesięcy złagodniał, jego rysy jakby się wygładziły. Czuję lekki przypływ satysfakcji. „To moja zasługa”, myślę. „Ja go uszczęśliwiłam. Wygląda tak dzięki mnie”.

I wkrótce mam zostać jego żoną.

Przypominam sobie suknie ślubne, które dziś widziałam – wiszący na wystawie welon. Aż mnie świerzbiło, żeby go przymierzyć.

– Chyba powinniśmy stąd uciec.

Nie zdawałam sobie sprawy, że to powiem, dopóki nie usłyszałam własnych słów, ale skoro już je wypowiadam, wiem, że nie chcę ich cofnąć.

Eddie zamiera z piwem uniesionym do ust. Potem upija trochę, przełyka i opuszcza rękę, po czym patrzy na mnie i mówi:

– Nie musimy robić niczego, czego nie chcesz robić.

– Chodzi tylko o to, że... ja nie mam dużej rodziny – mówię. – A tu, w Birmingham, prawie nikogo nie znam, przynajmniej nikogo, kogo chciałabym widzieć na swoim ślubie.

Eddie lekko się uśmiecha i unosi brwi.

– Ja też nie chcę, by ten dupek John zjawił się na moim ślubie. – Wyciąga rękę, bierze moją dłoń i rysuje na niej kółka kciukiem. – Janie, powiedz jedno słowo, a pobierzemy się jutro w ratuszu. Albo nad jeziorem. Co tam, jeśli chcesz, możemy nawet jechać do Tennessee i wynająć sobie kiczowatą górską chatę. A, i słyszałem, że w Gatlinburgu są kaplice do udzielania ślubów bez wysiadania z samochodu.

Uśmiecham się, ale nic nie mówię. Ignoruję dziwny ciężar na sercu, który pojawia się na myśl o tym, że mogłabym wyjść za faceta takiego jak Eddie, ale ślub mieć taki, jak dziewczyny mojego pokroju. Czyli tani, szybki i byle jaki. Proponując ucieczkę, wyobrażałam sobie przysięgę małżeńską na białym piasku plaży i kameralną noc poślubną w wielkim łóżu pod zwiewną moskitierą. Nie miałam na myśli ślubu przez opuszczoną szybę samochodu, jakbym zamawiała frytki, a potem jechała do przydrożnego motelu z jaskrawym neonem reklamującym parking gratis.

Mimo to jestem pewna jednego: że nie mogę wyjść za mąż tutaj. Nie mogę, ubrana w strojną suknię, kroczyć nawą dużego kościoła i patrzeć, jak te wszystkie Campbell i Caroline, przyjaciółki Bei, mnie z nią porównują.

Zabieram puste butelki i idę do domu. Kiedy odsuwam drzwi tarasowe, słyszę dochodzący gdzieś z góry hałas.

Zamieram i nasłuchuję.

Słyszę drugie łupnięcie, a za nim trzecie i czwarte.

Zasuвам za sobą drzwi i zerkam na dwór, na Eddiego. Siedzi w fotelu z rękami założonymi pod głową i wpatruje się w ciemniejące niebo. Zakradam się dalej w głąb domu.

Hałasy są teraz rytmiczne. Miarowe łup, łup, łup brzmi jak bicie serca.

Przypominam sobie opowieść, którą czytaliśmy w gimnazjum – o mężczyźnie pochowanym pod drewnianą podłogą i o jego mordercy, któremu się zdawało, że ciągle słyszy bicie serca ofiary. Przez koszmarną sekundę mój mózg wyczarowuje Beę.

Nagle dźwięki cichną.

Stoję, prawie nie oddycham, pusta butelka dynda mi pomiędzy palcami. Czekam.

Trzy gwałtowne uderzenia w drzwi wejściowe sprawiają, że serce omal nie wyskakuje mi z piersi. Jedna z butelek rozbija się o podłogę, a ja wydaję dziwaczny dźwięk pomiędzy panicznym krzykiem a głośnym wdechem.

Ten hałas, który słyszałam, dochodzi od drzwi, nie z góry. Po prostu ktoś puka.

– Jane?

Widzę Eddiego przez drzwi tarasowe. Nadal siedzi w fotelu, woła mnie swobodnym tonem, przez ramię, nie odwracając głowy. Patrę spode łba na tę głowę, na te idealnie zmierzwiowane włosy.

– Jestem, jestem – odkrzykuję. – Tylko ktoś puka.

Pukanie się powtarza, gdy dochodzę do holu. Otwieram. Przed drzwiami stoi kobieta. Ma na sobie spodnie khaki i niebieską koszulę. Przy pasku widzę odznakę.

Policjantka.

Serce tak mi wali, że ona musi to słyszeć. Kładę dłoń na obojczyku, czuję nagłą wdzięczność za pierścionek ze szmaragdem, dzięki któremu jestem dla niej kimś.

Przypominam sobie, że nie mam już powodu się bać. Kobieta stojąca na ganku nie widzi we mnie dziewczyny, którą kiedyś byłam, nie wie o rzeczach, które zrobiłam. Nie patrzy na mnie podejrzliwie, nie mruży oczu, nie zaciska ust. Widzi kobietę, która

pasuje do tego domu, kobietę ubraną w ciuchy od Ann Taylor, kobietę, która nosi prawdziwą biżuterię, kobietę, której mysie włosy nie są ściągnięte w byle jaki kucyk, kobietę z drogim makijażem, który ma wyglądać tak, jakby go nie było.

Oto kogo widzi. Przyszłą panią Jane Rochester.

Moje ciało nie przyjmuje tego jednak do wiadomości. Serce nadal wali, żołądek się kurczy, a kolana uginają.

– Dzień dobry. – Policjantka z uśmiechem wyciąga do mnie rękę.

– Jestem z policji. Oficer śledcza Laurent. Bardzo mi przykro, że zakłócam pani kolację.

Jej dłoń jest ciepła i szorstka. Potrząsam nią, nie odrywając lewej ręki od obojczyka.

– Nie jedliśmy – mówię. Myślę o Campbell i Emily, o tym, jak one by zareagowały, gdyby w wiosenny wieczór na ich progu stanęła policjantka. – Czy coś się stało? – pytam z troską i ze zdziwieniem ściągając brwi.

Pojawienie się policjantki wprowadziłoby Emily i Campbell najwyżej w zakłopotanie, nie mogłoby się przecież w żaden sposób wiązać z nimi, bo one oczywiście nie zrobiły nic złego. W Thornfield Estates policji nie należy się bać – należy jej ufać. Bo zawsze jest po twojej stronie.

Śledcza Laurent marszczy czoło, po obu stronach jej ust powstają głębokie bruzdy. Jest starsza, niż mi się początkowo zdawało, dopiero teraz widzę siwe nitki przebłyskujące w jej czarnych włosach.

– Czy zastałam pana Rochesterą? – pyta, a mnie nagle zasycha w ustach.

A więc stało się. John do kogoś zadzwonił, ten ktoś wie i dlatego dzisiaj wróciło do mnie wspomnienie z Phoenix. Podskórnie wyczułam, że ta sprawa na mnie czyha, a to, co mam, właśnie się skończyło.

– Pani oficer, dzień dobry.

Eddie stoi tuż za mną, otacza mnie ramieniem w pasie, ciężko opiera dłoń na moim biodrze. Jego dotyk sprawia, że od razu czuję się lepiej. Nienawidzę tego. Nigdy nie należałam do kobiet, które kryją się za plecami mężczyzny, ale muszę przyznać, że miło jest

mieć go przy sobie. Oficer lustruje wzrokiem jego roleksa, jego bosa stopy na marmurowej posadzce.

– Miło znowu panią widzieć – mówi Eddie i błyska uśmiechem.

Mrugam i podnoszę na niego wzrok.

Eddie się stresuje. Stoi wprawdzie swobodnie, czuję, że jest rozluźniony, ale wiem, że on tego nie robi – nie stosuje uroku osobistego bez powodu. A kiedy spoglądam na jego szyję, opaloną, otoczoną jaskrawą zielenią kołnierzyka, widzę, że krew gwałtownie pulsuje mu w żyłę.

Detektyw Laurent się do niego uśmiecha, ale jej uśmiech jest drętwy, powierzchowny, nieautentyczny.

– Musimy zadać panu jeszcze kilka pytań, jeśli pan pozwoli – wyjaśnia. – W sprawie pańskiej żony.

Część IV. Bea

Bea nie chciała spotykać się z Blanche i Trippem na kolacji, ale w końcu co tradycja, to tradycja, a ta, ich osobista, polegała właśnie na tym, że co drugi czwartek wychodzili gdzieś we czwórkę. Dziś była to nowa knajpa w Homewood, gdzie serwowali wymyślne potrawy z grilla i drinki niewarte swojej ceny. Siedzą na zewnątrz, przy stoliku z kutego żelaza, na drzewach wiszą łańcuchy lampek, a ona walczy z pokusą, by co dziesięć minut nie zerkać na telefon.

Ostatnio zdała sobie sprawę, jak niewiele łączy ją z Blanche, a Eddie i Tripp nie mają o czym ze sobą rozmawiać – to się rzuca w oczy. Wyczerpują temat futbolu, zanim kelner przynosi drinki, a potem Tripp rozpoczyna monolog o nowej rodzinie, która wprowadziła się na osiedle i zawiesiła sobie kosz do koszykówki, w związku z czym on zamierza złożyć skargę do wspólnoty mieszkaniowej. Eddie się do niego uśmiecha, ale kiedy się odzywa, w jego głosie słychać poirytowanie.

– A może po prostu pozwolisz ich dzieciakom bawić się na własnym podjeździe? Nie sądzisz, że to lepsza opcja?

– Też mu tak mówiłam – włącza się Blanche, wywraca oczami i sięga do ramienia Trippa, żeby go szturchnąć.

Nie pojawiła się dziś na wpół pijana, a wino w jej kieliszku jest prawie nietknięte. Bea bierze to za dobry znak. Zwraca też uwagę na to, że Blanche wygląda dziś znacznie korzystniej niż w ostatnim czasie, ma ładny, subtelny makijaż, a prosta różowa sukienka podkreśla jej promienną cerę. Kolejny dobry znak.

Bea wie, że Blanche jest nieszczęśliwa, wie, że nudzi się przy Trippie, w Thornfield Estates i w swoim życiu, że wszystkie komitety i grupy, do których się zapisała, nie wypełniają pustki, ale nic nie może z tym zrobić. Nie jest w stanie rozmawiać o tym z przyjaciółką. Za każdym razem, kiedy próbuje do tego nawiązać, Blanche albo zmienia temat, albo – jeśli za dużo wypita – rzuca jakiś kąśliwy komentarz o tym, że Bea nie wychodzi z pracy.

Dziś jest jednak odprężona, szczęśliwa i Bea patrzy na nią z ulgą. Myśli, że może gdzieś tam w środku jest jeszcze dawna Blanche.

Kelner właśnie podaje jedzenie, gdy Blanche mówi:

– Wiecie co? Tak nam się spodobał wasz dom po remoncie, że zastanawiamy się z Trippem, czy u siebie też czegoś nie zmienić.

A to niespodzianka. Bea wie, że u Ingrahamów się ostatnio nie przelewa, ale przecież nie może tego powiedzieć na głos.

Najwyraźniej nie ona jedna jest zaskoczona.

– O, naprawdę? Zastanawiamy się? – pyta Tripp.

Jest już przy trzecim bourbonie, odchyła się na oparcie krzesła, jedzenia prawie nie tknął, rumieńce wystąpiły mu na policzki. Nadal jest na swój sposób przystojny, jednak przy każdej z tych wspólnych kolacji Beę – czy tego chce, czy nie – nachodzi refleksja, że w porównaniu z nim Eddie wygląda o niebo korzystniej.

Blanche macha na męża ręką.

– Mówiłam ci o tym. Pewnie zapomniałeś. Albo nie słuchałeś. Albo byłeś pijany.

Bea przyzwyczaiła się już do kąśliwego tonu, którym Blanche zwraca się do Trippa. On też się do niego przyzwyczaił, więc tylko prychnął i upija kolejny łyk drinka.

– Rób, co chcesz, kochanie – mówi. – Tak jak zawsze.

Blanche go ignoruje i wychyla się do przodu, skupiona na Eddiem.

– Oczywiście chcielibyśmy to zlecić twoim ludziom – oznajmia, a Eddie uśmiecha się, krojąc mięso.

– Właśnie miałem zamiar powiedzieć, że mam nadzieję, że o tym mówisz, bo chcesz skorzystać z naszych usług, w przeciwnym razie byłoby to strasznie niezręczne.

Wszyscy się śmieją, a Bea wyciąga rękę, kładzie ją na udzie Eddiego i lekko je ściska.

– Masz już pełny grafik, kochanie – przypomina mu.

Jednocześnie dostrzega skierowane na nich dwoje, a zwłaszcza na jej rękę na udzie męża, spojrzenie Blanche. Nie potrafi sprecyzować, czemu nie chce, by Eddie pracował u przyjaciółki. Tłumaczy sobie, że przecież Blanche i Tripp są teraz bez forsy, że to będzie strata czasu dla wszystkich, a poza tym, skoro ona wyłożyła kapitał na stworzenie firmy

budowlanej Eddiego, to teraz powinna mieć głos w sprawie zleceń, które firma przyjmuje.

Jednak chodzi o coś jeszcze. O coś więcej, o coś, czego nie potrafi jeszcze wskazać ani nazwać. Ma to coś wspólnego ze stalowym błyskiem w oczach Blanche, nawet kiedy ta się do niej uśmiecha.

Eddie klepie dłoń Bei i wraca do jedzenia.

– Dla przyjaciół czas się zawsze znajdzie – odpowiada swobodnie.

Blanche uśmiecha się szerzej.

– To świetnie. Bo już mam chyba ze sto pięćdziesiąt różnych pomysłów.

We wspomnieniach Bei reszta wieczoru się rozmywa. Bea pije trochę więcej niż zwykle i ciągle obserwuje Blanche, zastanawia się, o co w tym wszystkim chodzi, walczy z pokusą, by prosto z mostu wypalić, że wie o problemach finansowych Ingrahamów.

A kiedy Blanche mówi: „Zawsze mi się podobała ta wasza otwarta kuchnia. Może też moglibyśmy pójść w tym kierunku?“, Bea ma taką ochotę rzucić sarkastyczny komentarz, że niemal fizycznie czuje te słowa na języku.

To oczywiste, że Blanche pragnie tego samego, co mają Bea i Eddie. Oczywiste, że ich dom jest ładniejszy. Oczywiste, że Blanche nie jest w stanie znieść faktu, że Bea po tylu latach wybiła się wyżej niż ona.

Wieczór kończy się bez niespodzianek, czyli Tripp mocno się wstawia. Tym razem tak mocno, że Eddie musi go odprowadzić do samochodu.

Bea i Eddie zaparkowali na ulicy, a Tripp i Blanche na małym parkingu za restauracją, więc Bea idzie do samochodu sama, z kluczykami w ręku. Dopiero gdy otwiera drzwi od strony pasażera, ogarnia ją dziwna, niewyjaśniona potrzeba sprawdzenia, co się dzieje przy samochodzie Ingrahamów. Szybko przechodzi przez chodnik i z ukrycia za rogiem budynku wygląda na parking, gdzie zaparkowali tamci.

Latarnie doskonale oświetlają Eddiego i Blanche stojących obok potężnego SUV-a. Eddie musiał już zapakować Trippa na tylne siedzenie, bo są tylko we dwoje – jej mąż i jej najlepsza przyjaciółka.

Blanche stoi blisko Eddiego – zdaniem Bei za blisko – jej twarz zalewa pomarańczowe światło. Uśmiecha się, a Eddie odpowiada jej uśmiechem. To ten sam uśmiech, którym oczarował Beę na Hawajach, ten płynący

z wnętrza, ten, od którego w kącikach jego oczu pojawiają się potrójne zmarszczki, ten sam, od którego zawsze robiło jej się ciepło na sercu, bo skądś wiedziała, że on nie uśmiecha się tak do nikogo innego. Myślała, że ten uśmiech zarezerwowany jest tylko dla niej, ale okazuje się, że nie. Teraz należy też do Blanche.

Bea czuje odrętwienie. Odwraca się. Jej obcasy stukają na asfalcie.

A więc tego pragnie Blanche. To o to chodzi z „remontem”.

Nie pragnie domu Bei.

Pragnie jej męża.

Wrzesień, dwa miesiące po Blanche

Zabrzmiałoby to dziwnie (zresztą czy tutaj wszystko nie brzmi dziwnie?), ale wyrabiam sobie pewną rutynę.

To znaczy wyrabiamy sobie.

Eddie nie przychodzi codziennie, tylko co trzy dni. Za każdym razem wygląda to tak samo. Przynosi jedzenie i wodę, tyle, żeby starczyło mi do następnego razu. A w zasadzie więcej. Zapasowe butelki z wodą stoją pod ścianą.

Przez kilka pierwszych tygodni oszczędzałam. Racjonowałam sobie jedzenie i wodę, na wypadek gdyby długo się nie zjawiał, ale (znowu coś dziwnego) potem nabrałam przekonania, że on nie zamierza mnie tu zostawić na śmierć głodową.

Nadal ze mną nie rozmawia, a ja mam w głowie miliony pytań, które chciałabym mu zadać. Nie tylko takich oczywistych jak „Po co to, kurwa, robisz?”, lecz i szczegółowych. Chcę wiedzieć, co powiedział o mnie światu, chcę wiedzieć, co się stało z Southern Manors. Czy ludziom mnie brakuje? Czy brakuje im Blanche?

Musi być jakiś sposób, żeby go zmusić do rozmowy.

Myślę, że jeśli wkrótce nie będę mogła z kimś pogadać, zeświruję.

*

Dziś wreszcie przełam.

Dzięki koszuli – koszuli!

Kiedy Eddie zjawił się z jedzeniem, zauważyłam, że ma na sobie tę niebieską wizytową koszulę, którą mu kupiłam na naszą rocznicę. Jest dokładnie w tym odcieniu co jego oczy, i dlatego właśnie ją wybrałam. Oczywiście świetnie się w niej prezentował. Ostatnio w ogóle lepiej wygląda – bardziej jak dawny Eddie.

– Dobrze wyglądasz – powiedziałam więc.

Zdziwiło go to. Zamiast się ode mnie odwrócić, zerknął na siebie, jakby musiał sprawdzić, w co się ubrał. Jakby dopiero odkrył, że to ma znaczenie.

– Dzięki – odparł w końcu. – Zapomniałem, że to od ciebie.

– Jak większość twojej garderoby – odparłam – prócz tego ohydneho krawata w pepitkę, który tak uwielbiasz. Sam go sobie sprawiłeś.

Uśmiechnął się leciutko, zmarszczył kąciaki oczu.

– Uwielbiam ten krawat.

„No to teraz możesz go nosić cały czas”.

Miałam te słowa na końcu języka – ciętą ripostę w rodzaju tych, jakie lubił ode mnie słyszeć, ale powstrzymałam się, bo wiedziałam, że jeśli to powiem, on po prostu wyjdzie. A chciałam, żeby został.

– Rzeczywiście dobrze ci w nim było – mówię. – I mocno mnie to wkurzało.

Parsknął, odwrócił się do drzwi i wyszedł. Chciałam, żeby się ociągał, chciałam dalej mówić i trudno, żebym nie czuła rozczarowania. Ale kiedy wychodził, miał w sobie jakąś swobodę, której nie było przedtem.

Zawsze to jakiś początek.

*

Październik, trzy miesiące po Blanche

Eddie się dzisiaj zjawił, zdziwiło mnie to. Był też wczoraj, a przyzwyczyłam się do wizyt co trzeci dzień – odliczam czas

najlepiej, jak się da w tych warunkach.

Przyniósł jedzenie i wodę, ale nadal miałam zapasy, więc kiedy wszystko odłożył, przez dłuższą chwilę stał przy drzwiach z rękami w tylnych kieszeniach.

– Chcesz jakieś książki? – spytał w końcu.

Minęła minuta, zanim się odezwałam.

– Byłoby super – powiedziałam zgodnie z prawdą.

Eddie nie wie, że tę jedną wykorzystuję w charakterze dziennika, a chętnie bym coś poczytała. Skinął głową i rzucił:

– Pa, Bea.

Do tej pory tego nie robił. Pierwszy raz od tygodni wypowiedział moje imię.

*

Kolejny dzień, kolejna wizyta. Eddie przychodzi teraz codziennie. Nie zostaje długo, a dwa razy był, kiedy spałam. Zastanawiam się, czy to znaczy, że przychodzi w nocy. Nie mam pewności co do pór dnia, ale skoro nadal sypiam, to chyba jakoś utrzymuję w miarę regularny rytm. Nie rozumiem jednak, dlaczego Eddie miałby zjawiać się w nocy.

Ale nie, tłumaczę sobie, że nie mogę tego robić – nie mogę się domyślać przyczyn jego działania, jego motywów. Jeśli zacznę, zwariuję.

To znaczy zwariuję jeszcze bardziej.

*

Dziś Eddie spędził u mnie godzinę. Może nawet dłużej.

Nie przyniósł jedzenia ani wody i po raz pierwszy od dnia, kiedy się tu obudziłam, poczułam, że coś się we mnie rozluźnia, napięcie w klatce piersiowej ustępuje, jakbym znowu mogła normalnie oddychać.

Przyniósł książki, jak obiecał. Kiedy tylko wszedł, wzięłam do ręki jedną z nich. Thriller polityczny; pamiętałam, że kiedyś go czytał.

– To była chyba najgłupsza książka, jaką w życiu czytałam – powiedziałam, a on podszedł do mnie, wyjął mi ją z ręki i sprawdził tytuł.

– To ta, gdzie zamiast prezydenta podstawiają klona?

– Wiceprezydenta – poprawiam go. – Tak, ta.

Czytając opis na tyle okładki, Eddie lekko się uśmiechał.

– Kupiłem ją na lotnisku. Nie powinno się nikomu wypominać książek kupionych na lotnisku.

– Pamiętam to – powiedziałam, bo nagle sobie przypomniałam.

Jechaliśmy na konferencję do Atlanty. To znaczy ja jechałam. Eddie wybrał się ze mną, bo w ten sam weekend był tam mecz futbolowy, który chciał obejrzeć.

– *Kobiety i przywództwo, przywódcy i kobiecość* – zacytowałam. – Warsztaty pod tym hasłem. Albo jakimś podobnym. Trzy dni wykładów w stylu: *Łagodne działanie. Jak zdobyć szacunek bez strachu. Kobiety na szczycie.*

Uśmiechnął się.

– Nienawidziłaś takich bzdur.

– Owszem – zgodziłam się. – Akurat ta konferencja była szczególnie beznadziejna.

Siedziałam na skraju łóżka i wspominałam tamten weekend – jaka byłam niezadowolona, znudzona, za bardzo wystrojona w swoich ołówkowych spódnicach, jak traciłam czas.

Nadal miałam przed oczami kobietę, która prowadziła jedne z zajęć w grupach. Stała przed nami, drobna, z krótkimi, przedwcześnie posiwiałymi włosami, w kremowym kaszmirowym kardiganie, w którym praktycznie ginęła.

„Przechowujemy w naszych mózgach mnóstwo informacji – mówiła. – Znacznie więcej niż mężczyźni. Oni mogą się zajmować tylko pracą, a my musimy i pracą, i rodziną. Dziećmi. Założę się, że gdyby zapytać mężczyznę, dyrektora, ile litrów mleka teraz, w tej sekundzie, jest u niego w lodówce, nie miałyby pojęcia. A my wiemy. – Uśmiechnęła się błogo i zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. – Wszystkie wiemy, prawda?”

Przez salę przeszła fala śmiechu. Kobiety ze zrozumieniem kiwały głowami, a ja rozglądałam się dokoła i myślałam: „Czy wy serio

istniejecie?”.

Teraz opowiedziałam Eddiemu tę historię, a on się zaśmiał i założył ręce na piersi.

– Dobra, ale dzień w dzień, kiedy wracałem do pokoju i pytałem, jak ci minął czas, odpowiadałaś, że dobrze.

Wzruszyłam ramionami.

– A co miałam powiedzieć? To ja się uparłam, żeby tam jechać. Nie chciałam się przyznać, że miałeś rację i że to była strata czasu.

Nie dodałam, że między nami nie układało się wtedy najlepiej. Kłóciliśmy się więcej niż zwykle – jeszcze przed Blanche i jej remontami. Nie chciałam, żeby to pamiętał.

– Ten weekend to była dla mnie beczka śmiechu. W końcu oddałem bilet na mecz Falconów któremuś z klientów, a sam, o ile dobrze pamiętam, większość czasu spędziłem w hotelu. Oglądałem sport w telewizji i jadłem ohydne posiłki podawane do pokoju.

Rozejrzał się, a ja sobie uświadomiłam, że chętnie by na czymś usiadł. Oczywiście nie było na czym, bo nie znajdowaliśmy się w naszym salonie, tylko w celi. Celi, którą sam stworzył. Nie zastanawiając się, poklepałam łóżko obok siebie.

– Zaskakująco wygodne – powiedziałam z uśmiechem.

To była nasza najdłuższa rozmowa i chciałam, żeby częściej się tak zachowywał – swobodnie, otwarcie.

Zawahał się. Przez moment myślałam, że wyjdzie. Ale usiadł.

Materac ugiął się pod jego ciężarem, przez co trochę pochyliłam się w jego stronę i poczułam zapach jego żelu pod prysznic, a w tle jego własny zapach: ciepły i czysty.

Tamten weekend w Atlancie wcale nie był taki koszmaryny. Mimo że coś było między nami nie tak, co noc korzystaliśmy z wielkiego hotelowego łóża. W łóżku zawsze układało nam się świetnie.

Eddie na mnie spojrział. Oczy miał takie niebieskie, że zaschło mi w ustach.

Blanche nie żyła, a ja żyłam.

To musiało coś znaczyć.

– Powinniśmy byli częściej wyjeżdżać – powiedziałam i przeniosłam wzrok na jego usta. – Może wrócić na Hawaje.

Rzuciłam spojrzenie na jego twarz, a ta wreszcie się przede mną otworzyła. Jego oczy patrzyły życzliwie, wargi się rozchyliły. To Eddie, którego znałam.

Eddie, którego rozumiałam.

I nagle najlepsza droga na wolność wydała mi się bardzo, bardzo oczywista.

Nie pojechała na Hawaje, żeby poznać faceta. Pojechała, by wygrzewać się w słońcu i pić wariacko drogie mrożone koktajle. Popatrzeć na Pacyfik, którego nigdy nie widziała. Tak naprawdę nie była nad żadnym morzem z wyjątkiem Zatoki Meksykańskiej – tamtego roku, kiedy rodzina Blanche zabrała ją na wakacje do swojego domu w Orange Beach.

Blanche nie spodobał się pomysł wyjazdu na Hawaje.

– Straszny kicz – orzekła, marszcząc nos, i założyła włosy za ucho. – I stać cię na więcej. Jedź na Bali albo gdzieś. O, na przykład na Fidżi.

Ale Bea chciała jechać na Hawaje, więc postanowiła, że tam się wybierze, a Blanche może się wypchać ze swoją dezaprobatą i bezsensownymi uwagami. Była po prostu zazdrosna. Tripp od podróży poślubnej do Włoch nigdzie jej nie zabrał. Bea była przekonana, że nadal spłaca karty po tej podróży.

Kiedy jednak mijał kolejny dzień, a ona siedziała na leżaku i patrzyła na ocean – taki błękitny, jaki miała nadzieję, że będzie – słowa Blanche nie dawały jej spokoju. Czy rzeczywiście nie lepiej było wybrać jakieś bardziej egzotyczne miejsce? Mniej dostępne? Takie, w którym nie musiałyby codziennie unikać rodzin z dziećmi i małżeństw w podróży poślubnej?

To zawsze wymagało wyważenia – potrzeby dziewczyny, którą była kiedyś, różniły się od potrzeb kobiety, którą była teraz.

Kolejny mai tai – za słodki, ale i tak wypita. Nie, Hawaje były w porządku. Hawaje były powszechnie dostępne, a to się przecież pokrywało z polityką Southern Manors, prawda? Elegancja, ale w swobodnym stylu. Na następne lato mogłaby przygotować linię

hawajską. Wzór z kwiatów hibiskusa na szklankach. Obrączki na serwetki w kształcie ananasa. Tkanina w śmiałe tancerki hula.

Myśli o pracy zawsze ją uspokajały, sprawiały, że umysł wreszcie zsiadał z nieustannie wirującej karuzeli i przestawał szukać punktów, w których popełniła lub mogła popełnić błąd. W sprawach dotyczących biznesu ani na chwilę nie ogarniały jej wątpliwości czy niepewność.

Wyjęła iPada z torby plażowej, do której – choć dobrze wiedziała, że ich nie przeczyta – włożyła jeszcze trzy kolorowe magazyny i dwie książki kupione na lotnisku.

Po paru minutach miała już całą stronę pomysłów na kolekcję letnią i próbowała wymyślić nazwę, która byłaby chwytliwa, zabawna, lecz nie nazbyt przesłodzona. To kolejna cienka linia, po której stale stąpała, tyle że to było znacznie łatwiejsze.

Rozważała trzecią wersję („Coś z Błękitnymi Hawajami? Czy zbyt staroświeckie?”), kiedy na jej leżak padł cień i usłyszała głos:

– Praca na plaży? Nie wiem, czy to bardziej inspiruje, czy przygnębia.

To ten uśmiech na nią zadziałał – prawie od pierwszej chwili. Podniosła wzrok na mężczyznę w spodniach w paski i białym tiszercie, stojącego przed nią w swobodnej pozie z jedną ręką w kieszeni. Do ciemnych okularów przykleił mu się zaschnięty kawałek wodorostu, a włosy opadały mu na czoło, jakby grał w komedii romantycznej, na której plan właśnie wkroczyła ona.

Prawie bez zastanowienia odpowiedziała mu uśmiechem. Później zrozumiała, że był w tym dobry – w obalaniu murów, zanim jeszcze zostały wzniesione – ale w tamto słoneczne popołudnie jego urok osobisty nie stanowił żadnego zagrożenia.

– Tu się pracuje o wiele lepiej niż w biurze – usłyszała własną odpowiedź, a on uśmiechnął się szerzej, pokazując dołeczek w lewym policzku.

– Wypiję za to – odparł, podając jej rękę. Jego uśmiech zaświecił równie jasno jak słońce nad ich głowami.

– Jestem Eddie.

„Eddie. Imię dla chłopca”, pomyślała Bea, ale do niego pasowało, bo w jego uśmiechu było coś chłopięcego. Podobało jej się to. Do tego stopnia, że pozwoliła mu usiąść na leżaku obok i przyjęła zaproszenie na kolację.

„Czemu nie?”, pomyślała. Czy nie tak powinno wyglądać jej nowe życie? Drogie wakacje, wymyślne koktajle, kolacja z przystojnym nieznanym?

Zjedli w restauracji hotelowej, przy ogromnym oknie wychodzącym na ocean i niebo w agresywnych odcieniach różu, fioletu i pomarańcza, na stoliku mrugała świeca, butelka drogiego wina szroniła się w wiaderku z lodem.

Kiedy Bea to wspominała, wiedziała, że było prawie zbyt idealne, zbyt romantyczne i zbyt sztampowe, ale wtedy wydawało jej się po prostu ekscytujące i... jakoś na miejscu. Jakby wreszcie dostała to, na co zasługiwała.

Rozmawiali. Sama się dziwiła, jak było swobodnie. Jaki on był swobodny. Pochodził z Maine i kochał łodzie. Przyjechał na Hawaje, bo miał znajomego, który myślał, czyby nie założyć firmy czarterującej jachty, więc robili tu wywiad, jak takie firmy działają.

Opowiedziała mu o dorastaniu w Alabamie, pomijając te bardziej południowe, ponure aspekty swojego dzieciństwa, a skupiając się na luksusowej szkole z internatem, scenie debutantek, żeńskim college'u w Karolinie Południowej. Snując te opowieści, znowu złapała się na tym, że maskuje mniej wysmakowane części swojego życia fragmentami z życiorysu Blanche. Miała to w zwyczaju od dawna i robiła to niemal bezwiednie.

Po deserze Eddie, śmiejąc się ze skrepowaniem, przesunął ręką po szyi i rzucił lekko rozgoryczonym tonem:

– Cholera, ale jesteś piękna. – Potrząsnął głową. – A ja jestem cholernie wstawiony.

Ale nie był. Wypił tylko jednego old fashioned, a wina prawie nie tknął. Może powinno ją zaalarmować, że aby powiedzieć komplement kobiecie, którą przed chwilą poznał, musiał udawać wstawionego. Nie zaalarmowało jednak. Zaintrygowało. Uznała to za trop do odkrycia słabości u mężczyzny, który – z tego, co widziała – nie miał powodu być słaby. Przystojny, inteligentny, spełniony zawodowo...

Później się dowiedziała, że nie przyleciał na Hawaje służbowo, jak mówił, że pomysł z czarterowaniem jachtów należało traktować jak mrzonkę, nie jak realny plan, ale wtedy było już za późno, a poza tym i tak nie robiło jej to różnicy.

– Na pewno często to słyszysz – dodał, a Bea na niego spojrzała, spojrzała tak naprawdę.

Jego oczy były błękitne, skóra na kościach policzkowych leciutko zaczerwieniona – od słońca, jak sądziła, nie od alkoholu ani ze skrępowania.

– Owszem – odpowiedziała, bo po pierwsze to była prawda, a po drugie chciała zobaczyć jego reakcję. I sprawdzić, czy scenariusz, według którego działał, zakłada, że ona wcieli się w rolę mitycznej istoty, obiektu chłopięcych marzeń: ślicznej dziewczyny nieświadomej swojej urody.

Eddie nie wydawał się jednak ani trochę zmieszany. Lekko zmrużył oczy i pochylił do niej kieliszek.

– A więc piękna i na tyle mądra, by o tym wiedzieć.

– I bogata – dodała.

To też była prawda, a ona chciała zobaczyć jego minę, kiedy to usłyszy.

Trzeba mu przyznać, że nie dał niczego po sobie poznać. Po prostu znowu się uśmiechnął.

– A więc potrójna gratka. Jestem farciarzem.

Bea się zaśmiała, założyła włosy za ucho, być może pierwszy raz tego wieczoru szczerze zauroczona. Podobało jej się, że tego nie negował, nie udawał, że to nic wielkiego. Najpewniej już wtedy wiedział – później dużo rozmyślała o tym ich pierwszym spotkaniu – ale w sposób, w jaki to rozegrał, było coś, co ją ujęło. Zaakceptował ją od samego początku. Stworzyła obraz osoby, którą pragnęła być, a Eddie – chyba jako pierwszy – prawdziwie go zrozumiał.

Zapewne dlatego, że sam był w dużej mierze takim obrazem.

Część V. Jane

Eddie prowadzi policjantkę do ogrodu za domem. Nie jadą na posterunek, Eddie nie zostaje zaproszony na tylne siedzenie radiowozu, a ja sobie powtarzam, że to nic wielkiego. W ogóle nic.

Bo gdyby chodziło o coś poważnego, nie podawałby jej z uśmiechem butelki wody.

Stoję w kuchni, w zamyśleniu sprzątam z blatu, wstawiam szklanki do zmywarki, robię cokolwiek, byle tylko czymś się zająć i sprawiać wrażenie tak samo wyluzowanej jak Eddie.

Ale nie jestem Eddiem, a kiedy oficer Laurent wchodzi do środka, walczę z pokusą, by ukryć się w sypialni i zamknąć drzwi na klucz.

Brzmi to głupio, ale sądziłam, że tego typu pieniądze i taki styl życia chronią przed pewnymi rzeczami – przed policją, która zjawia się przed twoimi drzwiami, zadaje pytania i rzuca stalowe spojrzenia.

Oficer jest jednak miła, podnosi pustą butelkę i pyta:

– Do segregacji?

Wyjmuję butelkę z jej ręki i uśmiecham się, jak gdyby nigdy nic, a ona swobodnie opiera się o blat.

– Od jak dawna się państwo spotykają?

Nie mam pojęcia, czy zadaje mi to pytanie służbowo, czy po prostu chce do mnie uprzejmie zagadnąć. Spoconą dłonią zakładam włosy za ucho.

– Od paru miesięcy – odpowiadam. – Poznaliśmy się w lutym, a zaczęliśmy się spotykać gdzieś w marcu?

No świetnie. Mój pytający ton sprawia, że brzmię jak niepewna dziewczynka, a nie jak kobieta, która mieszka w takim domu. Ale Laurent uśmiecha się do mnie, jej ciemne oczy patrzą przyjaźnie, skóra wokół nich się marszczy.

– Pani narzeczony twierdzi, że przedtem zatrudniał panią do wychodzenia z psem. – Unosi brwi i się rozgląda. – Po jakiego diabła

ludzie z takiej dzielnicy potrzebują kogoś do wychodzenia z psem? Nie pojmowałam tego, ale teraz wiem: tu chodzi o prestiż.

Śmieję się razem z nią i kiwam głową, mimo że serce mi wali, a ręce drżą.

– Myślałam to samo. Ale praca była fajna, no i lubię psy.

Nawet gdybym się bardziej postarała, nie mogłabym wypaść bardziej nieciekawie, ale o to chodzi, prawda? Niech myśli, że jestem osobą, którą nie warto zawracać sobie głowy. O cokolwiek jej chodzi, nie ma to nic wspólnego ze mną. Jestem zwyczajną Jane, która znowu wtapia się w otoczenie.

Śledcza Laurent bębni palcami w blat – ma praktyczne, krótkie, kwadratowe paznokcie i cienką złotą obrączkę na lewej dłoni – i kiwa głową.

– Wszyscy radzimy sobie, jak możemy – mówi uprzejmie i sprawdza telefon, który nosi zawieszony u paska.

– Będę się zbierać. Jeszcze raz przepraszam, że państwa niepokoiłam.

– Odprowadzę panią – proponuję, ale ona macha ręką.

– Nie ma potrzeby. – Sięga do kieszeni, wyjmując wizytówkę i wręcza mi ją. Wizytówka zupełnie nie przypomina tej, którą Eddie dał kiedyś Johnowi. Jest wydrukowana na cienkim, tanim papierze i są na niej tylko symbol komendy policji w Mountain Brook, nazwisko Laurent i jej numer. – Już mówiłam panu Rochesterowi, żeby w razie jakichkolwiek pytań dzwonił. Panią też o to proszę, dobrze?

Wychodzi. Podeszwy jej solidnych butów piszczą, drzwi wejściowe otwierają się i zamykają.

Eddie, jakby na to czekał, otwiera drzwi tarasowe i głośno wypuszcza powietrze, przeczesując włosy palcami.

– W porządku? – pyta, a ja zmuszam się do uśmiechu i obejmuję go w pasie.

– W porządku – odpowiadam, choć to nieprawda. – Czego chciała?

Przysuwa się i opiera brodę na mojej głowie.

– Porozmawiać o Blanche. I o Bei.

– Znaleźli ją? – pytam cicho.

To taki makabryczny temat, makabryczny obraz – ciało Bei po tylu miesiącach w wodzie.

– Nie, Bei nie – odpowiada chrapliwie Eddie. – Tylko Blanche. Znaleźli Blanche.

– Boże – mruczę i próbuję nie myśleć o tym, co wyciągnęli z jeziora. Wysuwam się z jego ramion.

Eddie jest blady, ma szarozielonkawą skórę, a mięsień jego szczęki ciągle drga. Przypomina Eddiego, którego poznałam wieki temu. Robi mi się niedobrze.

– Coś jeszcze?

– Miała... ma pękniętą czaszkę. Jakby została uderzona. Przez coś. Albo przez kogoś.

Odwraca się ode mnie, masuje kark, a ja stoję, przyswajam wieści, przedzieram się przez warstwy szoku i strachu, by sprawdzić, co w rzeczywistości będą dla mnie oznaczać.

Teraz już nie jest mi po prostu niedobrze. Lodowacieję. Prawie odrętwiała, podnoszę rękę i przyciskam palec do ust.

– Została zamordowana? – pytam niemal szeptem.

Eddie nadal stoi tyłem do mnie, ma napięte barki, a ja nie mogę powstrzymać pytania:

– A Bea?

– Sądzą, że mogło ją spotkać to samo – mówi. – Właśnie dlatego zjawiała się tu policja. Aby zawiadomić mnie, że badają sprawę jej zaginięcia w związku z możliwością zabójstwa.

Obraz przed oczami mi się rozmazuje, kolana stają się miękkie.

– Boże, Eddie.

Nie wiem, co powiedzieć.

Wreszcie zaczęliśmy się oswajać z duchem Bei. Byliśmy, kurwa, zaręczeni. Planowaliśmy ślub. Ale stracić żonę w tragicznym wypadku to jedno, a wiedzieć, że ktoś ją zabił, to zupełnie co innego. To koszmar.

Nagle przychodzi mi do głowy nowa myśl.

– Ale nie... – Nie chcę nawet kończyć tego zdania. Nie mogę pozwolić, żeby między nami zawisło.

– ...nie myślą, że ja to zrobiłem? – kończy Eddie i się odwraca. Nadal jest blady, ale na jego twarzy nie maluje się taka zaciętość jak

przed chwilą. – Nie, po prostu chcieli dać mi znać, że zmieniła się kategoria śledztwa. Będą oczywiście mieli pytania, ale mam wrażenie, że widzą we mnie raczej wdowca w żałobie niż podejrzanego.

Im więcej mówi, tym bardziej jego głos i twarz zaczynają wypełniać się dawnym Eddiem, Eddiem, którego znam. Widzę, jak osobowość nasuwa się na niego niczym skorupa. A może nie skorupa, tylko maska.

Nagle Eddie spogląda na mnie i marszczy czoło.

– Boże, Jane, przepraszam.

– Przepraszasz? – Przysuwam się i biorę go za rękę. – Za co miałbyś mnie przepraszać?

Wzdycha i mnie obejmuje.

– Bo to wszystko jest takie popierdolone i nie chcę, żebyś została w to wciągnięta. Nie chcę, żebyś... no, nie wiem, siedziała gdzieś w pokoju przesłuchań i odpowiadała na pytania o coś, co się zdarzyło, zanim mnie w ogóle poznałaś.

Myślałam, że już jestem śmiertelnie przerażona, ale teraz ogarnia mnie jeszcze większa panika, która sprawia, że natychmiast zasycha mi w ustach.

– Sądzisz, że będą chcieli mnie przesłuchać?

– Wspominali o tym – rzuca w zamyśleniu. – Że powinnaś się stawić razem ze mną.

Przez ostatnie pięć lat robiłam wszystko, by nie ściągać na siebie uwagi, unikać pytań, trzymać się jak najdalej od policji. Kurwa, jeśli prześwietlą Eddiego, to prześwietlą też mnie. Jego narzeczoną. Dziewczynę, z którą się zaręczył przed upływem roku od zaginięcia żony.

John, telefon z Phoenix, a teraz jeszcze to. W zasadzie czuję się tak, jakby zaciskały się wokół mnie szczęki pułapki. Zamykam oczy, opieram czoło na piersi Eddiego i głęboko oddycham.

Eddie kładzie mi dłoń z tyłu szyi i zaczyna masować.

– Staraj się tym nie przejmować.

– Dobrze – odpowiadam automatycznie, lecz on się smutno uśmiecha i dotyka mojego policzka.

– Jane, jesteś blada jak ściana.

Łapię jego rękę, zanim ją zabierze, i przyciskam sobie mocniej do twarzy. Ma taką ciepłą skórę. Moja jest ciągle lodowata.

– Dużo tego, wiem – mówi. – Cały czas próbuję to jakoś ogarnąć, poukładać w głowie. Ale chcę, żebyś wiedziała, że nie masz się czym przejmować, okej? Nigdzie się nie wybieram. Wszystko będzie dobrze.

Mówi spokojnym, wyważonym tonem, ale to nie pomaga. Przeciwnie, nawet pogarsza sprawę. Odsuwam się od niego i przeczesuję włosy ręką.

– Eddie, twoja żona została zamordowana – mówię. – Wcale nie będzie dobrze. Nie może być dobrze.

Tu, gdzie jestem, takie rzeczy miały się nie wydarzać. Miałam być bezpieczna, to miejsce miało być dla mnie bezpieczne.

I mimo że Blanche i Bea zniknęły, zanim trafiłam do Thornfield Estates, gdzieś w głębi duszy gnębi mnie myśl, że to może moja wina. Czy ja to tu przywlekłam? Tę nikczemność, tę przemoc? Noszę je w sobie jak wirus i zarazam nimi wszystkich, którzy się do mnie zbliżą?

To głupia, megalomańska myśl, pozbawiona wszelkiego sensu. A jednak podejrzenie, że Bea i Blanche wdepnęły w coś, co doprowadziło do ich śmierci, ma jeszcze mniej sensu. Kto chciałby skrzywdzić którąś z nich? I po co?

I dlaczego Eddie jest taki spokojny?

– Wiem, to potwornie popierdolone – wzdycha. – Uwierz mi, że wiem. – Zamyka oczy i szczypie się w nasadę nosa. – Ale w tej chwili nic nie możemy z tym zrobić. Zamartwianie się nie zmieni sytuacji.

„Zamartwianie się nie zmieni sytuacji”. Chcę mu powiedzieć, że to całkiem, kurwa, normalne zamartwiać się tym, że komuś zależało na śmierci twojej żony i jej najlepszej przyjaciółki, ale coś mnie powstrzymuje.

Eddie bierze mnie za rękę.

– Skupmy się na ślubie – mówi. – Na reszcie naszego życia. Nie na tym.

– Tak, ale... problem w tym, że ja naprawdę nie lubię policji – wyznaję, a on ściera brwi, próbując zrozumieć, co mam na myśli.

– Dlaczego?

„Mówisz jak bogaty biały facet”.

Bardzo ostrożnie dobieram słowa. To kolejna chwila, w której odrobina prawdy może zadziałać na moją korzyść.

– Była jedna rodzina, u której mieszkałam – mówię. – W Arizonie. Nie należeli do ludzi, którzy chcą dla dzieci tego, co najlepsze, wiesz, o co mi chodzi?

Kiedy na niego zerkam, stoi z rękami założonymi na piersi i lekko pochyloną głową. Po jego minie widać, że słucha.

– W każdym razie kiedy miałam szesnaście lat, stwierdzili, że ich okradam, i wezwali policję.

Okradałam ich, owszem, ale wzięwszy pod uwagę to, że większość pieniędzy, które dostawali od państwa na opiekę nade mną i dwójką innych dzieciaków, przejadali sami, nie bardzo rozumiem, o co tyle krzyku.

– Gliniarz, którego przysłali, był kumplem zastępczego ojca, więc zabrali mnie na komendę i... tam było...

Kiedy o tym opowiadam, przypominam sobie, jak tam siedzę, czuję zapach przypalonej kawy i detergentu do mycia podłóg, jak trzęsę się z wściekłości do tego stopnia, że nie jestem w stanie mówić. Nie powiem jednak Eddiemu o złości. Nie zrozumiałby.

– Było strasznie – kończę po chwili. – Chyba tak naprawdę nigdy tego nie przepracowałam.

Oczywiście to niepełna historia. Nie ma w niej ani słowa o prawdziwej Jane. O jej ostatniej nocy w Phoenix. Ale on nie musi tego wiedzieć.

Eddie cmoka, otwiera ramiona i bierze mnie w objęcia.

– Nie chciałam, żeby to się kręciło wokół mnie. – Odchyłam głowę, by na niego spojrzeć. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj – mówi i całuje mnie w czoło. – I nie przejmuj się za bardzo. Bei i Blanche już nie ma. To niczego nie zmienia.

Kiedy wypuszcza mnie z ramion i się odwraca, spoglądam na jego zwieszoną wzdłuż ciała rękę. Rozprostowuje i zaciska palce.

Posiłki zaczynają przybywać następnego dnia.

Pierwsza zjawia się Caroline McLaren z naczyniem kurczaka zapiekanego z brokułami w kremowym sosie i z ciepłymi uściskami.

– O Boże, to wszystko jest takie straszne – mówi i stuka palcem w folię okrywającą szklane naczynie. – Nie wkładajcie tego do zmywarki.

Emily i Campbell przychodzą kilka godzin później. Przynoszą trzy wielkie papierowe torby pełne garmażeryjnych produktów z miasteczka – z tego sklepu, w którym można kupić gotowe dania w wersji eleganckiej i podać je jako własnoręcznie przyrządzone.

Wkładam okryte folią pojemniki do zamrażarki, a Emily i Campbell siedzą przy wyspie i popijają mrożone kawy, które ze sobą przyniosły. Trochę żałuję, bo chociaż jest wcześnie, miałabym ochotę na coś mocniejszego. Wiem, że aż je skręca, żeby mi zadać milion pytań, więc dobrze by mi zrobiło coś wzmacniającego.

– Jak się trzyma Eddie? – pyta Emily, kiedy zamykam zamrażarkę i staję przodem do nich.

Zaczęło padać. Przypominam sobie tamten dzień, kiedy poznałam Eddiego. Szare niebo, śliski asfalt.

– Nie najlepiej – odpowiadam. – Szczerze mówiąc, zdaje się, że ciągle jest w szoku.

– Wszyscy jesteśmy. – Campbell dźga swój napój rurką. – To znaczy... nikt nigdy nie brał pod uwagę, że mogły zostać *zamordowane*. W życiu nie znałam nikogo, kto padł ofiarą mordercy.

Dopiero teraz widzę, że ma czerwone oczy, a Emily jest bez makijażu.

Cholera. Cholera.

Byłam przekonana, że przychodzą spragnione brudów, ale przecież rzeczywiście przyjaźniły się z Beą i Blanche. Lubiły je. To były ich koleżanki. Zginęły śmiercią tragiczną, ale przynajmniej w wyniku wypadku. Odkrycie, że ktoś je zabił, musiało być dla nich

makabryczne. Tymczasem ja je podejrzewam, że chcą się nachapać plotek.

– A wy? Jak się miewacie? – pytam i opieram się o blat.

Spoglądają po sobie.

– Kochana, nami się nie przejmuj. – Emily macha ręką, lecz Campbell w tym samym czasie odpowiada:

– Też nie najlepiej.

Znowu wymieniają spojrzenia. Emily wzdycha, kiwając głową.

– Po prostu trudno się z tym oswoić. Że ktoś chciał, żeby zginęły, że nagle zaczęła się tu kręcić policja, wypytywać...

Ciężar w żołądku i lodowata fala, która zalewa mnie za każdym razem, gdy wychodzą na jaw koszmarnie informacje, zaczynają mi się zdawać aż nazbyt znajome.

– Wypytyują was?

Campbell wzdycha i się prostuje.

– Jeszcze nie, ale mamy się stawić na przesłuchanie pod koniec tygodnia. A wy, Em?

Emily znów kiwa głową.

– My w piątek.

Wyobrażam sobie je dwie na komendzie, jak odpowiadają na pytania o Beę i Blanche.

O mnie.

Bo śledczy na pewno o mnie pytają, prawda? Skąd się wzięłam, jak szybko zaczęłam się spotykać z Eddiem. Zaczną sprawdzać, czy kręciłam się w tych okolicach rok temu latem, i nagle pragnę, by obie sobie poszły, chcę się zwinąć w kłębek na kanapie i przeczekać, aż to wszystko w magiczny sposób się skończy.

Wtedy Emily sięga przez blat i ściska mnie za rękę.

– To potworne, że coś takiego cię spotkało.

W głębi duszy mam ochotę na nią warknąć, szukam na jej twarzy dowodów, że tak naprawdę się z tego cieszy, ale nie znajduję żadnych oznak satysfakcji. Patrzy na mnie ze szczerą sympatią i współczuciem, a ja wracam myślami do czasów, kiedy siedziałam samotnie przy lunchu, skubałam szew tiszertu kupionego w sklepie z używaną odzieżą i wiedziałam, że to, o czym gadają inni, na

przykład jakie płyty chcą sobie kupić, kompletnie mnie nie dotyczy, bo ja nigdy nie będę tego mieć.

Zawsze sądziłam, że chodziło mi wyłącznie o pieniądze, ale kiedy w tej chwili patrzę na Emily, rozumiem, że pragnęłam też *tego*. Ludzi, którzy by się o mnie troszczyli. Którzy by mnie akceptowali. I choć to najdziwaczniejsza rzecz pod słońcem, że ze wszystkich osób na świecie zaakceptowały mnie właśnie żony ze Stepford – to tak właśnie się stało. I jestem za to wdzięczna.

– Dzięki – odpowiadam, oddając jej uścisk.

Zaczyna dzwonić mój leżący na blacie telefon. Zerkam na niego. Emily i Campbell wstają.

– Odbierz spokojnie, kochana – mówi Emily. – Same wyjdziemy.

Patrzę, jak idą do drzwi, i spoglądam na ekran. Numer zaczyna się od dwieście pięć, czyli z Birmingham. Co może oznaczać policję.

„Gdyby odkryli coś złego, już by tu byli”, wmawiam sobie i przesuwam palcem po ekranie, żeby odebrać. „Mów normalnie. Mów spokojnie”.

– Halo?

Głos tylko odrobinę załamuje mi się na ostatniej sylabie.

– Jane? – To nie policja, to nie śledcza Laurent. To pieprzony John Rivers.

– Czego chcesz?

Prawie widzę jego złośliwy uśmiezek.

– Też się cieszę, że cię słyszę.

– John, nie... – zaczynam, ale mi przerywa.

– Wiem, że jesteś zajęta tym, czym zajmują się panie domów w Mountain Brook, więc będę się streszczał. Kościół zbiera datki na nowy system nagłośnienia, więc pomyślałem, że na pewno chciałabyś się dorzucić.

Jestem tak rozbita wszystkim, co się dzieje, że z początku nie dostrzegam ukrytej za tymi słowami pogroźki. Dopiero po sekundzie dociera do mnie to, co naprawdę zostało powiedziane.

– Myślałam, że po ostatnim spotkaniu jesteśmy kwita – odpowiadam, zaciskając palce na krawędzi blatu.

John milczy. Słyszę, jak coś przetyka. Wyobrażam sobie, że stoi w kuchni i pije mountain dew. Strząsam z siebie obrzydzenie. John

nie powinien mieć do mnie dostępu. Miałam na zawsze zostawić go za sobą, ale on ciągle wypływa, ciągle wraca, jak najbardziej godny politowania duch.

– No, byliśmy. Ale ten glina z Phoenix znowu dzwonił, Jane. Zawracał mi głowę. Chciałem to zignorować, ale potem dowiedziałem się z gazety, że się zaręczyłaś. Z tym swoim facetem.

Kurwa. W życiu nie słyszałam, żeby ludzie ogłaszali swoje zaręczyny, ale Emily się uparła, że zamieści ogłoszenie, bo „wszyscy tak robią!”.

– Więc pomyślałem sobie, no wiesz, skoro Jane się hajta z takim kasiastym gościem, to pewne będzie chciała mi pomóc. W ramach podziękowania, że wziąłem ją do siebie. – Chwila ciszy. – I że nie wyjawiam jej tajemnic.

– Gównu wiesz o moich tajemnicach, John – odpowiadam głucho.

– Wiem, że je masz. – Jego odpowiedź pada zbyt szybko. – I myślę, że to wystarczy.

Tak jak wtedy na parkingu brakuje mi powietrza, mam wrażenie, że stryczek zaciska mi się na gardle. Żałuję, że poznałam Johna Riversa, żałuję, że dwa lata temu byłam na tyle zdesperowana, by napisać do niego na Messengerze z biblioteki w Houston, żałuję, że przyjąłem jego propozycję wspólnego zamieszkania.

Ale gdybym tego nie zrobiła, nie byłabym teraz w tym miejscu, w którym jestem. Nie poznałabym Eddiego.

Eddiego, którego żona została zamordowana.

Zgrzytam zębami, opuszczam głowę, wciskam sobie knykcie w oko.

– Ile?

– Dwa i pół tysiąca – mówi, a ja się wzdrygam, chociaż wiem, że dla Eddiego to niedużo. Pewnie nawet nie zauważyłby braku tej sumy.

– Najchętniej w gotówce – ciągnie John. – Adres pamiętasz.

Kiwam głową, chociaż mnie nie widzi.

– W tym tygodniu wrzucę do skrzynki.

– Jesteś cudowna, Jane. – W jego głosie słyszę uśmiech. – Kościół szczerze to doceni.

– Nie dzwoń do mnie więcej. To koniec.

– Nie mogę nawet zadzwonić, żeby spytać, co u ciebie? Jak przyjaciel?

– Nie jesteśmy przyjaciółmi – odpowiadam i się rozłączam. Ręce mi się trzęsą.

Policja wypytuje.

John wyłudza.

A w środku tego wszystkiego tkwię ja. I moje tajemnice.

– Wybierzmy się w weekend nad jezioro.

Siedzę przy kuchennym blacie i przeglądam kolejny magazyn ślubny, a Eddie rzuca propozycję swobodnym tonem, nalewając sobie kawy.

Od wizyty oficer Laurent minął tydzień i choć żadne z nas nie wspomniało o tym wydarzeniu nawet słowem, temat wisi między nami, jest wyczuwalny jak czyjaś obecność.

Eddie chce jechać nad jezioro? W to samo miejsce, gdzie zginęły jego żona i Blanche? Nie, chwila – gdzie zostały zamordowane.

– W sensie: do waszego domu nad jeziorem?

– Uhm, tak pomyślałem. Miło byłoby się wyrwać z miasta, nie? Nie byłaś tam jeszcze.

Na chwilę mnie zamurowało.

– Jesteś pewny, że to dobry pomysł? – pytam w końcu.

Eddie świdruje mnie tym swoim wzrokiem. Nadal się uśmiecha, wydaje się całkowicie na luzie i to jest jeszcze gorsze, niż gdyby się gniewał.

– A dlaczego nie?

Mam wrażenie, że rzuca mi wyzwanie. Bo tak jest. Chce, żebym powiedziała to na głos, żebym go spytała o śledztwo. Zastanawia się, czy doszukuję się czegoś w wizycie policjantki, czy go podejrzewam? Bo, jeśli mam być szczerą, to już nie wiem, co myśleć. Ale chociaż to chore i pokręcone, coś mi podpowiada, że wizyta nad jeziorem coś mi wyjaśni.

– Dobra – odpowiadam. – To jedźmy.

Wyjeżdżamy w piątek po południu; Eddie wcześniej wychodzi z pracy. Jazda nad Smith Lake z Mountain Brook trwa około godziny. Droga jest urokliwa, wyprowadza nas z przedmieść i wiedzie przez wiejskie rejony Alabamy, przez łagodne wzgórza pod jaskrawoniebieskim niebem.

Zatrzymujemy się na lunch w miasteczku o nazwie Jasper. W taniej knajpce z grillem, plastikowymi stołami i ręcznikami papierowymi zamiast serwetek Eddie zachowuje się równie swobodnie jak w wykwintnej francuskiej restauracji w naszym miasteczku.

Patrząc, jak sobie radzi z rozpadającą się kanapką, jak uważa, by ani jedna kropla sosu nie spadła mu na nieskazitelnie białą koszulę, śmieję się i kręcę głową.

– Ty to się wszędzie wpasujesz – mówię, a on unosi brwi.

– To komplement? – pyta.

Zdecydowanie tak. Nie po raz pierwszy zastanawiam się jednak nad przeszłością Eddiego. Rzadko o niej wspomina, jak gdyby znalazł się na świecie nagle – już w pełni ukształtowany – kiedy poznał Beę.

– Nie, gdybym chciała cię skomplementować, powiedziałabym, jak seksownie wyglądasz z tym sosem w kąciku ust.

Uśmiecha się do mnie i mruga.

– Czyli jestem seksowny, tak?

Wzruszam ramionami i dżgam rurką cytrynę w mrożonej herbacie.

– Z reguły jesteś po prostu do przyjęcia, ale dziś owszem.

Śmieje się i rzuca we mnie zwiniętą w kulkę serwetką.

– I właśnie dlatego cię kocham, Jane – mówi. – Nie pozwolisz, żeby przewróciło mi się w głowie.

Chociaż to kretyńsko głupie, prawie chcę mu zdradzić moje prawdziwe imię. Tylko po to, by usłyszeć, jak je wypowiada. Ale nie robię tego. Kończę posiłek i wsiadamy do samochodu. To już blisko.

Kręte drogi prowadzą nas w dół, pod sklepieniem liści panuje mrok, w oddali połyskuje tafla jeziora. Domów jest dużo, ale im dalej jedziemy, tym rzadziej są rozsiane, aż w końcu pozostają tylko las i jezioro. Kiedy wyjeżdżamy z zakrętu, widzę dom.

Nie jest tak okazały jak ten w Thornfield Estates i bez wątpienia zbudowano go tak, by wyglądał jak wakacyjny dom nad jeziorem – taki, do którego przyjeżdża się z dziećmi łowić ryby. Mimo to jest ogromny. Czuję, jak przytulna atmosfera lunchu gdzieś się ulatnia.

Tu jest tak cicho. Tak odludnie.

To ostatnie miejsce, w którym przebywała Bea.

Eddie, wyjmując nasze torby z bagażnika, musi czuć coś podobnego, bo jest milczący.

– Kod taki sam jak w domu! – woła tylko.

6-12-85. Data urodzin Bei.

Wstukuję go na klawiaturze przy drzwiach i wchodzę do środka. Od razu rzuca mi się w oczy wiele podobieństw do domu Eddiego – do *naszego* domu. Ten jest urządzony szykownie, ale jednocześnie tak, by wyglądał jak dom, z którego dużo się korzysta. Drewno jest tu ciemniejsze, meble też, wszystko wydaje się o wiele bardziej męskie. Mniej tu... Bei.

Kiedy stoję przy masywnych drzwiach, na mojej twarzy musi się malować zaskoczenie, bo Eddie mija mnie z bagażami w ręku i pyta:

– Co?

– Nic, tylko...

To miejsce jakoś do niego pasuje. I choć Bea zginęła właśnie tutaj, jej duch nie wydaje się tu obecny.

– Tu jest trochę jak w męskiej jaskini – mówię w końcu.

Eddie rzuca skórzaną torbę na kanapę w zielono-granatową szkocką kratę. Kącik jego ust drga, wygina się do góry.

– Ten dom to mój prezent ślubny od Bei – wyjaśnia. – Więc pozwoliła mi go sobie urządzić, jak chcę. – Znowu uśmiech, tym razem lekko drwiący. – Czyli musiałem zgodzić się na wszystko, co sama wybrała.

A więc i tu Bea przystawiła swą pieczęć. Ten dom to jej wizja tego, co podobałoby się Eddiemu. Co powinno mu się podobać.

Przechodzę do salonu, patrzę na niego oczami Bei, wyobrażam sobie, jak postrzegала Eddiego. Chociaż jesteśmy nad jeziorem, nie nad morzem, panuje tu marynistyczny klimat. Obrazy

przedstawiające szkunery, dekoracje z grubych lin, nawet stary zegar okrętowy na ścianie.

– Dawniej pracowałem na żaglówkach, na północy. Zajmowałem się czarterowaniem łodzi w Bar Harbor, tego typu sprawy – wyjaśnia i wskazuje brodą na morski pejzaż wiszący nad kominkiem. – Domyślam się, że Bea chciała mi o tym przypomnieć.

– Bo to kochałeś czy bo tego nienawidziłeś? – rzucam i dopiero po fakcie zdaję sobie sprawę, o jak głupią rzecz pytam i ile to pytanie we mnie odśłania.

Głowa Eddiego lekko odchyła się do tyłu, jakby odczuł to pytanie jak fizyczny cios. Mruży oczy.

– Co masz na myśli? – pyta, a ja czuję gorący rumieniec na twarzy.

Wzruszam ramionami i popycham dużym palcem stopy skraj dywanika.

– Nigdy mi o tym nie wspominałeś, więc pomyślałam... że może próbujesz o tym zapomnieć. To znaczy o swojej przeszłości. Może jej wspomnianie wcale nie jest dla ciebie takie miłe.

– Sądzisz, że Bea byłaby taka wredna? – pyta.

Brawo, lepiej nie mogłam tego schrzanić.

– Nie no, skąd – odpowiadam, ale on ku memu zdziwieniu tylko się śmieje i kręci głową.

– Nie mogę cię za to winić. Zakładam, że pracując na naszym osiedlu, widziałaś niejedną jędzę w akcji.

Czuję ulgę – po pierwsze dlatego, że nie uznał mojego pytania za dziwne, po drugie – że mnie rozumie. Może nie zawsze jestem z nim szczerą, ale on czasem widzi tę autentyczną mnie. I to lubię. Zaczynam więc myśleć, że chociaż odgrywam przy nim pewną rolę, on mógłby wybrać właśnie mnie. Ze względu na moją prawdziwą osobowość.

– Nieważne. To był beznadziejny tekst.

Przysuwam się do niego. Nad jego ramieniem widzę przeszklone drzwi prowadzące na osłoniętą werandę, za nią schodzący w dół trawnik, wąski pomost i ciemną taflę jeziora. O tej porze, po południu, na wodzie tańczą małe złote błyski słońca.

Trudno uwierzyć, że ta piękna połyskująca toń pochłonęła życie Bei. I Blanche. Jeszcze trudniej zrozumieć, czemu Eddie miałby chcieć tu znowu przyjeżdżać. Mamy siedzieć tu dziś wieczór, popijając wino i o tym nie myśleć?

Eddie klepie mnie w pupę i lekko popycha w stronę korytarza.

– Idź, rozgość się, a ja rozpakuję jedzenie.

Sypialnia nie jest tak duża jak ta w Thornfield, ale też ładna i – jak reszta domu – przytulna i wygodna. Na łóżku leży narzuta w wielu odcieniach niebieskiego, z fotela pod oknem roztacza się idealny widok na jezioro.

Opadam na ten fotel i patrzę na wodę.

Mija dwadzieścia minut i nadal nie widzę tu żywej duszy. Żadnych łodzi, skuterów wodnych ani nikogo, kto by się kąpał. Jedyne dźwięki to plusk wody uderzającej o brzeg i szum wiatru w koronach drzewa.

Kiedy wychodzę z sypialni, Eddie nalewa nam po kieliszku wina.

– Ale tu spokój – rzucam, a on kiwa głową i spogląda na werandę.

– Dlatego wybraliśmy ten dom.

Wydaje długie, głośnie westchnienie i mówi:

– Myślałem, że tu oszaleję. Wtedy, po Bei.

Zdziwiona, podnoszę wzrok. Nie spodziewałam się, że po mojej wcześniejszej wpadce sam poruszy ten temat.

– Ten spokój – ciągnie – sprawia, że przypomina mi się tamta noc. Też było tak spokojnie. I ciemno. – Nie odrywa wzroku od wody. – Głęboko jest, wiesz? To najgłębsze jezioro w Alabamie.

Nie wiedziałam o tym. Milczę. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czy Eddie zwraca się do mnie. Mam wrażenie, że gada sam do siebie, gapiąc się na jezioro.

– Zalali las, żeby je stworzyć – kontynuuje. – Więc pod wodą są drzewa. Wysokie, niektóre mają koło dwudziestu metrów. Zatopili cały pieprzony las. Dlatego sądzili, że nigdy jej nie znajdą. Że utknęła gdzieś między tymi drzewami.

Obraz powoli przenika do mojego umysłu. Błada skóra Bei, jej ciało zaplątane w gałęzie podwodnego lasu. Jest tak okropny, że muszę potrząsnąć głową. Zastanawiałam się, dlaczego tak trudno było znaleźć ciała. Teraz już wiem, chociaż wolałabym nie wiedzieć.

Żałuję, że w ogóle tu przyjechaliśmy.

W szczęście Eddiego drga mięsień.

– Zresztą nieważne.

– Przykro mi. – Masuję go po plecach. – Jeśli to dla ciebie za wiele, możemy...

– Nie, nie – mówi i upija łyk wina. – Nie – powtarza już bardziej stanowczo. – Uwielbiałem to miejsce, ona też je kochała, więc jedno złe wspomnienie nie może go na zawsze splamić.

Chcę nadmienić, że chodzi o coś więcej niż tylko złe wspomnienie – o śmierć żony i śmierć jej bliskiej przyjaciółki, lecz nagle to, co naprawdę powiedział, krystalizuje się w mojej głowie i wyciska powietrze z płuc.

„Jedno złe wspomnienie”.

Tamtej nocy Eddiego tu nie było. On nie może tego *wspominać*.

Okej, dobra, jestem głupia. Tak się tylko wyraził, nie ma na myśli faktycznego wspomnienia, chodziło mu o to, że myślenie o tym, co się tu wydarzyło, jest jak złe wspomnienie. Prawda?

– Byłeś tu już po wypadku? – Mój głos nadal brzmi niepewnie.

Eddie odpowiada dopiero po dłuższej chwili.

– Raz.

Mówi tylko to jedno słowo, a potem się odwraca.

– Zjedźmy dziś poza domem – proponuje. – Po drugiej stronie jeziora jest świetna knajpa.

Mija mnie i wchodzi do sypialni, a ja stoję sama w ciszy i patrzę na słońce nad wodą.

Kolacja upływa całkiem miło. To jakaś rybna knajpa z nieco kiczowatym wystrojem i porozwieszanymi gdzie się da łańcuchami lampek, ale jedzenie jest dobre, a Eddie chyba trochę się rozluźnił, przypomina sobie z pierwszej połowy dnia – sprzed przyjazdu nad jezioro.

Nie mówimy już o Bei, tylko o nas, a kiedy po zachodzie słońca wracamy do domu, Eddie bierze mnie za rękę i gładzi moją dłoń. Jednak im bardziej zbliżamy się do domu, tym większe wyczuwam u niego napięcie.

Po powrocie oglądamy telewizję i pijemy wino – w moim przypadku chyba za dużo, bo kiedy koło północy kładę się do łóżka, w głowie mi się kręci i jest mi za gorąco. Pocę się, więc gdy Eddie chce mnie objąć, odsuwam się od niego. Zapadam w niespokojny sen, a gdy się budzę, odkrywam, że jestem sama. Panuje ciemność.

Przez chwilę leżę z dłonią w miejscu, gdzie powinien być Eddie. Pościel po jego stronie łóżka jest jeszcze ciepła. Potem słyszę jakiś dźwięk dochodzący z salonu. Brzmi jak chrobotanie w podłogę. Zasycha mi w ustach – nie tylko z powodu wina.

Kiedy dźwięk się powtarza, wstaję. Wychodzę z sypialni, oczy mnie pieką, nadal jestem trochę zamroczone, ale widzę Eddiego – kuca w salonie i przygląda się podłodze.

– Eddie?

Podrywa głowę.

– Hej – mówi i się prostuje. Ma na sobie bokserki, w których spał, jest boso i choć w domu panuje chłód, wydaje mi się, że jego skórę pokrywa warstewka potu.

– Co robisz? – pytam.

Następuje chwila ciszy. Krótka, ledwie dostrzegalna, ale zauważalna. To moment, którego Eddie potrzebuje, by przywołać na twarz zmieszany uśmiech i położyć rękę na karku. Zanim jednak

przybiera tę pozę, dostrzegam w jego oczach błysk rozdrażnienia. Jest wkurzony.

Na mnie.

Za to, że go nakryłam. Że mu przerwałam.

– Przepraszam – mówi. – Nie chciałem cię zbudzić, ale właśnie sobie przypomniałem, że kiedyś ściągnąłem z kółka z kluczami ten do hangaru na łodzie i potem nie mogłem go znaleźć, więc zacząłem się zastanawiać, czy go gdzieś nie upuściłem. Wiesz, jak to jest: próbujesz spać, a jakaś błahostka nie daje ci spokoju.

Owszem, wiem. To zabawne, ile można się nauczyć z sytuacji, gdy twój przyszły mąż znika w środku nocy.

– I co, znalazłeś? – pytam, udając bardziej zaspianą, niż rzeczywiście jestem.

Wiem, że on kłamie. Ten błysk złości w jego oczach, ta chwila, kiedy ewidentnie żałował, że wstałam i przyłapałam go na tej dziwnej czynności.

Przeraził mnie.

Eddie mnie przeraził.

– Nie – mówi. – Pewnie leży gdzieś na podjeździe. Jutro sprawdzę.

Widzę, jak omiata mnie wzrokiem. Mam na sobie obszerny tiszert, który sięga mi do kolan, ale nie kochaliśmy się tej nocy i teraz dostrzegam w jego oczach zainteresowanie. Mogłabym to wykorzystać, odpowiedzieć uśmiechem, rzucić jakiś tani frazes, że chyba będę potrafiła mu pomóc zasnąć.

Ale tylko wracam do sypialni.

Kiedy leżę przy nim w łóżku, przed oczami stoi mi ta jego mina. Zastanawiam się, czy hangar w ogóle jest zamykany na klucz.

*

– Brałaś pieniądze z konta?

Następnego dnia po południu stoję na pomoście i gapię się na wodę. To mniej więcej wszystko, czym się dziś zajmuję. Spałam do

późna, potem czytałam i próbowałam nie zwracać uwagi na to, jak Eddie kręci się po domu, kiedy myśli, że nie patrzę.

Słońce grzeje mnie w ramiona, ale kiedy oglądam się za siebie, robi mi się zimno. Eddie ma na sobie kąpielówki, jego oczy są ukryte za ciemnymi okularami. Marszczy czoło i patrzy w telefon.

Kurwa. Myślałam, że jeśli chodzi o forszę dla Johna, zachowałam wszelką ostrożność. Wypłaciłam najpierw trzy stówy z bankomatu w miasteczku, a potem sto w spożywczym, zrobiłam parę dni odstępu, żeby z konta nie zeszła duża kwota naraz. Jak on to zauważył?

Nadal na mnie patrzy, ciągle czeka.

– Ślubne wydatki – odpowiadam i macham ręką, chociaż prawda jest taka, że w sprawie ślubu nie zrobiłam nic prócz obejrzenia paru sukienek. – Nie masz pojęcia, za jakie błahostki żądają kaucji.

Eddie kiwa głową, ale mówi:

– Jakieś tam pojęcie mam. Brałem już ślub, nie pamiętasz?

Posyła mi swój firmowy uśmiezek, ten, od którego robią mu się dołeczki w policzkach, ale teraz ta mina ma w sobie jakąś zjadliwość. Nagle przypominam sobie, że tak samo uśmiechnął się do Johna na parkingu – wtedy, gdy pojechałam do mieszkania po swoje rzeczy.

Do tej pory nie uśmiechał się tak do mnie.

– No jasne – odpowiadam i śmieję się ze skrepowaniem. – Wiesz na ten temat wszystko. Po prostu łatwiej mi było użyć gotówki. Miałam ci powiedzieć, ale przez ten wyjazd jakoś wyleciało mi z głowy.

Staram się przy tym rzucić mu zmysłowe spojrzenie, ale on znowu gapi się w telefon.

– Rozumiem. Tylko bank uznał, że to podejrzane, i zablokował mi rachunek.

Czerwienię się. Proszę: oto myślałam, że jestem sprytna i działam subtelnie, a bank bez trudu rozpoznaje drobnego złodziejaska.

– Kurczę – mówię. – Przepraszam.

– Nie szkodzi. – Macha ręką. – Dam im znać, że wszystko się zgadza, i zaraz odblokuję konto.

Podnosi na mnie wzrok.

– Korzystaj z karty kredytowej, którą ci dałem, dobrze?

– Jasne, w porządku – odpowiadam.

Eddie kiwa głową i idzie do domu, a ja zostaję na pomoście czerwona jak burak, z żołądkiem w gardle, roztrzęsiona.

Wieczorem znowu wychodzimy na kolację. Tym razem pilnuję się z piciem alkoholu, ale to nie ma znaczenia. Żadne z nas nie jest w stanie się rozluźnić. Wyczuwam, że Eddie przygląda mi się tak uważnie, jak ja przyglądam się jemu. A kiedy w niedzielę proponuje wcześniejszy wyjazd, nie protestuję. To miejsce przyprawia mnie o ciarki.

Ruszamy przed dziewiątą. Wsiadając do samochodu, obiecuję sobie, że więcej tu nie wrócę, że sprzedamy ten dom i kupimy inny.

– Chyba sobie sprawię drugą łódkę – rzuca Eddie, kiedy odjeżdżamy, a dom i jezioro znikają nam z oczu. Kładzie mi rękę na kolanie. – Co byś na to powiedziała?

Przed oczami staje mi Tripp Ingraham z koszykiem zakupów na ramieniu i złośliwie wykrzywioną twarzą. Odpędzam ten obraz i zmuszam się do uśmiechu.

– Byłoby super.

Przez następne dwa tygodnie nie jestem w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że Eddie czegoś szukał w domu nad jeziorem. Uświadamiam sobie, że w Thornfield Estates robię to samo. Chodzę po korytarzach, otwieram szafy, krążę.

Stoję przed zamkniętymi drzwiami.

Pierwszy raz, odkąd zaczęła się moja znajomość z Eddiem, czuję się samotna. Wyobrażam sobie, że rozmawiam o tym z Emily lub Campbell podczas jednego z ich szybkich marszów po osiedlu. „Hej, laski, Eddie zabrał mnie do domu nad jeziorem, gdzie zginęła jego żona, dziwne, co?”

Pieprzyć to.

Ale ludzie wciąż gadają, wiem.

Kiedy wreszcie udaje mi się wyjść z domu, tylko do Roasted na wypasioną kawę, wpada mi w ucho rozmowa na temat Bei.

Dwie starsze panie, których nie znam, siedzą przy stoliku pod oknem. Jedna trzyma w ręku telefon.

– Co roku na święta robiłam zakupy w jej sklepie internetowym – mówi do koleżanki. – Urocza kobieta.

Wyteżam słuch.

– Mąż to zrobił, wiesz o tym – odpowiada druga.

– Mmhmm – zgadza się ta pierwsza i zniża głos do szeptu. – Zawsze winny jest mąż.

Mąż, ale *który*? Tu mamy do czynienia z dwoma, a jeden z nich ma zostać *moim* mężem.

Wtedy ta z telefonem mówi:

– Taka szkoda, że się w to wpakowała. Bo wiesz, jak to było. Zapewne nie chciał zabić obu, ale były tam razem i...

– Co innego mógł zrobić? – rzuca druga. – Nie miał wyboru.

Jakby zamordować kogoś oznaczało tyle, ile powiedzieć: „W porządku, może być pepsi”, kiedy zamówiło się colę.

Ludzie są pogięci.

Słucham dalej, próbuję wychwycić, czy mówią o Trippie czy o Eddiem, o Bei czy o Blanche. Barman musi krzyknąć trzy razy: „Orzechowe latte na sojowym dla Jane”, zanim sobie przypominam, że chodzi o mnie.

Dłużej nie wytrzymam.

Muszę z kimś porozmawiać. Muszę się dowiedzieć, co się stało nad jeziorem.

*

Wizytówka śledczej Laurent nadal tkwi w moim portfelu. Myślę, czyby z niej nie skorzystać. Zadzwoić ot tak, jak gdyby nigdy nic, odezwać się i spytać, czy mogę w czymś pomóc. Nie potrafię jednak udawać aż takiej pewności siebie.

Nie. Im mniej kontaktów z policją, tym lepiej.

Postanawiam więc pogadać z kimś, kogo nie znoszę prawie tak samo jak policji. Kiedy Tripp przyjął moje zaproszenie na lunch, trochę się zdziwiłam, ale proszę, oto siedzimy w pubie – w tym, w którym nigdy nie byłam, bo zawsze mi się zdawało, że to miejsce pasuje do takich facetów jak Tripp.

– Na pewno się zastanawiasz, czemu cię wyciągnęłam – mówię, włączając tryb „niepewna studentka”. Mam dziś rozpuszczone włosy, tak by móc je nerwowo zakładać za uszy, i choć nie ubrałam się w tiszert i dzinsy, w których zawsze przychodziłam do niego porządkować dom, to zdecydowałam się na jeden z bardziej swobodnych strojów kupionych już po zaręczynach: prostą koszulową sukienkę, w której – wiem o tym – niespecjalnie mi do twarzy.

Tripp prycha, podnosi swoją kanapkę Reuben i macza ją w dodatkowym sosie tysiąca wysp, który sobie zamówił.

– Niech zgadnę – mówi. – Usłyszałaś gdzieś plotki o Blanche i Eddiem i chcesz wiedzieć, czy są prawdziwe.

Nie udaję szoku. W tej chwili naprawdę jestem mrugającą, jękającą się dziewczyną, w którą tak często się wcielam.

– Co? – pytam po chwili, a on podnosi wzrok znad talerza.

Rzuca mi ostre spojrzenie.

– Czekaj, nie o to chodzi? – Marszczy czoło i zlizuje sos z kciuka.
– Ożeż. No dobra. Chciałaś się spotkać tak po prostu?

Sączę piwo, by zyskać na czasie, i nienawidzę tego poczucia, że straciłam kontrolę, że to, co uknułam, już się posypało.

– Chciałam porozmawiać, bo wiem, że przechodzisz przez to samo co Eddie, więc miałam zamiar sprawdzić, jak sobie z tym radzisz, mówiąc szczerze.

Leciutkie poczucie krzywdy w głosie, wzrok skierowany najpierw na niego, a potem szybko spuszczonej na stół. Mogę odzyskać panowanie nad sytuacją, mimo że najchętniej wyciągnęłabym ręce nad stołem i potrząsała Trippem, dopóki nie powiedziała mi wszystkiego o Eddiem i Blanche.

Jego samozadowolenie częściowo znika; Tripp odkłada kanapkę i podnosi szklankę z piwem.

– Taaak. Było... inaczej, kiedy myślałam, że utonęła. Ale teraz... teraz to koszmar. – Opróżnia szklankę prawie do połowy, odstawia ją na stół i niezbyt dyskretnie beka w serwetkę. – A jak Eddie?

Mierzy mnie znaczącym spojrzeniem, a ja odkrywam, że miał własny powód, by przyjąć to zaproszenie – powód w żaden sposób niezwiązany z sąsiedzką troską.

– Właściwie to nie mogę się za niego wypowiadać – mówię ostrożnie, przesuwając widelcem frytki na talerzu. – Ale wiem, że jest chętny do współpracy z policją. Zaoferował im pomoc.

To prawda. Eddie już dwukrotnie był na posterunku i odpowiadał na pytania – pytania, których mi nie zdradził. Zastanawiam się, czy to właśnie te informacje chce wyciągnąć ode mnie Tripp. Czy chce się dowiedzieć, ile Eddie mówi i co mówi. Nie po raz pierwszy się zastanawiam, czy to spotkanie będzie niebezpieczniejsze, niż się spodziewałam, kiedy je proponowałam. Nie tylko dlatego, że ktoś mógłby nas zobaczyć.

Tripp bębni palcami w stół i kiwa głową, ale patrzy w dal. Nieznośna cisza ciągnie się w nieskończoność.

– Niczego nie było – odzywa się w końcu. – Między Blanche a Eddiem. Zwyczajne sąsiedzkie łajno. Firma Eddiego robiła coś u nas w domu, a że ja nie miałem czasu, Blanche się tym zajmowała.

Sporo się widywali, ale między mną a Blanche wszystko grało. I prawdę mówiąc, chociaż myślałem, że może mnie zdradzić, to wiem, że nie zrobiłaby tego ze względu na Beę.

Krzywi się i dodaje:

– Chociaż Bea nigdy nie zasługiwała na taką lojalność, jeśli spytałabyś mnie o zdanie...

Jego słowa zawisają w powietrzu. Popycham go – tylko odrobinę:

– Mówiłeś, że Bea czerpała od Blanche dużo... inspiracji.

– W zasadzie to przywłaszczyła sobie całe jej życie, owszem, ale ostatecznie skończyły tak samo, prawda? Na dnie pieprzonego jeziora.

Odrzuca głowę do tyłu i wzdycha.

– Tak czy inaczej, jeśli Emily Clark, Campbell albo jakaś inna jędza będzie ci próbowała wmówić, że Eddie i Blanche ze sobą sypiali, to wiedz, że to tylko plotki. Ba, może nawet pobożne życzenia, bo nie mogę powiedzieć, żebym cieszył się sympatią tego grona.

Jeśli miałam nadzieję coś z Trippa wyciągnąć, to okazja minęła – bez dwóch zdań. Tripp popada z powrotem w swoje zgorzknienie, więc kiedy zamawia kolejne piwo, robię wielkie halo, że zrobiło się strasznie późno.

– O kurczę, muszę lecieć, jestem umówiona do fryzjera.

– Jasne, jasne – rzuca sarkastycznie, ale nie naciska, a kiedy próbuję zostawić dwadzieścia dolarów za swoje zamówienie, macha ręką.

Wracam do domu, otwieram komputer i wchodzę na konto Emily na Facebooku. Szukam zdjęć Blanche z Eddiem, ale żadnych nie ma. Na profilu Campbell też nie. Blanche jest oznaczona na paru zdjęciach, ale link do jej profilu nie działa. Pewnie zlikwidował go ktoś z jej rodziny.

Byłam tak skupiona na Bei, że nigdy nie przyszło mi do głowy bliżej przyjrzeć się Blanche. Wygląda na to, że to był błąd.

Eddie wraca późno. Jestem w wannie, leżę po szyję w pianie, ale słyszę go na długo przed tym, zanim zjawia się w łazience. Najpierw wchodzi do domu, potem idzie korytarzem, otwiera drzwi sypialni.

I nagle jest, opiera się o framugę i patrzy na mnie.

– Jak tam dzień, dobrze? – pytam, lecz on, zamiast odpowiedzieć, sam zadaje mi pytanie.

– Czemu byłaś dziś na lunchu z Trippem Ingrahamem?

Jestem zdziwiona, podsuwam się trochę do góry, woda pluska. Kocham tę wannę, jest taka długa i głęboka, że gdybym chciała, mogłabym się w niej położyć na wznak, ale teraz, kurwa, wolałabym nie tkwić w niej taka naga i bezbronna. Zwykle kręci mnie to, że tak bardzo różnimy się od siebie fizycznie: Eddie ma świetną figurę, jest umięśniony, i to od pracy fizycznej, nie od ćwiczeń w siłowni. Przy nim czuję się jeszcze drobniejsza i delikatniejsza, niż naprawdę jestem. Teraz pierwszy raz przychodzi mi do głowy, że z łatwością mógłby mnie skrzywdzić. Obezwładnić, pokonać.

– A skąd o tym wiesz? – pytam i od razu do mnie dociera, że to niewłaściwa reakcja.

Eddie patrzy na mnie gniewnie, ale nie zmienia pozy wymuszonej swobody, jakby ta rozmowa nie miała dla niego wielkiego znaczenia, choć widzę, że praktycznie wibruje z napięcia.

– Wiesz, że to małe miasteczko. Ludzie mają dziką przyjemność, kiedy mogą mi donieść, że cię z nim widzieli. Uwierz. Przy okazji, dzięki. Dostałem naprawdę fajne esemesy.

Podnoszę się i sięgam po ręcznik wiszący koło wanny. Jestem wkurzona.

– Naprawdę myślisz, że interesuje mnie Tripp Ingraham?

Eddie wzdycha i się odwraca.

– Nie – przyznaje – ale musisz pamiętać, jak to wygląda. Zwłaszcza teraz.

Wychodzi do sypialni, a ja nadal stoję na marmurowej podłodze – naga, ociekająca wodą, z ręcznikiem w ręku – i patrzę w ślad za nim.

Bardzo się starałam, by Eddie – nie, by wszyscy poznali określoną wersję mnie, lecz w tej chwili ta wersja przestaje istnieć.

– A jak to wygląda? – powtarzam. Ruszam za nim do sypialni, po drodze owijając się ręcznikiem. – Nie, Eddie, nie myślałam o tym, jak to wygląda.

– Oczywiście, że nie myślałaś. Niech zgadnę. Nie myślałaś też, jak to może wyglądać, gdy moja narzeczona wręcza kupę szmalu facetowi, z którym przedtem mieszkała.

Zamieram. Stoję w ręczniku, z nerwów gniecie mnie w żołądku. Jestem tak zdenerwowana, że nawet nie próbuję kłamać.

– Co?

Eddie patrzy na mnie z miną, jakiej nigdy u niego nie widziałam.

– Myślałaś, że nie wiedziałem? Nie przyszło ci do głowy, żeby mi po prostu o tym powiedzieć?

Skąd? Skąd mógł, kurwa, wiedzieć? Pieniądze, które dałam Johnowi za pierwszym razem, były moje własne. Za drugim – owszem, Eddiego, ale uważałam. Tak bardzo uważałam.

– Do mnie też dzwonił – wyznaje Eddie. Stoi z rękami na biodrach i nieco pochyloną głową. – Wcisnął mi jakieś bzdury, że ktoś z Phoenix cię szuka.

To nie może się dziać, on nie może wiedzieć. Brakuje mi powietrza.

– Powiedział ci czemu? – Mój głos jest tylko odrobinę głośniejszy od szeptu. Eddie podnosi głowę i rzuca mi bezlitosne spojrzenie.

– Nie pytałem. Powiedziałem mu, żeby się odwalił, co i ty powinnaś zrobić w tej samej sekundzie, kiedy zadzwonił. – Podchodzi bliżej, tak blisko, że czuję bijące od niego ciepło. Nadal stoję ledwie zasłonięta ręcznikiem. Trzęsę się nie tylko z zimna. – Tak się robi, kiedy ludzie ci grożą, Jane. Kiedy próbują cię wydymać. Nie wolno im ustępować, nie wolno im dawać tego, czego chcą. Trzeba im pokazać, że to ty rządzisz i ty ustalasz warunki.

Eddie wyciąga ręce w moją stronę i łapie mnie za ramiona. Pierwszy raz, odkąd się znamy, jego dotyk sprawia, że drętwieję. On to wyczuwa, kąciki jego ust drgają i opadają, ale mnie nie puszcza.

– Mam to gdzieś, że ktoś z Phoenix cię szuka. Obchodzi mnie jedno: że kiedy gość zgłosił się do ciebie z tym gównem, nie ufałaś mi na tyle, by się mnie poradzić.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc stoję, patrzę w podłogę i czekam, aż mnie puści; chcę, żeby sobie poszedł. On w końcu wzdycha i opuszcza rękę.

– Wiesz co? – Odsuwa się o krok i sięga do kieszeni marynarki. – Masz.

Podaje mi kawałek kartki.

Atrament prawie się rozmazuje w zetknięciu z moją mokrą skórą, ale widzę, że to numer telefonu z kierunkowym do Phoenix.

– Z tego numeru ktoś dzwonił do Johna.

Gapię się na numer i mrugam oczami.

– Dał ci go?

Eddie milczy przez chwilę.

– Sęk w tym, Jane, że noszę ten numer w portfelu od miesiąca. Miałem go, zanim cię poprosiłem o rękę. Nigdy na niego nie zadzwoniłem. Ani razu. Wiesz dlaczego?

Kręcę głową, chociaż wiem, co powie.

– Bo ci ufam, Jane.

Odwraca się i rusza do drzwi. Tam się zatrzymuje i ogląda za siebie.

– Miło by było, gdybyś traktowała mnie tak samo.

Odchodzi, a ja opadam na krawędź wanny. Kolana mi drżą. Nie z powodu numeru, który trzymam w ręku. Nie z powodu świadomości, że Eddie cały czas miał go przy sobie, że w dowolnej chwili mógł zadzwonić i dowiedzieć się... wszystkiego.

Z powodu jego słów. Tego, co powiedział. I jak przy tym wyglądał.

„Tak się robi, kiedy ludzie ci grożą, Jane”.

Mówił beznamiętnym tonem. Jego wzrok był lodowaty. Patrzyłam mu w oczy i nie poznawałam go.

Wraca do mnie rozmowa kobiet z kawiarni. „Zawsze winny jest mąż”.

Po raz pierwszy na poważnie wierzę, że tak mogło być.

Nie Tripp, z którym siedziałam dziś przy stoliku. Był trochę wstawiony, trochę napastliwy, jak zawsze niezdarny i rozkojarzony.

W przeciwieństwie do Eddiego.

– Boże, kochana, ty jeszcze bardziej schudłaś!

Emily mówi te słowa z uśmiechem, myślę, że to ma być komplement, ale ledwie jestem w stanie uśmiechnąć się w odpowiedzi. Stoimy na otwartym dziedzińcu Pierwszego Kościoła Metodystów, ludzie kręcą się wokół nas, a ja aż za dobrze zdaję sobie sprawę z tego, jak upalny jest ten wieczór – mimo że słońce już zachodzi – i jak źle się ubrałam.

Na swoją obronę mam to, że skąd, do cholery, mogłam wiedzieć, jak należy się ubrać na aukcję kościelną w środowy wieczór. Czerń wydawała się bezpieczna – elegancka i szacowna. Tymczasem wszystkie panie ubrały się jasno, kolorowo i wzorzyście. Mam wrażenie, że znalazłam się w stadzie flamingów.

Eddie musiał zdawać sobie sprawę, że popełniłam błąd, ale nic nie powiedział. Zwalczam pokusę, by zmierzyć go złowrogim spojrzeniem. Stoi odwrócony do mnie plecami i rozmawia z pastorem.

– Przedślubne stresy – mówię, wygładzając sukienkę na udach, a Emily kiwa głową i ze współczuciem poklepuje mnie po ramieniu.

– I tak masz szczęście. Ja przed ślubem z Saulem reagowałam na stres tak, że pożerałam wszystko, co tylko miałam w zasięgu wzroku.

Jej mąż stoi za wielkim krzewem azalii i gada z mężami Campbell i Caroline – Markiem i Mattem.

Uzmysławiam sobie, że prawie nigdy nie widuję Eddiego z tymi ludźmi i że on nigdy o nich nie wspomina. Czyżby sąsiedzi odwrócili się od niego po tragedii, czy może on uważa ich za tak samo nieznośnych jak ja?

No dobra, wcale nie są tacy źli. Emily jest całkiem spoko, prowadzi mnie od grupki do grupki, przedstawia jako narzeczoną Eddiego i ani razu nie wspomina o wychodzeniu z psami. Prawie żałuję, że ukradłam jej tyle pierdółek.

Przedmioty wystawione na aukcję znajdują się w Centrum Życia Rodziny, lecz mimo upału wszyscy gromadzą się na dziedzińcu, pewnie dlatego, że jest taki ładny i aż kipi od zieleni.

Może jednak powinniśmy się pobrać tutaj, zamiast uciekać?

Tyle że nie sposób myśleć o ślubie, kiedy Eddie prawie się do mnie nie odzywa.

Od sceny w łazience minęły dwie doby. Nie wiem, w której części domu Eddie przespał te noce – wychodził do pracy wcześniej i wracał późno.

Najgorsze jest to, że czuję ulgę, kiedy go tak długo nie ma. Łatwiej mi wtedy – bez ciągłego patrzenia na niego, bez zastanawiania się, czy znowu zobaczę w jego oczach przeblask chłodu i bezwzględności.

Karteczkę z numerem noszę w portfelu. Nigdy z niej nie skorzystam, ale chcę, żeby tam leżała i przypominała mi, jak koncertowo prawie spieprzyłam sprawę i jak mało tak naprawdę wiem o Eddie.

Ale oto jesteśmy na kameralnej kościelnej imprezie, socjalizujemy się w ogrodzie, pijemy lemoniadę, bo choć metodyści to nie baptyści, domyślałam się, że nikt nie chce otwierać baru na oczach Jezusa. Już mam pójść po kolejną szklankę napoju, gdy podchodzi do nas Caroline. Jasne włosy kołyszają się nad jej ramionami.

– Ja pierdołę – sapie. Jestem zaskoczona, bo nigdy nie słyszałam, żeby przeklinała, no a poza tym... Jezus.

Nawet ja, chociaż z wielu powodów skończę w piekle, w kościele zachowuję się przyzwoicie.

Caroline ściska mnie za ramię, wbija mi paznokcie w ciało.

– Tripp Ingraham został aresztowany.

Ostatnie słowo wypowiada syczącym szeptem, ale i tak widzę, że inni na nas patrzą, Emily już wyjęła telefon i ze zmarszczonym czołem coś na nim czyta. Eddie nadal rozmawia z pastorem, a ja stoję jak wmurowana, jak przykuta do miękkiej trawy pod podeszwami pantofli na zbyt wysokich obcasach.

– Co? – dukam po chwili, a ona ogląda się przez ramię na męża.

– Matt właśnie dostał wiadomość od kolegi, który pracuje w prokuraturze okręgowej. Najwidoczniej znaleźli coś podczas

autopsji. Albo w domu? Nie wiem, napisałam do Alison, która mieszka na jego ulicy, a ona odpisała, że przyjechał radiowóz na sygnale i zabrali go w kajdankach.

Teraz Emily rzuca mi znaczące spojrzenie. Widzę, że formują się grupki, w tłumie praktycznie na moich oczach rozchodzą się plotki, skupienie na dobroczynnym celu dzisiejszego spotkania pryska wobec najświeższej wiadomości – o największym, jak sądzę, od śmierci Bei i Blanche wydarzeniu w okolicy.

Kiedy się odwracam, Eddie się na mnie gapi. I choć stoi po przeciwnej stronie dziedzińca, widzę to w jego oczach.

Widzę ulgę.

*

Zatopieni we własnych myślach, wracamy do ciemnego, cichego domu. Mówię Eddiemu, że idę pod prysznic, i czekam, aż pojawi się dawna iskra, prowokacyjny uśmiech i propozycja, że w takim razie on też. Zamiast tego otrzymuję nieuważne skinienie głowy; Eddie nadal skroluje ekran telefonu. W samochodzie prawie się nie odzywał, potwierdził tylko, że tak, słyszał to, co i ja, że aresztowali Trippa, tak, to jest powiązane z wypadkiem Bei i Blanche, i nie, nie wie, co konkretnie mu zarzucają.

W łazience przy sypialni rozpinam sukienkę i pozwalam jej opaść na marmurową podłogę; nie przejmuję się tym, że powinnam ją odwiesić. Zapewne i tak już nigdy jej nie włożę.

Woda niemal parzy, ale po tym dziwnym chłodzie, który czułam w drodze powrotnej, sprawia mi to przyjemność. Kiedy wychodzę spod prysznic, cała łazienka jest zaparowana. Zawijam się w ręcznik, zbliżam się do lustra i jedną ręką ścieram z niego parę. Gapi się na mnie moja własna zwyczajna i uderzająco blada twarz, otoczona mokrymi włosami.

„Wszystko w porządku”, mówię do siebie. „Jesteś bezpieczna. Od początku chodziło o Trippa. O niego i już”.

Wcale nie poprawia mi to nastroju. Ściągam brwi i nadal przyglądam się swojemu odbiciu, gdy do łazienki wchodzi Eddie.

Swobodnie zrzuca ubranie. Nic nie poradzę na to, że obserwuję go w lustrze. Jest taki piękny, ideał męskiej urody, ale kiedy na niego patrzę, nie czuję fali pożądania. Eddie omija mnie wzrokiem. Zdejmuję szlafrok z haczyka przy drzwiach, owijam się nim, a kiedy on puszcza wodę, siadam na tapicerowanej ławeczce przed toaletką i czeszę włosy o wiele dłużej, niż to konieczne.

Czekam.

W końcu woda przestaje lecieć i Eddie wychodzi spod prysznica. Owija się ręcznikiem w pasie, a ja grzebię w szufladzie w poszukiwaniu drogiego mleczka nawilżającego, które kupiłam parę dni wcześniej.

– Wtedy, jak się pokłóciliśmy, bałaś się mnie?

Nieruchomieję i patrzę na niego w lustrze. Woda wysycha na jego skórze, włosy są przylizane, zgarnięte z twarzy, a w sposobie, w jaki na mnie patrzy, jest coś, co mi się nie podoba.

– Myślisz, że to byłem ja? Że to ja je zabiłem?

Mrugam. Próbuję odzyskać jasność myśli, przywrócić to wszystko na właściwy tor.

– W ciągu tych ostatnich tygodni sporo się działo – zaczynam po chwili, dla lepszego efektu wprowadzając głos w leciutkie drzenie. – Wszystko w końcu było takie, jak trzeba, my byliśmy szczęśliwi i nagle...

– I nagle cię olśniło, że zamordowałem żonę i jej przyjaciółkę – mówi bezlitośnie, a ja podrywam głowę.

Nie tak to miało wyglądać. Miał żałować, że na mnie warknął, że w ogóle mógł mnie podejrzewać o takie myśli.

On nadal mi się przygląda. Stoi z założonymi rękami, a skoro spuszczone rzęsy i drżący głos nie działają, odwracam się i patrzę mu w oczy.

– Tak – odpowiadam. Bardzo przyjemnie jest powiedzieć prawdę.

– Olśniło mnie. Albo raczej doszłam do wniosku, że istnieje taka możliwość.

Eddie wypuszcza powietrze, odchyła głowę, patrzy w sufit i mówi:

– Cóż. Przynajmniej stawiasz sprawę uczciwie.

Podchodzę do niego, oplatom palcami jego nadgarstki i ciągnę go za rękę.

– Ale się myliłam – mówię z naciskiem. – To oczywiste. Przepraszam cię, Eddie. Bardzo mi przykro.

I rzeczywiście jest mi przykro. Przykro mi, że w ogóle pomyślałam, że mógłby mieć coś wspólnego ze śmiercią Bei i Blanche, a nie wyłącznie dlatego, że prawie wszystko spieprzyłam.

To ja go okłamuję, to ja go okradłam – tak jak wszystkich, którzy stali mi się bliscy. To ja udaję, że jestem kimś, kim nie jestem.

Tak naprawdę to ja zrobiłam coś potwornego.

Przyciskam czoło do jego wilgotnej piersi, wdycham zapach żelu pod prysznic.

– Przepraszam – powtarzam, a po długiej, długiej chwili czuję z tyłu głowy łagodny dotyk jego ręki. – I miałeś rację, wtedy, jak się kłóciliśmy. Powinnam była ci zaufać w sprawie Johna, powinnam była się do ciebie zwrócić...

– Już w porządku – mruczy, ale ja się boję, że to nieprawda. Że dopuściłam do tego, by moja podejrzliwość i brak zaufania zrujnowały ten ideał, który znalazłam, to nowe życie.

– Myślisz, że to naprawdę był Tripp? – pytam, nadal stojąc w jego ramionach. Pragnę, by powiedział, że tak, tak właśnie sądzi. Że to takie straszne, ale i takie proste, że jest osoba, którą można łatwo obwinić.

– Nie chcę myśleć, że mógłby to zrobić – odpowiada. – Człowiek, który tyle razy był u mnie w domu, z którym tyle razy grałem w golfa. Ja pierdołę. – Kolejne westchnienie, teraz nie tylko je słyszę, lecz także czuję. – Ale mieli z Blanche problemy. No i wszyscy wiedzą, że on pije jak szewc. Jeśli się pokłócili, kiedy był pijany... – Zawiesza głos.

Przypominam sobie, jak nieswojo czułam się w towarzystwie Trippa. Nigdy nie widziałam w nim prawdziwego zagrożenia, ale to nie znaczy, że go nie było. Bo kto tak naprawdę może wiedzieć, do czego jest zdolny drugi człowiek?

– Policja robi, co do niej należy – mówi Eddie, nie przestając głaskać mnie po głowie. – Jeśli uważają, że to był Tripp, na pewno mają powody.

– Przykro mi – powtarzam. – Eddie...

Ale on zniża głowę i mnie całuje.

– Ćśśś – mruczy mi w wargi, a potem się odsuwa. – To nie ma znaczenia, Janie.

Całuje mnie znowu, tym razem mocniej, a ja ciasno oplątam go ramionami w pasie, przytulam nie tylko jego, lecz także tę chwilę, tę szansę, którą prawie zmarnowałam.

Potem Eddie przykłada czoło do mojego czoła.

– Powiedz, że mi ufasz – mówi ochrypłym głosem.

A ja, po raz pierwszy w życiu, mówię te słowa:

– Ufam ci.

I mam wrażenie, że naprawdę tak jest.

Część VI. Bea

Listopad, cztery miesiące po Blanche

Dziś Eddie się nie wahał.

Od razu wszedł do środka i usiadł obok mnie, jego udo stykało się z moim.

– Dajesz sobie radę tu, na górze? – spytał.

Poczułam miętowy zapach jego oddechu. Nie wiedzieć czemu to ułatwiło sprawę. Świadomość, że umył zęby, zanim do mnie przyszedł, że przyszedł do mnie z oczekiwaniem... a może z nadzieją?

Ja też nie próżnowałam. Nie mogłam wiele zrobić w sprawie wyglądu, ale wzięłam prysznic, poszczypałam się w policzki, by nabrały trochę rumieńców, wyszczotkowałam włosy. Były teraz trochę dłuższe, podobne miałam wtedy, gdy się poznaliśmy, i uznałam, że to może działać na moją korzyść.

Od jego ostatniej wizyty, kiedy zauważyłam jego reakcję na wspomnienie o Hawajach, wiedziałam, że to się tak skończy. Że najłatwiejszy i najlepszy sposób, by pozostać przy życiu, a jemu przypomnieć, że mnie potrzebuje, to ten, który nigdy nas nie zawiódł.

Ta droga to seks.

Ale teoretyzowanie, jak uwieść człowieka, który zamordował twoją najlepszą przyjaciółkę, który przetrzymuje cię w zamknięciu, człowieka, o którym sądziłaś, że go znasz, człowieka, za którego wyszłaś – to jedno. A wprowadzenie tego w czyn to zupełnie co innego.

Biorę go za rękę, czuję pod palcami stwardnienia jego skóry, przypominam sobie, że zawsze mi się w nim to podobało – to, że pracuje rękami, że nie przypomina Trippów Ingrahamów tego świata, mężczyzn o delikatnych, białych dłoniach.

Był piękny. Zawsze.

Skupiłam się na tym, wzięłam głęboki oddech i przesunęłam palcami po jego knykciach. Nie byłam w stanie myśleć o tym, że to właśnie te dłonie zamordowały Blanche, a mnie wciągnęły tu, do tego pokoju. Z premedytacją myślałam więc o wszystkich tych chwilach, kiedy pragnęłam poczuć je na swoim ciele, kiedy wydawało mi się, że skonam, jeśli mnie nie dotkną.

Bo właśnie tak było – od samego początku.

– Bea, co robisz? – wymamrotał, kiedy pochyliłam się do niego i musnęłam ustami płatek jego ucha.

– Tęsknię – odparłam i zrozumiałam, że to prawda.

Tęskniłam.

Nie za Eddiem, który zabił Blanche. Tego Eddiego nie znałam. Lecz za dawnym Eddiem, za tym, który rzucił mnie na kolana swoimi swobodnymi uśmiechami, swoim czarem, tym, że dokładnie wiedział, czego chcę, zanim wiedziałam to ja sama.

Skupiłam się teraz właśnie na naszych początkach. Na czasach, zanim się tu wprowadziliśmy, zanim do naszego życia wtargnął mrok, którego się nie spodziewałam.

– Pamiętasz naszą pierwszą noc na Hawajach? – spytałam.

Wstałam z łóżka, stanęłam na wprost Eddiego i położyłam mu ręce na ramionach.

Jego dłonie natychmiast spoczęły na mojej talii. To było jak odruch.

– Wprosiłem się do twojego pokoju – powiedział, a ja zaczęłam muskać palcami jego klatkę piersiową. Przysunęłam się tak, że musiał rozchylić nogi, aby mnie wpuścić. – A ty powiedziałaś, że nie jesteś tego typu babką.

Kącik jego ust drgnął, podniósł się, dołeczek w policzku się pogłębił, a ja się nachyliłam, by pocałować to miejsce. Poczułam, jak Eddie robi gwałtowny wdech.

– Nie byłam. Zanim się pojawiłeś.

Pocałowałam go.

Przyszło mi to o wiele łatwiej, niż się spodziewałam, może dlatego, że całowanie Eddiego zawsze należało do moich ulubionych zajęć. A może dlatego, że kiedy odtwarzałam sobie w głowie naszą

pierwszą noc, bez trudu wsunęłam się we wspomnienie. Chciałam, by to Eddie zapomniał, gdzie jesteśmy, co zaszło, jak postąpił, tymczasem sama to robiłam.

Zapominałam.

Wsuwałam się we wspomnienie.

Kiedy poczułam pod wargami jego usta, wszystko stało się bardzo proste. Objęłam go za szyję, przyciągnęłam do siebie, wczepiłam palce w jego włosy...

– Nie, Boże, Bea, nie. To jest chore.

Eddie mnie odepchnął. Miał przyspieszony oddech.

Odsunęłam się. Wstał, prawie się potykając, by jak najszybciej się poderwać. Był czerwony na twarzy, miał szkliste spojrzenie. Przeczesał ręką włosy.

– Nie możemy – powiedział, a ja poczułam się tak, jakby spadł na mnie jakiś ciężar. – Nie powinienem był tu dziś przychodzić – ciągnął, mijając mnie. – Nie wiem, co sobie, kurwa, myślałem, sam nie wiem...

Zanim zdążył wyjść, wyciągnęłam do niego rękę. Zatrzymał się i spojrzał na moje palce lekko oplecione wokół jego nadgarstka. Atmosfera między nami się zmieniła, stała się napięta, wyostrzona.

Podeszłam i wzięłam jego twarz w dłonie, a on się nie odwrócił.

– Wszystko jest dobrze – powiedziałam łagodnie. – Wszystko dobrze.

– Niedobrze – zaprotestował, ale się nie poruszył.

Przysunęłam się.

– Jeśli naprawdę nie chcesz, to nie musimy – powiedziałam spokojnym, stanowczym tonem. – Ale ja chcę. I chcę, żebyś to zrozumiał. Pragnę tego, Eddie. Pragnę *ciebie*.

Tak było.

Naprawdę tak było.

I może to było najgorsze.

Tym razem, kiedy go pocałowałam, nie natrafiłam na opór, niepewny dotyk warg i języka. Pocałowałam go tak samo jak tamtej pierwszej nocy, a on się poddał – wiedziałam, że tak jest.

Wszystko poszło zdumiewająco gładko. Nasze ciała błyskawicznie przypomniały sobie siebie. „Kochasz mnie”, mówiłam każdym

pocałunkiem, każdym dotykiem, każdym gwałtownym oddechem. „Pamiętaj, że mnie kochasz, że to, co mamy, jest dobre, potrzebne, cenne”, mówiłam. „Pamiętaj, że jesteś mój”. A kiedy próbowałam sprawić, by sobie to przypomniał, sama też sobie przypominałam. Jak działa na mnie jego bliskość. Jak bardzo go Kocham.

Czytelniku, przeleciałam go.

A po wszystkim, kiedy leżeliśmy w łóżku, a nasze ciała były sklejone potem, panująca między nami cisza skłoniła mnie do obrysowania palcem jego serca.

– Wiesz, że nadal cię Kocham – powiedziałam cicho, prawie szeptem. – Wiesz, że nigdy nie zrobiłabym niczego, by cię skrzywdzić.

Chciałam, by usłyszał, co próbuję powiedzieć. „Jeśli mnie wypuścisz, nigdy nie zdradzę, co się stało. Coś wymyślimy”.

Ale powiedziałam coś nie tak.

Eddie ciężko westchnął, odsunął się i sięgnął po ubranie, które leżało skłębione przy łóżku. Po jego sztywnych ruchach poznałam, że posunęłam się za daleko. Słyszał, co mówiłam, i nie spodobało mu się to.

Kiedy wyszedł bez słowa, zastanawiałam się, czy będę musiała zaczynać od początku.

Bea dawno wyrzuciła tamto wspomnienie o Eddiem i Blanche z głowy, a teraz przypadkiem widzi ich razem, gdy jedzą lunch w miasteczku.

Miała jechać do biura Southern Manors w pobliskim Homewood, ale chciała przedtem zajrzeć do jednego z butików w Mountain Brook i zerknąć na nową wystawę. Zamiast tego natyka się na męża i przyjaciółkę siedzących w kawiarni. Śmieją się z czegoś nad sałatkami, jakby występowali w pieprzonej reklamie viagry. Beę prawie zatyka ze złości, która uderza w nią ze wstrząsającą siłą.

Nie chodzi tylko o to, że są razem, lecz o to, że się z tym nie kryją, że każdy może ich zobaczyć, że ludzie zaczną o tym gadać. Może nawet będą jej współczuć.

Stoi na chodniku pod osłoną markizy i okularów przeciwsłonecznych i w wyobraźni widzi skierowane na siebie spojrzenia, miny wyrażające współczucie z minimalną, ale dającą się wyczuć domieszką satysfakcji z cudzego nieszczęścia, i nagle ręce zaczynają jej drżeć. Przechodzi przez ulicę, staje przy ich stoliku i z przelotnym okrutnym zachwytem napawa się ich reakcją na jej radosne powitanie, tym, jak się wzdrygają, zaskoczeni.

Na stoliku między nimi leżą projekty. Firma budowlana Eddiego (ta, którą Bea sfinansowała, którą mu podarowała) dostawia przybudówkę do domu Blanche. A więc to niewinne spotkanie. Zwyczajny roboczy lunch, by omówić szczegóły.

Ale nie chodzi o lunch. Chodzi też o to, że od kiedy Blanche wpadła na pomysł przebudowy domu, Eddie przesiaduje u niej całymi dniami albo ona siedzi u nich – z Eddiem na tarasie, pijąc wino Bei i pokazując mu swoje „wymarzone kuchnie” na Pinterescie. A Eddie tylko się do niej uśmiecha, rozpieszcza ją.

Zaprasza ją na lunch, proszę bardzo.

– Skompromitowałaś mnie – mówi później Eddie, kiedy razem przygotowują kolację. Bea pije już trzecią lampkę wina, muzyka gra trochę za głośno. – A w zasadzie siebie.

Ona nie odpowiada, bo wie, że jej milczenie go rozwścieczy. Tak się też dzieje. Eddie prychnął, rzuca na blat ścierkę kuchenną, którą miał na ramieniu, i wychodzi na taras, zabierając ze sobą jej kieliszek.

Nie wracają już do tematu, ale następnym razem, kiedy Blanche i Bea spotykają się na kawę, Blanche gorliwie przeprosza, cała w uśmiechach. I nagle mówi:

– Bo ty zawsze przesadzasz z reakcją, Bea.

Bea długo się nad tym zastanawia – nad tym stwierdzeniem rzuconym nieco kąśliwym tonem, ukrytym osądem – a Blanche w tym czasie drewnianym mieszadłem zgarnia bitą śmietanę z kawy.

Dwa dni później Bea bierze do ręki telefon męża (Eddie nie ustawił sobie hasła, nie przyszłoby mu to do głowy, cały on) i widzi wiadomość.

To selfie Blanche. Nie uwodzicielskie ani seksowne, nic tandetnego, po prostu portret twarzy z przesadnie ściągniętymi brwiami.

Szkoda, że dziś nie wyszło.

Bea gapi się na wiadomość i przesuwa ekran niżej.

Wściekłość ją zalewa, gdy dostrzega, jak mało tu dowodów: ani jednego konkretnego, który by potwierdził, że na pewno romansują, ani jednej rzeczy, którą mogłaby wydrukować i zniszczyć nią ich oboje, oboje naraz...

Seria chwil, rozmów. Zaprzeczanej bliskości. Kiepski dzień Blanche, frustracja Eddiego, że Bea ciągle wyjeżdża. Śmieszne żarciki, zrozumiałe tylko w prywatnym gronie, migawki czegoś, co ich łączy, a co nie ma nic wspólnego z Beą.

Szczerze mówiąc, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Eddie może ją zdradzić, ale to zdrada Blanche boli bardziej.

Właściwie rani.

A więc to, co później wydarza się między Beą a Trippem, można w zasadzie uznać za słuszne i sprawiedliwe. Wszyscy siedzą w ogrodzie u Caroline na sąsiedzkim grillu, a Tripp, zanim słońce zdąży dobrze schować się za horyzont, jak zawsze jest już zalany.

– Fajnie im razem, co? – zwraca się do Bei.

Oboje patrzą na rozmawiających przy grillu Blanche i Eddiego. On trzyma szklanek z piwem, ona – margaritę. Śmieją się z czegoś. Bea od dawna nie widziała Eddiego tak radosnego, odprężonego.

Wtedy Blanche przenosi na nich wzrok, widzi Beę i Trippa, uśmiecha się i unosi kieliszek w geście toastu. Bea i Tripp też unoszą szklanki, wszystko gra, wszystko jest, jak trzeba, wszyscy są po prostu najlepszymi kumplami. Tyle że kąciki uśmiechniętych ust Blanche wyginają się w sposób, który sprawia, że jej uśmiech staje się pełen wyższości.

– Jak sądzisz, czy jeśli ze sobą sypiają, to Eddie nie powinien jej dać dziesięciu procent zniżki? – pyta Bea, a Tripp wybucha śmiechem.

Lepiej wygląda, jak się śmieje. Bardziej jak Tripp, którego poślubiła Blanche.

Tripp, w którym Blanche się zakochała.

– E, to raczej Blanche powinna mu dać dwudziestoprocentowy upust – odpowiada, a Bea spogląda na niego przez ramię i powoli się uśmiecha, pozwalając mu dostrzec, że taksuje go wzrokiem.

– Wiesz co, Tripp, chyba masz o sobie za niskie mniemanie.

Okazuje się, że wcale nie.

Seks, który uprawiają u Caroline w górnej łazience, jest stanowczo przeciętny. Bei nawet nie chce się udawać orgazmu, zamiast tego skupia uwagę na ohydnej rycinie, którą Caroline powiesiła na ścianie, banalnej scenie piknikowej.

Kiedy Tripp jęczy w jej szyję, Bea myśli, że chyba będzie musiała przysłać Caroline jedną z kolorowych grafik, które właśnie dostali jako część letniej kolekcji Southern Manors.

Tripp, co zaskakujące, ma wyrzuty sumienia, pociera twarz ręką i mówi:

– Nie wiem, czemu to zrobiłem.

Za to Bea dokładnie wie, czemu to zrobiła – aby się zemścić na Blanche i Eddiem, żeby odebrać coś Blanche, zanim Blanche odbierze coś jej – lecz mimo to czuje pustkę.

Później Tripp przysyła jej esemesa.

Z jednej strony mi przykro, z drugiej nie.

Bea rozumie go doskonale.

Część VII. Jane

Lipiec

Postanawiam, że odtąd będę ufać Eddiemu i stanę się narzeczoną, której pragnie i na którą zasługuje. Zbieram się na odwagę i kupuję w Irene's suknię, która najbardziej mi się podoba, a razem z nią welon, buty i resztę.

Więcej też rozmawiamy o ślubie. Nadal planujemy cichą, kameralną uroczystość, ale teraz już tu, w Birmingham. Nie mówimy o ucieczce. Wreszcie złapaliśmy właściwy trop.

Zaczynam biegać, chociaż letnie upały są coraz bardziej uciążliwe, coraz mniej temu sprzyjają, a Eddie twierdzi, że padnę na zawał. Ale ja lubię te wczesne lipcowe poranki, kiedy w powietrzu nie unosi się jeszcze taka wilgoć, trawa jest mokra i szmaragdowa, a słońce dopiero wstaje nad horyzontem. Dobrze się czuję, kiedy pot spływa mi po plecach, szczypie w oczy pod okularami. Czasem widuję Emily i Campbell. One chodzą, nie biegają. Emily zawsze do mnie macha i radośnie szczyrzy zęby, lecz w uśmiechu Campbell jest jakieś napięcie.

Tego ranka ulice są jednak puste, lipcowe temperatury nawet o ósmej odstrasza ją większość ludzi. Bezwiednie skręcam w ulicę Trippa.

Postawiono mu zarzut zabójstwa, a on nadal jest w domu.

Tak to właśnie wygląda, kiedy jest się białym nadzianym facetem.

Próbuję nie myśleć o Phoenix, o panu Brocku z trudem łapiącym powietrze na podłodze, o chorobliwym strachu, w jakim żyłam od tamtej chwili. Gdyby mnie złapali, gdyby się dowiedzieli, co zrobiłam, czy mogłabym tak po prostu mieszkać sobie u Eddiego aż do procesu? Nie, ubraliby mnie w pomarańczowy kombinezon, zanim zdążyłabym wymówić słowa „jestem niewinna”.

To kolejne przypomnienie, że tutejszy świat – świat, w którym żyją ci ludzie – mógłby równie dobrze znajdować się na innej planecie.

Prawnik Trippa zdołał udowodnić, że nie istnieje ryzyko, iż jego klient ucieknie, więc Ingraham nadal przebywa tu, w Thornfield Estates, i czeka na proces, od którego dzieli go jeszcze wiele miesięcy.

Tłumacząc sobie, że kiedy stanie na sali rozpraw, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Wiem, że po odnalezieniu ciała Blanche odkryto u niej poważne pęknięcie kości czaszki, a kilka dni przed wyjazdem żony nad jezioro Tripp kupił w sklepie budowlanym w Overton Village ciężki młotek. Dureń zapłacił za niego kartą kredytową.

Teoria głosi, że Tripp zaskoczył kobiety, namówił je na nocną eskapadę łodzią, choć były kompletnie zalane, i coś się tam wydarzyło. Może kłótnia, może przepychanka. Tripp był pijany, wszyscy troje byli. I skończyło się tak, że Blanche wylądowała w wodzie.

O Bei nic nie wiadomo. Może krzyczała, więc ją też uderzył. Może straciła przytomność albo, kiedy łódź zaczęła tonąć, była w kabinie. Może z niej wyszła – zdezorientowana, zbita z tropu – i wtedy Tripp wypchnął ją za burzę.

W rozmowie z Eddiem policja przyznała, że postawienie Trippowi zarzutu zabójstwa Bei byłoby trudniejsze, bo do tej pory nie odnaleziono jej ciała, a na łodzi nie ma żadnych dowodów – krwi ani DNA. W tym momencie wszystkie teorie to spekulacje i między innymi dlatego prawnik Trippa zdołał go zwolnić za kaucją.

No dobra, więc zdecydowało to oraz przywilej bycia białym bogatym facetem.

Przystaję przed domem, łapię się za bok, bo mam kolkę, i gapię się w okna. Ciekawe, co Tripp tam porabia. O czym rozmyśla.

Eddie twierdzi, że Tripp nie posiedzi długo za kratkami, nawet jeśli sąd uzna jego winę, bo tacy jak on nigdy długo nie siedzą. Ponieważ sprawa nadal w dużej mierze opiera się na poszlakach, prokurator okręgowy może zmniejszyć zarzut do nieumyślnego spowodowania śmierci, i najpewniej tak zrobi. Prawnicy Trippa

wysuną argument, że jedynym dowodem, który ma w ręku oskarżyciel, jest ciało Blanche i pęknięcie biegnące przez tył jej czaszki. To, że Tripp kupił młotek, nie oznacza jeszcze, że zamierzał zabić żonę, pomijając fakt, że sama mogła się uderzyć, spadając z łodzi.

W oknie na górze wyłapuję drobny ruch, zasłona leciutko się odchyła i już wiem, że Tripp mnie obserwuje. Czekam na chodniku, czy wyjdzie i ze mną porozmawia, ale nic się nie dzieje. Po chwili ruszam dalej.

Kiedy wracam, dom jest pusty. Eddie już wyszedł do pracy. Przystaję w kuchni, wydaję z lodówki butelkę wody, opieram się biodrem o blat i łapczywie piję. Woda jest tak zimna, że bolą mnie zęby i skronie.

Odstawiam butelkę i w tej samej chwili słyszę dziwny dźwięk.

To głuche uderzenie dochodzące z góry. Takie samo słyszałam podczas wizyty oficer Laurent, która przyjechała powiedzieć nam o Blanche. Zamieram i nasłuchuję.

Łup. Łup. Łup.

Jakby ktoś upuszczał coś ciężkiego, podnosił to i znowu upuszczał.

– Halo? – wołam. – Jest tam kto?

Cudownie. W wyobraźni już przeniosłam się do horroru. Niedługo będę w samej bieliźnie uciekać do ciemnej piwnicy.

Ale huk rozlega się znowu. Serce mi przyspiesza.

Powoli, cicho, wyczulona na wszystkie odgłosy z góry, ruszam przez salon. Panuje jednak cisza. Nie słyszę nic prócz lekkiego szumu klimatyzacji i własnego rozedrganego oddechu.

Cisza wydaje się głośnie, ciężka, pot szybko stygnie mi na skórze i robi mi się zimno. Kiedy nagle rozbrzmiewa dzwonek mojej komórki, krzyczę z zaskoczenia.

Drżącymi rękami wyciągam telefon z małej kieszonki w spodniach do jogi. Na ekranie wyświetla się imię Eddiego. Odbieram.

– Hej, piękna. – Jego głos jest tak swobodny, tak odprężony, że moje serce zwalnia, a strach częściowo odpływa. – Dzwonię tylko spytać, jak ci mija dzień.

W tle słychać jakieś hałasy, uderzenia młotka, odległy warkot piły spalinowej, więc wiem, że jest na budowie, i próbuję go tam sobie wyobrazić – w pomiętej koszuli i ciemnych okularach.

– Widzieliśmy się dwie godziny temu – przypominam mu. – Już się stęskniłeś?

Staram się, by brzmiało to zalotnie, seksownie, ale Eddie chyba wyłapuje w moim głosie coś dziwnego, bo pyta:

– Hej, wszystko gra?

– Tak, tak – odpowiadam, choć nadal wyteżam słuch i patrzę w górę. – Po prostu usłyszałam coś w domu, jakiś hałas.

– Ale co? – pyta Eddie, a ja nagle czuję się jak małe dziecko, które zostało samo i boi się odgłosów.

– Jakby łupnięcie – odpowiadam, potrząsając głową, chociaż Eddie mnie nie widzi. – A raczej kilka. To głupie, wiem. Teraz zakradam się na górę jak w jakiejś powieści grozy albo w horrorze.

Oczekuję, że się roześmieje, ale on mówi:

– To duży dom, Jane. Ciągłe wydaje jakieś odgłosy, a już w lecie, kiedy się nagrzewa, szczególnie.

– Jasne. Mówiłam ci, że to głupie.

– A może byś tak wróciła do łóżka, co, Nancy Drew? – pyta przymilnie, a we mnie wzbiera gorąca fala irytacji, prawie złości.

Thumię ją jednak. On próbuje być miły, a ja przecież muszę w końcu przestać to robić – niszczyć każdą dobrą rzecz, która mi się przytrafia.

– No, w tej chwili to akurat jestem obrzydliwie spocona, więc może lepiej zacznę od prysznic – mówię, a on wydaje niski odgłos, który normalnie wywołałby u mnie dreszcz pożądania.

– Żałuję, że muszę być tu, a nie tam – mruczy.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, abyś wpadł do domu na lunch – rzucam odpowiednio dobranym, prowokacyjnym tonem.

Wzdycha. Czuję ulgę, gdy słyszę jego odpowiedź:

– Chciałbym. Ale dziś ważny dzień na budowie Connorów, a potem muszę jeszcze zajrzeć do Southern Manors. Ale wrócę przed piątą, obiecuję.

– W takim razie trzymam cię za słowo.

Eddie się rozłącza, a ja stoję w holu, oparta rękami o pusty teraz stół.

Nad stołem wisi lustro. Spoglądam na swoje odbicie. Jestem blada, mimo że biegałam, włosy mam do niczego, trochę tłuste, a pod oczami ciemne plamy rozmazanego tuszu.

– Weź się w garść – mruczę do siebie i obiema rękami zgarniam włosy z twarzy. Dziewczyna w lustrze wygląda trochę jak dzikie zwierzę. Szczęrze zęby, kręcę do siebie głową i lekko się śmieję.

Wtedy walenie rozlega się znowu.

Kiedy jeszcze pracowałam na osiedlu, wyprowadzając psy, zastanawiałam się czasem, dokąd osoby typu Campbell, Emily i Caroline jeżdżą w ciągu dnia swoimi gigantycznymi SUV-ami.

Okazuje się, że nie za daleko. Dziś na przykład jesteśmy w Roasted na spotkaniu Komitetu Upiększania Osiedla. Campbell i Emily ubrały się w stylu swobodno-sportowym, lecz ja włożyłam coś ładniejszego – szarą ołówkową spódnicę, różową bluzkę i różowe buty na obcasie. Nadal nie jestem tak opalona jak one ani nie mam takich lśniących włosów, ale widząc swoje odbicie w ciemnych okularach Emily, wiem, że dziś przypominam je o wiele bardziej niż parę miesięcy temu.

Zapisuję sobie w pamięci, by spytać Emily, gdzie chodzi do fryzjera, i sięgam do torebki – to kolejny nowy zakup, ogromna skórzana torba, do której weszłaby cała Adelka – po segregator, na którym starannym, pełnym zawijasów pismem wykaligrafowałam: KUO TE.

– No nieee – mówi Emily i daje mi figlarnego kuksańca. – Patrzcie, jaka przygotowana!

Uśmiecham się, nie wyjaśniając, że siedziałam nad tym do pierwszej w nocy ani że musiałam zużyć chorą ilość korektora, by zakryć cienie pod oczami. Ani że spędziłam sporo czasu na podłodze w salonie, wycinając zdjęcia z czasopism i wsuwając je do plastikowych koszulek. Znowu słyszałam te odgłosy z góry, to dziwne walenie, którym Eddie kazał mi się nie przejmować. Rozległo się tylko kilkakrotnie, i to na tyle słabo, że tym razem nie podskoczyłam ani nie wrzasnęłam, za to postanowiłam w najbliższym czasie zadzwonić do firmy zajmującej się deratyzacją.

Teraz jednak jestem cała w uśmiechach. Kiedy kładę segregator na stole, mój pierścionek łapie promień słońca.

Campbell się nachyla, by przyjrzeć mu się z bliska – tak jak miałam nadzieję.

– To kiedy ślub? – pyta, a Emily trochę się ożywia.

Plotki jako waluta – znowu.

Spuszczam wzrok na segregator, przerzucam parę kartek.

– Serio, jeszcze nie wiemy. Miał być w miarę szybko, coś skromnego, no wiecie. Bez zadęcia, w domu...

– Na pewno ta cała afera z Trippem nie pomaga w planowaniu takich wydarzeń – odzywa się ze współczuciem Emily, a ja podnoszę wzrok.

– Staramy się o tym nie myśleć – mówię, bo to prawda.

Obie pomrukują z aprobatą, a Campbell wzdycha i odwraca mój segregator w swoją stronę. Ogląda zdjęcia, ale widzę, że naprawdę wcale jej nie interesują.

– Znalazłam parę pomysłów w „Southern Living”. Na rabatę przed bramą wjazdową na osiedle. O tu, na czwartej stronie...

– Wiedziałyście, że policja odkryła, że Tripp jednak był nad jeziorem?

Emily zadaje to pytanie prawie szeptem, a ja gwałtownie podrywam głowę. Jestem zaskoczona, to dla mnie nowość.

Nie taka jednak jak dla Campbell, która natychmiast się prostuje i aż potrąca stół, wywołując brzęk metalu.

– Żartujesz? – zdiera ciemne okulary, jej niebieskie oczy są szeroko otwarte. – Był tam? Naprawdę?

Emily kiwa głową, a ja znowu przekręcam segregator w swoją stronę.

– Tak twierdzi policja. Może ktoś go widział? Albo są na to jakieś dowody. Ale takie prawdziwe, nie jak u Kardashianów.

Trochę się z tego śmieję – kto by przypuszczał, że Emily potrafi żartować? – ale Campbell nie spuszcza z nas wzroku, zawiesiła okulary na palcu i buja nimi.

– Czyli... naprawdę to zrobił. Zabił je.

– Oczywiście – mówię nieco ostrzej, niż zamierzałam, a one jednocześnie przenoszą na mnie wzrok.

W dupę.

Chrząkam i znowu skupiam się na segregatorze.

– To znaczy... policja robi swoje. Nie postawiliby mu zarzutów, gdyby nie byli pewni, że to on.

Emily kiwa głową, lecz Campbell nie jest przekonana, przygryza dolną wargę, huśta nogą.

– Strasznie to dziwne – mówi. – Tripp potrafił być dupkiem, jak sobie popił, nie zrozumcie mnie źle, ale nie był... no, agresywny. I kochał Blanche.

Też tak sądziłam, lecz teraz zaczynam się zastanawiać, czy to, że po jej śmierci tak się rozsypał i całymi dniami snuje się po domu i pije, rzeczywiście wynika ze smutku czy może z wyrzutów sumienia.

– Ale przecież *mieli* problemy, Cam. Sama wiesz.

Obie patrzą na mnie, potem na siebie, a ja wiem, o co im chodzi.

– Tripp mi mówił. O tym, że były plotki o Eddiem i Blanche.

Kolejne porozumiewawcze spojrzenie i już myślę, że być może spróbują mi wcisnąć kit, lecz Emily wzrusza ramionami i mówi:

– No wiesz. Spędzali razem sporo czasu. A Bei ciągle nie było w domu.

– *Ciągle* – podkreśla Campbell i kręci głową. – Firma była dla niej wszystkim. Szczególnie w czasie ostatnich miesięcy. Prawie jej nie widywaliśmy.

– Zgadza się – dodaje Emily. – Kiedy wprowadziliśmy się na osiedle, spotykaliśmy się z Beą znacznie częściej. – Uśmiecha się i postukuje w segregator. – Zajmowała się na przykład takimi sprawami. Ale rok temu na wiosnę zaczęła opuszczać spotkania, nie bywała na imprezach...

– Ale myślicie, że... – rzucam i widzę, że spoglądają po sobie.

– Nie – stanowczo zaprzecza Emily po paru sekundach oczekiwania. – Ale Bea i Blanche, tuż przed tym, kiedy to się stało, zachowywały się jakoś dziwnie.

Campbell wciąga powietrze, odchyła się na krześle i znowu rzuca jej spojrzenie.

– No co? – pyta Emily, sącząc kawę. – To prawda. I przecież obie nie żyją. Nikogo nie dotknie, jeśli to powiem. Prócz tego – dodaje, machając ręką, przy czym jej pierścionki wysyłają w powietrze deszcz iskier – to nie było nic grubego. Mam wrażenie, że to miało jakiś związek z mamą Bei. Tak mi się wydaje. Z dawniejszymi czasami, zanim jeszcze pojawił się Eddie.

Widzę, że te plotki ich nie fascynują, ale tak bym chciała się czegoś o tym dowiedzieć. To, że między Beą a Blanche leżała kość niezgody, nie jest niczym nowym, mówił mi o tym Tripp, ale o co konkretnie chodziło? W tej przyjaźni było coś, o czym nie wiem, i nie mogę otrząsnąć się z przeczucia, że właśnie w tym jest klucz do zrozumienia Eddiego. Przypuszczam atak z innej pozycji.

– Bea miała charakterek?

Obie się śmieją i kręcą głowami, a Campbell zdejmuje wieczko i wysącza resztkę kawy z kubka.

– Boże, nie – mówi Emily. – Była naprawdę słodka. Twarda, oczywiście, ambitna i tak dalej. Ale poza tym prawdziwy anioł. Nigdy nie widziałam, żeby się na kogoś wściekła. Nawet kiedy firma cateringowa całkowicie spieprzyła jej i Eddiemu ich rocznicową imprezę. To miało być coś w klimatach hawajskich, a oni przywieźli coś innego. Nie pamiętam, co to było. Cam?

– Śliczne eleganckie zakąski – odpowiada Campbell. – Jak na proszony angielski podwieczorek. Kanapeczki z ogórkiem, kruche ciasteczka i tak dalej. Bea tylko się śmiała. To Eddie się... – Nagle przerywa, patrzy na mnie i wzrusza ramionami. – Zresztą co tam. Nie, Bea nigdy się nie wkurzała, nawet troszeczkę, o ile mogę powiedzieć.

Cisza niezręcznie wisi między nami, dopóki Emily nie przerywa jej ożywionym głosem:

– To co, widzimy się jutro wieczorem w country clubie, tak?

Racja. Kolejna impreza dobroczynna, kolejne eleganckie zaproszenie na drzwiach lodówki, bo przecież teraz należę do grona kobiet, które bywają na takich spotkaniach.

Uśmiecham się do nich.

– W życiu bym tego nie przegapiła.

Kiedy wstajemy, by wyjść, Campbell lustruje mnie od stóp do głów.

– Jeej. Świetnie wyglądasz, Jane. Serio.

– Prawda? – pyta Emily i znowu klepie mnie w ramię. – Zdaje mi się, że spódnice ołówkowe leżą na niej jeszcze lepiej niż na Bei, a to była, że tak powiem, jej specjalność.

Nadal się uśmiecha, ale w jej komentarzu jest coś, co mnie wkurza. Nigdy świadomie nie naśladowałam Bei, ale teraz widzę, że muszę wyglądać, jakbym specjalnie przywdziała kostium byłej żony Eddiego. Ja, moja spódnica i mój segregator – wszystko to biała imitacja.

Duch Bei.

Przez całą drogę do domu ta myśl siedzi mi w głowie i wywołuje niepokój. Wchodzę i przyglądam się sobie w lustrze w holu. Włosy muskają mi ramiona tak samo jak obcięte na długiego boba włosy Bei. Kolczyki, które mam w uszach, przypominają te, które widziałam na jej fotografiach. Pomalowałam nawet usta szminką w tym samym odcieniu czerwieni.

Odwracam się, biorę torebkę i wyjmuję segregator.

„Zajmowała się takimi sprawami”.

Chcę być dla tych ludzi nową Beą? Czy wolę, by przyjęli mnie jako Jane?

Już sama nie wiem.

Mój telefon wibruje. Wzdycham i wyławiam go z torby.

Eseemes od Johna.

Siemka – zaczyna. Ja pierdołę, ależ go nienawidzę. W tym tygodniu trochę cienko u mnie z kasą. Pięć stówek powinno wystarczyć. Możesz znowu wrzucić do skrzynki. Gotówkę. Xo.

Trzymam palce nad klawiaturą. Mogłabym mu kazać się odwalić. Mogłabym napisać do Eddiego.

Sięgam do torby, wyciągam złożoną kartkę, tę, którą dał mi Eddie, tę z nabazgranym numerem telefonu w Phoenix.

Albo mogłabym sprawdzić, kto mnie poszukuje. Czego chce. Co wie.

I w końcu zostawić to wszystko za sobą, żeby móc pójść w życiu dalej.

Drżącymi palcami wybieram numer.

Kościół baptystów, w którym pracuje John, nie jest największą kongregacją w okolicy. Zauważyłam, że na Południu niektóre kościoły zajmują całe kwartały.

Kościół Johna prawie w niczym nie przypomina kościoła. To brzydki przysadzisty ceglany budynek i tylko okno z witrażem przedstawiającym Jezusa w otoczeniu owieczek pozwala się domyślać, że to dom modlitwy.

Włożyłam dziś jeden z moich najlepszych strojów – niebieską plisowaną spódnicę i białą bluzkę z dekoltem w łódkę, a do tego baleriny w biało-niebieskie paseczki i srebrną biżuterię. Kiedy spojrzałam w lustro, prawie nie poznałam samej siebie. Nie wyglądałam jak Jane sprzed dwóch miesięcy, ale nie wyglądałam też jak osoba, która stara się naśladować Emily czy Campbell.

Lub Beę.

Wyglądałam jak... ja.

Niezależnie od tego, kim się właśnie okazywałam.

Prostuję plecy i z wysoko uniesioną głową otwieram drzwi. Dziewczyna siedząca za biurkiem szeroko się do mnie uśmiecha. Pewnie myśli, że przysłam wpłacić ofiarę.

Po części ma rację.

– Dzień doobry – mówię przeciągle i odsuwam ciemne okulary na czoło. – Znajdę tu Johna Riversa?

Nie uchodzi mojej uwagi, że kąciki jej ust leciutko opadają.

„Wiem, co czujesz, dziewczyno”.

– Jest w sali muzycznej – odpowiada i wskazuje mi kierunek, a ja jej dziękuję.

W kościele pachnie przypaloną kawą i starym papierem. Linoleum skrzypi pod nogami. Idę do salki w końcu korytarza, skąd dobiega pbrzękiwanie gitary. John siedzi na wysokim stołku pośrodku pokoju, przed sobą ma pulpit na nuty. Widzę okładkę leżącego tam

śpiewnika: *Pieśni chwały radosnych serc*. Bardzo na miejscu, bo moje serce jest w tej chwili cholernie radosne.

Jego palce przesuwają się po strunach, a oczy podnoszą się, by na mnie spojrzeć. Rejestruję ten pierwszy ułamek sekundy, w którym mnie nie rozpoznaje.

Ma dziś na sobie granatową koszulkę polo, tę z logo kościoła na piersi, włosy zaczesał do tyłu. Widzę jego superfajne nowiutkie adidas i jeśli do tej pory miałam wątpliwości, to teraz już wiem, że nie wszystkie pieniądze Eddiego poszły na nowy system nagłośnienia.

– Jane. – John wstaje i odstawia gitarę, a ja podnoszę rękę.

– Nie będę ci przeszkadzać – odpowiadam. – Wpadłam, żeby ci powiedzieć, że w końcu zadzwoniłam na ten tajemniczy numer z Phoenix.

Krew dosłownie odpływa mu z twarzy. Jego czerwonoróżowe policzki w mgnieniu oka stają się szaraworóżowe, a potem bladoszare. Ten widok prawie rekompensuje mi wszystko, przez co przeszłam, kiedy mnie ciągnął przez to całe gównno.

Ale nie do końca.

– Wiesz, gość okazał się całkiem miły. Zwłaszcza kiedy mu wyjaśniłam, że wszystko, co mu nagadałeś, to bzdury.

Wspominam szok i czystą ulgę, która mnie ogarnęła, kiedy głos w słuchawce powiedział, że pracuje na zlecenie niejakiej Georgie Smith, która poszukuje swojej siostry Liz. I sądzi, że Liz miała córkę, która przebywała w pieczy zastępczej w Arizonie i mogła posługiwać się nazwiskiem Helen Burns. I że Georgie pragnie się z nią spotkać.

Tonem pełnym żalu, naprawdę smutnym, potwierdziłam, że byłam wprawdzie z Helen w tej samej rodzinie zastępczej, ale z tego, co słyszałam, ona jest teraz poważnie uzależniona od narkotyków i wyjechała gdzieś dalej na zachód, może do Seattle? Nie, chyba do Portland. Tu albo tu. W każdym razie nie rozmawiałam ani nie widziałam się z nią od lat. Dodałam też niskim głosem, prawie konspiracyjnym szeptem, że nie zawracałabym sobie głowy dalszymi kontaktami z Johnem Riversem, który znany jest z tego, że oszukuje starsze kobiety takie jak pani Smith. Będzie ją

zwodził, wmawiał, że zna jej siostrzenicę, ale nigdy nie powie nic konkretnego. Prywatny detektyw nie wykazał zdziwienia, przyznał, że zna ten typ ludzi, i podziękował mi za rozmowę.

Kiedy się rozłączyliśmy, czekałam, aż pojawi się prawdziwy żal, bo właśnie zerwałam jedyną wątłą nić łączącą mnie dotąd z moją rodziną. Jeszcze rok temu, ba, nawet parę miesięcy temu na wieść, że mama ma siostrę, która mnie poszukuje, czułabym żalowaną wdzięczność. Ciocia Georgie. Teraz jednak była to tylko kolejna niezłałatwiona sprawa, którą trzeba było się zająć. Dokonałam wyboru, założyłam nową rodzinę i właśnie zamykałam za sobą drzwi, odcinając się od wszystkiego, co było dawniej.

I – co najważniejsze – miałam już pewność, że nikt nie wie, co naprawdę wydarzyło się w Phoenix.

Wywinęłam się.

John ciągle się na mnie gapi, grdyka mu chodzi, a ja się zastanawiam, czy kiedy zaskoczył mnie na parkingu przed Home Depot, czuł się właśnie tak jak ja teraz. Jeśli tak, to prawie go za to nie winię.

– W każdym razie dopilnowałam, by wiedział, że nie można ci ufać, a dla lepszego efektu zasugerowałam, że jesteś zbokiem, który ma świra na moim punkcie, więc na pewno nie będzie już odbierał twoich telefonów.

To kłamstwo, ale za fajnie jest patrzeć, jak John się poci.

Nadal jednak nie jest do końca pokonany.

– Zrobiłaś coś, Jane – mówi. – Przed czymś uciekałaś. Inaczej nigdy byś mi nie płaciła. – Podchodzi bliżej. – Gdybyś nie musiała uciekać, nie prosiłabyś mnie, żebym ci pozwolił u siebie zamieszkać. Byliśmy w tym samym domu... jak długo? Dwa miesiące? Prawie mnie nie znałaś. Ale potrzebowałaś schronienia. No, ciekawe, czy zaprzeczysz.

– Nie muszę ci, kurwa, niczego potwierdzać ani zaprzeczać – mówię, a on zerka na drzwi i lekko się krzywi.

Oglądam się przez ramię. Przypominam sobie dziewczynę z recepcji i to, gdzie w ogóle jesteśmy. Prawie parskam śmiechem.

– Co? Mam nie przeklinać? W rozmowie o tym, jak mnie szantażowałaś?

Zbliżam się do niego. Nowa droga torebka kołysze się w zgięciu mojego łokcia. Pierścionek od Eddiego połyskuje na moim palcu.

– Jesteś sprytniejszy, niż sądziłam, trzeba ci to przyznać – mówię.

– Ale *to* już minęło. Nie dzwoń do mnie, nie dzwoń do Eddiego, zapomnij, że mnie znałeś i że w ogóle istnieję.

Ma obrażoną minę, ale i tak mówi:

– Mam zapomnieć o tobie? Czy o Helen Burns?

Serce ciężko wali mi w piersi, kiedy słyszę to nazwisko.

To minęło.

Jej już nie ma.

– Odpierdol się, John – mówię słodko. Podnoszę wzrok i natrafiam na wiszący na ścianie obraz, kolejny portret Jezusa, tym razem w otoczeniu dzieci, nie owieczek. – Przepraszam – szepczę do obrazu, przesadnie wykrzywając twarz, i wychodzę.

Mijam recepcję. Dziewczyna patrzy na mnie z nieskrywaną ciekawością. Uśmiecham się i wyciągam z torebki książeczkę czekową.

– Słyszeliśmy z narzeczonym, że kościół potrzebuje nowego nagłośnienia.

Wychodzę o parę tysięcy dolarów uboższa, ale tysiąc razy bardziej zadowolona z siebie. Niech no tylko John znowu spróbuje ze mną pogrywać. Teraz, kiedy jego szef, wielebny Ellis, wyszedł, uścisnął mi dłoń, wylewnie dziękując za szczodrość i obiecując, że podziękowania dla darczyńców będą co niedziela zamieszczane w gazetce parafialnej.

Chcę, żeby John je widział. W każdą niedzielę.

Pan Edward Rochester wraz z żoną Jane Rochester.

No dobra, może to trochę falstart z tą żoną, ale przecież się pobieramy. Eddie jest niewinny. A ja – wolna.

Wsiadam do samochodu, zaciskam palce na kierownicy i głęboko wciągam powietrze.

Bądź co bądź nie zabiłam pana Brocka. Zabić kogoś a pozwolić mu umrzeć to dwie różne rzeczy.

Zasłużył sobie na to.

Pozwolił umrzeć Jane. Prawdziwej Jane, tej, którą kochałam, tej, która była moją najlepszą przyjaciółką, mojej siostrze, nawet jeśli

nie łączyły nas więzy krwi. Łączył nas wspólny dom. I wspólny koszmar.

Zawsze była chucherkiem. Łapała wszystkie możliwe przeziębienia i wirusy żołądkowe, jakie krążyły po szkole. Zwykle wystarczała moja pomoc. Witamina C, sok pomarańczowy. Przynoszenie zeszytów, żeby nie miała zaległości. Ale tym razem nie chciało jej się poprawić. Kaszel był coraz bardziej mokry, coraz głębszy. Gorączka rosła. „Ona musi iść do lekarza, proszę”, błagałam państwa Brocków, ale ciągle się wykręcali, zresztą jak zawsze. „Nic jej nie jest, symuluje, nie jest aż tak chora”.

Jane umarła w moim łóżku, skulona przy mnie, tak rozogniona, że prawie nie sposób było jej dotknąć. A co dopiero przytulić. Ja jednak ją przytulałam. Przytulałam ją, kiedy ostro wciągnęła powietrze, zadygotała i znieruchomiała.

Zapalenie płuc. Mogło ją zabić, nawet gdyby Brockowie zawieźli ją do szpitala. Była już bardzo osłabiona.

Nie mogłam tego wiedzieć.

Dlatego miałam wrażenie, że to za sprawą jakiejś poetyckiej sprawiedliwości tamtego wieczora, kiedy pani Brock poszła na bingo, zostałam w domu sama z panem Brockiem. Byłam już wtedy ich jedyną podopieczną.

Pan Brock oglądał telewizję, mecz bejsbolowy, i coś go wkurzyło, jakaś decyzja sędziego. Czasem to automatycznie oznaczało, że któreś z nas dostanie w skórę, ale tym razem tylko się zerwał i czerwony na twarzy wrzeszczał na telewizor.

Siedziałam przy stole w kuchni i wypełniałam formularz o przyjęcie do pracy w jakimś gównianym fast foodzie, gdy nagle ostro wciągnął powietrze i złapał się za klatkę piersiową.

Od jakiegoś czasu skarżył się na problemy z sercem. Nigdy nie wiedziałam, co mu konkretnie dolega, ale zakładałam, że dieta złożona z whiskey, frytek i czystego kurewskiego zła nie sprzyjała zdrowiu. Miał na to lekarstwo. Duże pastylki w pomarańczowym słoiczku. Odwrócił się do mnie i wykrztusił to słowo. Jego cera miała kolor zepsutego mleka.

„Tabletki”.

Nie przyniosłam mu ich.

Upadł na kolana, otwierał i zamykał usta jak ryba wyjęta z wody. Oczy omal nie wylazły mu z orbit.

Pan Brock nie był potężnej budowy, szczerze mówiąc, jego postura niewiele różniła się od mojej. Podobało mi się, że widzę go na kolanach. Stałam nad nim, a on gapił się na mnie bez zrozumienia.

To słowo tak łatwo przeszło mi przez usta.

„Umieraj”.

Chciałam, żeby umarł. Za Jane. Patrzyłam więc tylko, jak walczy, jak łapie powietrze, a kiedy chciał sięgnąć po słoiczek z pigułkami, który stał na stoliku między dwoma fotelami, zabrałam go. I trzymałam tuż przed jego nosem. Żeby widział.

Potem poszłam do kuchni, odkręciłam wodę i spuściłam tabletki w zlewie. Uruchomiłam młynek w syfonie, żeby nie pozostawić śladów. Wyszłam z domu, dopiero gdy byłam pewna, że przestał oddychać.

Od pięciu lat uciekam przed tamtym wieczorem, przed świadomością, że ludzie na pewno pamiętają, że kiedy pan Brock padł martwy, tylko ja byłam w domu. Ale wciąż zapominam, że ludzie tacy jak ja są całkowicie nieistotni. Nikt nie skojarzył mnie z jego śmiercią.

Bądź co bądź pan Brock chorował na serce. A Helen po prostu wyjechała. Było jej głupio, że dobiega osiemnastki, skończyła szkołę i wyrasta z systemu opieki zastępczej.

Opuszczając dom, zabrałam dokument tożsamości Jane. Jane, która była do mnie tak podobna, że mogłaby być moją siostrą.

I zaczęłam nowe życie. Udane, jak się okazało.

Z uśmiechem uruchomiłam silnik i ruszyłam do domu. Do nowego domu.

Prawdziwego.

– Którą włożyć? – pytam.

Eddie lustruje wzrokiem trzy sukienki, które rozłożyłam na łóżku.

Jest tam prosta kremowa, bardziej sexy czarna i ta, którą zamówiłam sobie w Southern Manors: ciemnośliwkowa z niewielkim rękawkiem i kołnierzykiem bebe, na którym wyhaftowano zielone liście. Jest o wiele bardziej pretensjonalna niż to, w co się zwykle ubieram, ale byłam ciekawa sukienek zaprojektowanych przez Beę i tego, czy Eddie ją rozpozna. A jeśli tak, to czy coś powie?

Ale nawet jeśli sukienka wydaje mu się znajoma, Eddie nie daje tego po sobie poznać. Wskazuje brodą na kremową i mówi:

– Ta mi się podoba.

A więc gdy ruszam na swój pierwszy koktajl w country clubie, czuję się trochę jak dziewczyna ofiarowa. Sukienka, która na wieszaku wydawała się wysmakowana, jest dla mnie odrobinę za długa, sięga mi tuż za kolano, a sztywny, za wysoki kołnierzyk prawie dotyka mi szczęki. Poza tym w kremowym moja cera wydaje się ziemista.

Country club w Birmingham mieści się w pięknym, gustownym budynku w stylu Tudorów, który stoi na końcu rozległego zielonego trawnika, w otoczeniu potężnych drzew. Kiedy idziemy podjazdem, przyglądam się kamiennym i drewnianym elementom konstrukcji, światłu wylewającemu się przez okna i przysuwam się do Eddiego. Bywaliśmy już w eleganckich restauracjach i na imprezach kościelnych, lecz tu czuję się jak przed kolejnym sprawdzianem i nie jestem pewna, czy się do niego wystarczająco przygotowałam.

Mimo że jest wieczór, panuje straszny upał; biorąc wdech, masz wrażenie, że stoisz bezpośrednio przed nawilżaczem powietrza, a jednak kwiaty w ciężkich donicach ustawionych przed drzwiami są jaskraworóżowe. Tu wszystko wydaje się pełne życia, witalności.

Wszystko z wyjątkiem ludzi, którzy właśnie wlewają się do sali.

To klony moich znajomych z miasteczka albo z kościelnej aukcji u metodystów: lekko rumiani mężczyźni w garniturach, świetnie ubrane kobiety w jaskrawych strojach, o włosach, które nie są zwyczajnie ciemne lub blond, lecz mają tysiące odcieni wykreowanych przez drogich fryzjerów.

Łączna wartość biżuterii znajdującej się w tej jednej sali wynosi pewnie tyle, ile PKB małego państwa. Może nawet nie tak bardzo małego.

Pod tylną ścianą stoją stoły uginające się od potraw. Kelnerzy krążą z tacami kanapeczek, ale wygląda na to, że nikt nic nie je.

A czy piją? Jak najbardziej.

Jakoś mnie nie dziwi, że bar ustawiony pośrodku sali stanowi węzeł, wokół którego gromadzą się goście. Kiedy podchodzę bliżej, stwierdzam, że oferuje się tu wyłącznie trunki z najwyższej półki.

Ręka Eddiego miło ciąży i grzeje w zagłębieniu moich pleców, przypomina mi, że teraz też należę do tego świata. Uśmiecham się. Jednak w takich sytuacjach, kiedy widzę go wśród tego typu mężczyzn, mężów kobiet, którym się od paru miesięcy wnikliwie przyglądam, uderza mnie to, jak bardzo się wyróżnia. Wydaje się inny.

– Napijesz się? – pyta, a ja kiwam głową.

– Tak, białego wina.

Przeciska się przez tłum przy barze, a ja zostaję sama. Stoję skrzepowana, z dłońmi złączonymi przed sobą.

– Jane!

Emily się uśmiecha i wyciąga do mnie chudą, opaloną rękę. Obejmuje mnie za ramiona i prowadzi do grupki kobiet w koktajlowych sukienkach. Czekam, aż ogarnie mnie fala triumfu, satysfakcji, że w ciągu paru zaledwie miesięcy z dziewczyny wychodzącej z psami zmieniłam się w kobietę z towarzystwa. Ale nic takiego nie czuję. Najbardziej chciałabym wrócić do domu.

– Jaane – mówi przeciągle nieco wstawiona Emily. – Już chyba wszystkich poznałaś, prawda?

– Cześć, laski – rzucam dziarsko, a one się do mnie uśmiechają.

Jestem teraz jedną z nich.

– Kochana, jaka *świetna* sukienka – zauważa Landry.

Ma na sobie podobną, więc może komplementuje nie tyle mnie, ile siebie. Na jej nadgarstku widzę piękną bransoletkę, cienkie złote kółko z niewielką zawieszka. Od razu zaczynam główkować, jak sprawić, żeby je niepostrzeżenie straciła.

„Kurwa, nie”, upominam się. „Już nie musisz tego robić, to byłoby samobójstwo, po prostu ją spytaj, gdzie kupiła, jedź i kup sobie taką samą”.

Ale ten pomysł mnie nie pociąga, więc po prostu zbywam jej komplement machnięciem ręki.

– O, dzięki. Nie mogłam się zdecydować, więc postawiłam na prostotę.

– Eddie jest? – pyta Emily, a ja kiwam głową i pokazuję gestem za siebie.

– Jest, aktualnie w pościgu za woodford reserve.

Cała piątka wybucha dziwacznym, nieszczerym śmiechem, jakbym powiedziała dobry żart. W rzeczywistości ostatnio Eddie więcej pije, kosz na szkło jest pełen pustych butelek. Postanowiłam dziś wieczór mieć na niego oko, zwłaszcza że to on prowadzi.

Oczywiście, nie wspominam o tym *laskom*.

Caroline jednak wyłapuje coś w moim tonie, bo mówi znacząco:

– Nadal nie wierzę, że Tripp Ingraham mógł zabić swoją żonę i jej przyjaciółkę.

Z tyłu za jej plecami widzę mężczyznę w stroju znacznie swobodniejszym niż inni goście, z aparatem, pstrykającego zdjęcia. Co się potem z takimi zdjęciami dzieje? Gdzie są zamieszczane? Czy komuś się chce oglądać plotkujące panie domu?

– No ale on nadal utrzymuje, że nie ma nic wspólnego... – mówi Caroline cicho, a kończy szeptem – z morderstwami. No i na pewno będzie proces... – Zawiesza głos i patrzy wprost na mnie. – Ta cała sprawa musi być dla was obojga koszmarem.

To takie wkurzające, a jednocześnie... tak cholernie *pasuje*, że właśnie Tripp Ingraham może mi wszystko rozwalić. To typowe dla Trippów tego świata. Rozpieprzać życie ludziom takim jak ja.

– Modlimy się, żeby się wreszcie zakończyła – odpowiadam po chwili i to wreszcie zamyka im usta.

Kiwają stanowczo głowami, a Anna Grace mruczy nawet:

– Amen.

*

Impreza hula na całego, gdy koło dziesiątej postanawiamy z Eddiem wyjść. Goście są coraz bardziej wstawieni, muzyka coraz głośniejsza i mam już dość uśmiechania się do zdjęć.

– Dobrze się bawiłaś? – pyta Eddie, a ja jestem na tyle zmęczona, by powiedzieć prawdę.

– Nieszczególnie.

Śmieje się i rozluźnia krawat.

– Rozumiem. Ci ludzie są... jacyś inni.

Idziemy do samochodu, żwir chrzęści nam pod butami.

– Myślałeś kiedyś, żeby stąd wyjechać? – pytam i oglądam się na niego przez ramię. – To znaczy pamiętam, co mówiłeś, że Bea chciała, aby jej firma miała bazę w Alabamie. Ale mógłbyś ją sprzedać, nie? – Milknę i przez chwilę boję się, że posunęłam się za daleko. – Mam na myśli to, że żadne z nas stąd nie pochodzi. Moglibyśmy zacząć od nowa. Zupełnie gdzie indziej.

Eddie przystaje.

– Chciałabyś?

Parę tygodni temu powiedziałabym, że nie, że Thornfield Estates jest jak spełnienie marzeń. Ale teraz, kiedy poznałam ciemną stronę miejsca, które uważałam za ideał, nie jestem już taka pewna.

– Mogłabym – przyznaję wreszcie. – Gdybyś ty chciał.

Eddie zadziera głowę, patrzy w niebo.

– Byłoby miło – odpowiada, ale to żadna odpowiedź.

Potem rusza w stronę samochodu tylko po to, by po chwili znów się zatrzymać.

– Upadło ci. – Schyla się i podnosi z ziemi złote kółko.

Biorę bransoletkę Landry i wsuwam ją do torebki.

– A, to. Dzięki.

– Martwisz się? – pytam, kiedy zjeżdżamy krętą drogą ze stromego wzgórza, na którym stoi country club.

Trzy kieliszki sauvignon blanc wypite na pusty żołądek rozwiązały mi język. Silnik cicho mruczy, droga jest pusta, żadnego ruchu i żadnych dźwięków – prócz cichego westchnienia, które wydaje Eddie, kładąc mi rękę na kolanie.

– To znaczy Trippem? – dodaję. – Bo ja *nie*. – Nie waham się tego powiedzieć.

Eddie rozpina górny guzik koszuli. Patrzę na niego. W słabym świetle tablicy rozdzielczej widzę cienie pod jego oczami i ciemne, zapadnięte policzki. Kładę rękę na jego udzie.

– Wszystko się ułoży – zapewniam go. – Teraz, kiedy Trippa aresztowali...

Eddie drwiąco parska, przenosi dłoń z mojego kolana na kierownicę i pokonuje kolejny zakręt.

– To wcale nie koniec – mówi. – Będzie proces, będą dziennikarze, będzie więcej pytań... – Zawiesza głos i kręci głową. – Pieprzony bajzel.

Myślę o tym, co Campbell zaczęła opowiadać wtedy w kawiarni. O temperamencie Eddiego. O firmie cateringowej, która pomyliła zlecenia, i o tym, że Bea się tylko śmiała, a Eddie...

Nie.

Nie, przecież postanowiłam nie dopuszczać do siebie takich myśli. Poprosił mnie, żebym mu zaufała, więc ufam.

– Mamy siebie nawzajem – przypominam mu.

Twarz Eddiego trochę łagodnieje.

– Tak, to zawsze coś, prawda?

Uśmiecha się i przechyla, by musnąć ustami mój policzek. Ładnie pachnie, jak zawsze, ale pod ostrym, korzennym zapachem drogiej wody kolońskiej wyczuwam bardziej przydymiony zapach

bourbona. Bezwiednie przywodzi mi na myśl Trippa. Niemal gwałtownym ruchem odsuwam głowę.

Ale Eddie w niczym nie przypomina Trippa, a poza tym właśnie wracamy z imprezy, na litość. Jasne, że pachnie od niego alkoholem, to miły zapach. Ode mnie też pewnie da się wyczuć sauvignon blanc, który wmusiła we mnie Emily.

Wjeżdżamy na podjazd, dom jest oświetlony z zewnątrz. Zastanawiam się, czy nadejdzie dzień, kiedy przywyknę do tego, że tu mieszkam. Że ten cudowny dom jest mój.

To znaczy mój i Eddiego.

W środku nalewam sobie jeszcze jeden kieliszek wina, a Eddie odpowiada na jakieś mejle, które przyszły późnym wieczorem. Postanawiam iść się wykapać. Wciąż cieszę się tą ogromniastą wanną, tym, że mogę z niej korzystać, kiedy tylko mi się podoba.

Po drodze do łazienki zrzucam z siebie sukienkę, pozwalam, by upadła na marmurową podłogę, ani odrobinę nie przejmuję się tym, że kosztowała więcej niż moja miesięczna opłata za pokój u Johna.

Na dzisiejszą imprezę wzięłam małą kopertówkę, w której zmieściły się tylko telefon, szminka, miętówki, a potem jeszcze bransoletka Landry. Rzucam torebkę na blat toaletki i w tej samej chwili odzywa się w niej moja komórka. Marszczę czoło i wyciągam ją, w głębi duszy zastanawiając się, czy ktoś widział akcję z bransoletką, ale kiedy rzucam okiem na ekran i dowiaduję się, od kogo to wiadomość, ściska mnie w żołądku.

Musimy porozmawiać.

To Tripp.

Opieram się o umywalkę i gapię w ekran w oczekiwaniu na dalszy ciąg.

Jeśli powiesz, żebym się odwalił, to zrozumiem, ale to nie byłam ja. Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że mi uwierzysz.

Biorę trzy, cztery wdechy i przychodzi ostatnia wiadomość.

Co znaczy, że jesteś w niebezpieczeństwie.

– Janie?

Podskakuję zaskoczona. W drzwiach staje Eddie, rozwiązany krawat luźno wisi mu na szyi.

– Co się stało? – pyta i ściąga brwi. – Jesteś bardzo blada.

„Powiedz mu. Okłamałaś go w sprawie Johna i pamiętasz, jak się wtedy wściekł. Więcej nie kłam”.

– Za dużo wypłam – mówię zmieszana. – Emily właśnie przysłała mi coś w sprawie Komitetu Upiększania Osiedla – dodaję i macham do niego telefonem.

Eddie kręci głową.

– Komitet, komitet. Jak na osobę, która tak często mówi o wyprowadzce, coś za bardzo brzmi jak rodowita mieszkanka osiedla.

Posyła mi czuły uśmiech, a ja odpowiadam mu najbardziej kokieteryjnym, na jaki jestem w stanie się zdobyć.

– Wiem, że to uwielbiasz.

– Uwielbiam ciebie – ripostuje.

Mój uśmiech nieznacznie słabnie, ale na szczęście Eddie się odwraca.

– A ja ciebie – mówię.

I piszę do Trippa.

Kiedy?

Część VIII. Bea

Przyjęcie odbywa się w Birmingham, w starym hotelu Tutweiler, który Bea zawsze uwielbiała. Zaledwie pół roku wcześniej Blanche brała tu ślub i od tego czasu Bea też koniecznie chciała tu coś zorganizować.

Promocja nowej kolekcji Southern Manors i zakończenie sprzedaży akcji wydaje się doskonałą okazją. Bea miesiącami planuje każdy szczegół, a kiedy wreszcie nadchodzi wielki dzień, efekt przerasta jej najśmielsze oczekiwania.

Sala balowa jest udekorowana przedmiotami dostępnymi w Southern Manors. Na każdym stole srebrne jabłko, kryształowa świnka lub wazon z dmuchanego szkła ozdobiony wstążeczką w drobną kratkę. Jest klasycznie i elegancko, a jednocześnie ciepło i swojsko. Bea od kilku lat dąży do tego, by jej firma łączyła właśnie takie cechy.

Sama też stara się być ich wcieleniem. Suknia, którą ma na sobie, jest znakomicie uszyta i szalenie droga, ale w żadnym stopniu nie nadmiernie strojna, a jej biżuteria – subtelna.

Za to Blanche w długiej czarnej sukni i brylantach wygląda na przesadnie odpicowaną. Bea ma satysfakcję – większą, niż powinna; czuje zadowolenie, że Blanche nie pasuje do miejsca, które kiedyś sama znalazła i wybrała na własną uroczystość.

To wspaniały wieczór, a Bea jest jego wspaniałą gospodynią, chociaż kiedy patrzy na zgromadzone w sali pary, przychodzi jej na myśl, że w którymś momencie sama też powinna znaleźć partnera. To jedyna rzecz, której brakuje w jej życiu. Spogląda na Blanche – przyjaciółka właśnie bierze Trippa pod rękę – i zastanawia się, dlaczego do tej pory nie poświęciła uwagi swojemu życiu uczuciowemu.

Zdaje sobie sprawę, że miała ważniejsze rzeczy do roboty, że odkąd skończyła studia, całym jej światem stało się Southern Manors, ale nagle dotkliwie odczuwa ten brak i postanawia coś w tej sprawie zmienić.

Jednak nie dziś.

Dzisiejszy wieczór należy do niej. Do jej sukcesu. Do tego, co stworzyła od zera.

Jest tu również jej matka. Ma na sobie miętową suknię, którą Bea wybrała, sądząc, że będzie ładnie współgrać z delikatnie rudym odcieniem jej włosów. Ale teraz widzi, że nie był to dobry pomysł – zieleń podkreśla raczej żółty odcień skóry, matka wygląda, jakby miała żółtaczkę, jakby była zmęczona i wyblakła.

– Mamo, chcesz iść na górę do swojego pokoju? – pyta cicho, pochylając się nisko nad siedzącą przy stole kobietą.

Obok jej talerza stoi butelka wody gazowanej. Bea wydała kelnerom ścisły zakaz podawania matce jakiegokolwiek alkoholu i, jak się zdaje, do tej pory stosowano się do tego polecenia.

– Nie – odpowiada cicho mama i drżącą ręką odgarnia włosy do tyłu.

Ona też włożyła dziś brylanty. Nie takie ostentacyjne jak Blanche i chyba od dawna nieczyszczone, bo wcale nie błyszczą. Bea doznaje nagłego olśnienia – nie rozumie, czemu nie zaproponowała mamie nowych dodatków z kolekcji Southern Manors.

– Jestem z ciebie taka dumna, Bertho, misiu – mówi mama z uśmiechem.

Tym razem Bea jej nie poprawia. Dziś wreszcie zostawiła przeszłość za sobą i narodziła się dla świata na nowo – w świeżej, olśniewającej odświeżeniu.

Przez resztę wieczoru krąży między gośćmi – i to jest błąd. Powinna była nie spuszczać oczu z matki, nalegać, by poszła się położyć.

Oczywiście nie ma o tym pojęcia, dopóki nie wchodzi na mównicę, by podziękować wszystkim za przybycie, za to, że Southern Manors odniosło sukces. Że ona odniosła sukces.

– Southern Manors jest wielką rodziną – mówi i słyszy swój własny głos z głośników. – A ziarno firmy zostało zasiane w mojej rodzinie. Za sprawą stylowych mebli mojej mamy. Patchworków mojej babci. Miłości ojca do ciężkiej szklanki z bourbonem.

Goście uprzejmie się śmieją, a Bea chwyta się krawędzi pulpitu i myśli o tym, że jej ojciec zawsze miał głęboko gdzieś, co pije, byleby trunek nie przestawał płynąć. Że nigdy nie poznała babci, że w rodzinnym domu wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zostało sprzedane, zanim pojawiła się na świecie. Wie, że rozgłasza kłamstwa, ale robi to od tak dawna, że nawet nie przychodzi jej do głowy, by mama mogła

zaprotestować. Czemu miałyby to robić, skoro to właśnie dzięki tym kłamstwom ma stały dostęp do alkoholu i luksusowych ciuchów?

Bea widzi tę scenę z wyprzedzeniem, zanim jeszcze cokolwiek się wydarza, a fakt, że w żaden sposób nie może temu zapobiec, sprawia, że znosi to jeszcze gorzej. Matka wstaje i chwiejnie rusza przed siebie, zatacza się, nawet kiedy stoi w miejscu. Beę ściska w gardle, a ciężar, który kładzie się na jej sercu, jest tak wielki, że zdaje się ją przygniatać.

– Bertha, o czym ty, na litość boską, mówisz? – woła matka. Jej głos unosi się ponad tłumem, chociaż słowa są bełkotliwe.

Parę głów odwraca się w jej stronę. Bea uzmysławia sobie, że nikt z gości, nikt prócz Blanche, nie zna jej prawdziwego imienia.

– Jej ojciec nie wiedział, co ma w ręku, szklankę z bourbonem czy butelkę piwa – ciągnie radośnie matka, jakby opowiadała zabawną anegdotę, a nie rozbijała to, co Bea z takim trudem stworzyła.

Autentyczność. Jedno z chwytliwych słówek widocznych na wszystkich materiałach reklamowych firmy. A oto jej matka obraca wszystko w pył.

– A jej babcia Frances umarła, zanim...

Zdaje się, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Matka zawraca do stolika, by dalszą częścią opowieści raczyć już siedzących przy nim gości. W tym samym czasie nadchodzi kelner trzymający w uniesionej ręce tacę z kieliszkami szampana. Nie byle jakimi kieliszkami, rzecz jasna, z kieliszkami z Southern Manors, niewielkimi, płaskimi, w kształcie połówek brzoskwini ozdobionych szklanym listkiem.

Scena zderzenia jest niemal teatralna. Matka przydeptuje skraj swojej sukni, kelner próbuje jednocześnie podtrzymać ją i nie przechylić tacy. Ona upada na ziemię przy brzęku tłuczonego szkła, on, zmartwiały, kuca obok, odkłada wreszcie tacę, by chwycić matkę pod łokieć.

Ona się śmieje.

Na wierzchu jej dłoni wykwita czerwona plama krwi, matka bezwiednie wyciera ją w sukienkę. Zmartwiała Bea przygląda się temu ze swojego miejsca.

– No i bach! – woła matka i zanosi się śmiechem. Jest zarumieniona.

Bea wciąż nie potrafi się ruszyć, nie umie się zmusić do tego, by przejść przez salę i sprawdzić, czy mamie nic się nie stało, albo pomóc jej

wstać.

W końcu robi to Blanche.

Po latach w pamięci Bei pozostanie żywy obraz, jak Blanche pomogła jej mamie się podnieść, paplając coś o niebezpiecznych dywanach, nowych butach, gotowa podsunąć wszelkie możliwe wymówki, którymi dałoby się usprawiedliwić to, co się stało. Jakby fakt, że mama jest pijana, nie był bolesną oczywistością.

Dopiero gdy Blanche przenosi na nią wzrok, Bea czuje, że jej kończyny odzyskują zdolność ruchu, i z zastygłym uśmiechem na twarzy idzie w ich stronę, by wziąć mamę pod drugie ramię.

– Chodźmy na górę – mówi, a matka, nadal cała w uśmiechach, radośnie unosząc się na chmurze wódki i Bóg wie czego jeszcze, pozwala wyprowadzić się z sali.

Potem Bea i Blanche siedzą w salonie w apartamencie Bei. Blanche trzyma kieliszek z winem, ale Bea popija wodę z butelki. W tej chwili nie jest w stanie znieść nawet zapachu alkoholu.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że jest aż tak źle? – pyta Blanche.

Co Bea ma na to powiedzieć? Że nie wiedziała? To kłamstwo. Że nie chciała, by ktokolwiek wiedział, że naprawdę jest tak źle? To już bliższe prawdy, ale zbyt trudno się do tego przyznać, to zbyt wstydlive i zbyt ważne. Wzrusza więc tylko ramionami i mówi:

– Ostatnio miałam mnóstwo na głowie, nie spędzałam z nią za wiele czasu. Zawsze lubiła napić się wieczorem, ale dziś...

Patrzy z zamyśleniem, jakby nie zdawała sobie sprawy z istnienia świata, w którym jej matka się upija i robi jej obciach. Jakby nie był to stały element jej dzieciństwa.

– Może trzeba jej pomóc? – rzuca Blanche.

Przechyla kieliszek, by upić łyk, zamiera, spogląda na trunek i chyba sobie uświadamia, że rozmowa o odwyku przy lampce pinot grigio jest trochę niestosowna.

– Wrócę do Calery – mówi w końcu Bea i głośno odstawia butelkę z wodą na blat. – Dopilnuję jej trochę, skieruję na właściwy tor.

Blanche marszczy czoło.

– Jesteś pewna, że... – zaczyna, ale Bea ucisza ją machnięciem ręki.

– Wiem, czego jej potrzeba.

Nikt nie zna jej matki tak dobrze jak ona.

Styczeń, sześć miesięcy po Blanche

Eddie nie zjawia się prawie przez tydzień od dnia, kiedy ze sobą spaliśmy.

W pewnym sensie się tego spodziewałam. Schrzałam to, napomykając, że może mi ufać. Z upływem dni zaczęły mnie ogarniać ponure myśli, że to może już koniec. Że zaczeka, aż wyczerpią się zapasy, i pozwoli mi umrzeć z głodu.

Nie mogłam przestać sobie tego wyobrażać. Widziałam swój szkielet na tym wygodnym łóżku, na białej pościeli, i to, że znajdzie mnie dopiero nowa rodzina, która się tu kiedyś wprowadzi. Może zostanę duchem i będę na zawsze straszyć w tym domu, jęczeć i stękać pod dachem.

Kiedy sprzedawałam dom matki, ten, w którym umarła, zastanawiałam się, czy jej duch nadal tam mieszka, czy chodzi po korytarzach.

Tymczasem dziś niespodziewanie Eddie wrócił.

Przyniósł zapasy i książki, jakby czuł się winny. Nie wiedziałam, czy to z powodu seksu, czy dlatego, że długo go nie było. Nie umiałam go rozgryźć.

Stał i przyglądał mi się w nieskończoność, a ja siedziałam na łóżku, wstrzymałam oddech i czekałam. Nagle zdecydowanym krokiem podszedł, wziął mnie w ramiona i pocałował tak mocno, że skaleczył mi zębami wargę do krwi.

Zadziałało. Zadziałało przypomnienie mu, co dla siebie znaczyliśmy. Co wciąż możemy dla siebie znaczyć. Mimo że wszystko schrzałam, on wrócił i ciągle mnie pragnął.

A ja jego. Tak samo. Tak samo mocno.

Pomimo wszystko.

I co ja, kurwa, mam z tym teraz zrobić?

*

Luty, siedem miesięcy po Blanche

Eddie był dziś jakiś inny.

Nie potrafię wyjaśnić, na czym to polegało, po prostu wydawał się nieswój. Wymięty, jakby źle sypiał. Po raz pierwszy od wielu tygodni się nie kochaliśmy. Wrzucił mi tylko wodę i jedzenie i powiedział, że musi iść.

Na jego koszuli zobaczyłam kropelkę krwi. Na mankiecie. I zadrapanie na nadgarstku.

Spytałam, co się stało, a on odpowiedział, że nic.

Nie patrzył mi jednak w oczy.

*

Nienawidzę tego. Nienawidzę, że śledzę jego humory jak prognozę pogody. Wszystko było dobrze, działało, zaczął mi ufać. A teraz znów jest jak obcy, zostawia jedzenie, prawie nie zostaje, żeby pogadać.

Za każdym razem, kiedy przychodzi, wygląda lepiej. Bardziej przypomina siebie. Jakby potwór, którego widziałam nad jeziorem, powoli przekształcał się w Eddiego, w którym się zakochałam, Eddiego, za którego wyszłam.

Czuje się lepiej sam ze sobą, a ja się zastanawiam, co się zmieniło.

*

Dziewczyna.

No jasne, chodzi o dziewczynę.

Dziś, kiedy wszedł, był najbardziej od tamtej potwornej nocy podobny do Eddiego, którego poznałam na Hawajach. Kompetentny. Opanowany.

Niemożliwe, by sam dokonał tej zmiany. Znam go. Staje się najlepszą wersją siebie, gdy ma kogoś, w kim może się przejrzeć, kogoś, dla kogo może być *kimś*.

Zastanawiałam się, kto to jest. Jakaś babka z okolicy? Ktoś, kogo znam? Próbowałam go sobie wyobrazić z Emily albo Campbell, albo Landry Cole, ale to prawie niemożliwe. Eddie ich nie lubił i zawsze twierdził, że w porównaniu ze mną to nudziary.

Nocą leżę i próbuję ją sobie wyobrazić – tę nową kobietę, którą – wiem to – Eddie usidlił.

Jest młodsza ode mnie? Ładniejsza?

Wie, kim on jest?

*

Kiedy Eddie przyszedł dziś na górę, był trochę wstawiony.

To znaczy początkowo.

Przyniósł mi też butelkę wina.

No dobra, wino w kartonie, takim małym, w którym się mieszczą trzy kieliszki. Pewnie po to, żeby się dało wypić bez kieliszka i korkociągu. W każdym razie od tak dawna nie piłam wina, że natychmiast uderzyło mi do głowy.

Eddie siedział koło mnie na łóżku i trzymał rękę na moim udzie, ale nie zrobił nic więcej, chociaż tego chciałam. Nienawidziłam się za to, ale i tak chciałam.

– Spotykasz się z kimś, prawda? – spytałam.

Był na tyle zawiany, że odpowiedział.

– Tak.

Spodziewałam się tego, ale jego odpowiedź mimo wszystko była dla mnie jak policzek. Poczułam fizyczny ból. Zabrakło mi powietrza.

– Z kim? – spytałam, a on spochmurniał, odwrócił wzrok i zabrał rękę z mojego uda.

– Nie znasz.

Nic więcej nie zdradził.

Od razu po tym musnął mnie wargami w skroń i wyszedł, a teraz leżę i łzy cieką mi na poduszkę.

To powinny być łzy strachu. Jeśli Eddie kogoś poznał, to jak długo jeszcze będzie mnie tu trzymał? Teraz muszę być dla niego

dużym obciążeniem.

Ale się nie boję.

Jestem... zła.

Dotknięta.

Zazdrosna.

*

Ma na imię Jane.

Tyle udało mi się z niego wydobyć.

Dziś, kiedy się zjawił, właśnie wyszłam spod prysznic. Nie zrobiłam tego specjalnie, przecież nigdy nie wiem, kiedy przyjdzie, ale zadziałało na moją korzyść.

Wystarczyło, że na mnie spojrział. Stałam zawinięta w ręcznik, a jemu od razu pociemniały oczy. Patrzył łapczywie i najłatwiej na świecie było puścić ręcznik i otworzyć przed nim ramiona.

Potem był taki jak zawsze po seksie – rozluźniony, bardziej bezbronny.

Łatwiejszy.

– Jaka ona jest? – spytałam.

– Jane? – odparł bez zastanowienia.

Jane.

Ma na imię Jane. Prosto. Zwyczajnie. Czy to prosta, zwyczajna dziewczyna?

– Jest... – Zamilkł. Wyraźnie zobaczyłam, jak przez jego twarz przemknęło poczucie winy, kiedy próbował przywołać sobie w głowie jej obraz, leżąc tu, w moim łóżku. – Zupełnie inna niż ty – odparł w końcu, a ja byłam ciekawa, co ma na myśli.

Ale przede wszystkim byłam ciekawa jej.

Była teraz na dole? W moim domu? Myślała o mnie? O biednej zmarłej żonie Eddiego?

Nienawidziła mnie?

Bo ja, gdybym była kimś innym, nienawidziłabym siebie.

*

Kwiecień, dziewięć miesięcy po Blanche

To było głupie – to z łóżkiem. Ciekawiło mnie, czy usłyszy – ta Jane, która istniała gdzieś tam pode mną. Chciałam, by wiedziała, że wszystko – ten dom, ten mąż – nadal należy do mnie.

Eddie mnie o to spytał, kiedy mnie później odwiedził.

– Hałasowałaś czymś?

Rozłożyłam ręce w geście, który zapraszał, by sam rozejrzał się po pokoju.

– Czym? – spytałam, a on pokręcił głową.

– No tak – odparł i odwrócił się, by wyjść.

Wzięłam go za rękę.

Nie wyszedł.

*

Maj, dziesięć miesięcy po Blanche

Dni mijają nieubłaganie, a ja czuję, jak z każdym z nich tracę trzeźwość umysłu. Jak to możliwe, że od zniknięcia mojego i Blanche minęło już tyle czasu? I dlaczego nadal tu jestem?

Czasem mam wrażenie, że odzyskałam męża. W niektóre poranki budzę się z przekonaniem, że dziś usłyszę od niego, że ten koszmar się skończył, że mogę wyjść z ukrycia. Aż do chwili, gdy przypomnę sobie o niej.

Wiem już o Jane sporo. Wychowała się w rodzinie zastępczej w Arizonie. Poznała Eddiego, bo pracowała tu, na osiedlu – wyprowadzała ludziom psy, ale mieszkała z jakimś świrem w Center Point. Ma brązowe włosy, jak ja, ale parę odcieni jaśniejsze. Podobno jest zabawna.

I ma dwadzieścia trzy lata.

Dwadzieścia trzy!

Kiedy Eddie o niej mówił, na jego twarzy malowała się dziwna łagodność. Nigdy u niego takiej nie widziałam. Na mnie patrzył z pożądaniem, ze złością, z podziwem, ale z łagodnością – nigdy.

Co to znaczy? Czy on ją kocha?

Czy nadal kocha mnie?

Bo jeśli chodzi o mnie, to chyba nadal go Kocham. Mimo wszystko.

*

Czerwiec, jedenaście miesięcy po Blanche

Znowu wszystko spieprzyłam.

Dziś przyszedł Eddie. Pocałował mnie, wziął do łóżka, przeleciał, a potem, kiedy pomyślałam, że zaraz wróci na dół, do Jane, powiedziałam na głos to, co siedziało we mnie od kilku tygodni.

– Jak to jest mieć nową dziewczynę, kiedy na górze ma się żonę? Trudno?

Właśnie się ubierał. Zobaczyłam, jak spinają się mięśnie jego pleców.

Nie powinnam była tego mówić.

Musiałam to powiedzieć.

Spojrzał na mnie i zapytał:

– Naprawdę chcesz, żebym teraz się na tym skupił, Bea? Naprawdę chcesz, żebym teraz myślał, jak to rozwiązać?

I wyszedł.

KURWA.

*

Nadal żadnego znaku życia. Minęło wiele dni. Zostawi mnie tu na śmierć? Z pewnością byłoby to łatwe rozwiązanie.

Dla niego.

Dla mnie niekoniecznie.

Mam trochę zapasów jedzenia i wody, część ukryłam pod łóżkiem i zaczęłam je obsesyjnie przeliczać, chociaż wiem, że to niemądre i nie powinnam.

Ale co jeszcze mogłabym robić? Teraz to jedyna rzecz, nad którą jeszcze mam kontrolę.

*

Wrócił dzisiaj. Zostawił mnie samą na cztery dni. Na jego widok poczułam taką wdzięczność, że rzuciłam mu się na szyję, wtuliłam się w niego i wdychałam jego zapach. Czułam, jak zaciska wokół mnie ramiona, słyszałam, jak mruczy mi we włosy moje imię.

Też za mną tęsknił. Ale czy to wystarczy?

*

Lipiec, rok po Blanche

To mój ostatni wpis. Eddie bierze prysznic. Muszę się spieszyć.

Jane, wiem, że to znajdziesz. Eddiemu na tobie zależy, szanuje cię, a to znaczy, że jesteś mądra. Chowam tę książkę do kieszeni jego marynarki. Jest za ciepło, żeby ją włożył, wychodząc stąd, więc mam nadzieję, że nie wyczuje obciążenia.

Bez względu na wszystko muszę zaryzykować. Dla siebie i dla ciebie, Jane. Proszę. Proszę, znajdź to. Proszę, znajdź mnie. Dłużej tu nie wytrzymam.

Jestem na górze. Idź do końca korytarza, a potem przejdź przez garderobę. Nie znam kodu do drzwi, ale myślę, że jest taki sam jak w domu nad jeziorem. Moje urodziny. Eddie nie lubi cyferek.

Jane, błagam cię.

Ocal mnie. I siebie.

Błagam.

Jej dzieciństwo było tak absurdalnym koszmarem z Południa, że Bea czasem ma wrażenie, jakby sama je sobie wymyśliła.

Chociaż nie, przeciwnie – zatarła jego charakter, zmieniła je w nijakie i nudne, w pastelową replikę dzieciństwa Blanche. Uznała, że tak będzie lepiej. Nikt nie chciał wiedzieć o za dużym domu stojącym gdzieś pośrodku zachodniej Alabamy. O tacie, który nie wylewał za kołnierz i miał ciężką rękę, po pijaku też. O mamie, którą, gdy Bea była mała, bardziej niż córka interesowały wódka i klonopin. Tak bardzo, że córka nie pamięta, by matka choć raz się z nią bawiła lub czytała jej książeczkę.

Nie była wtedy Bea, rzecz jasna. Była Berthą. Berthą Lydią Mason. Pierwsze imię odziedziczyła po matce ojca, drugie po matce matki i zawsze uważała, że rodzice mogliby jej wyświadczyć choć jedną przysługę – nadać jej te imiona w odwrotnej kolejności. Bycie Lydią nie wydawało się takie okropne jak bycie Berthą.

Nie była to jednak najgorsza rzecz, jaką zrobili jej rodzice.

Bea nie pamięta, kiedy ojciec uderzył ją po raz pierwszy. Stanowiło to tak nieodłączną część jej dzieciństwa jak łóżko z baldachimem w jej pokoju i kawałek wyrzuszony tapety w łazience. Było jak szum w tle. Kiedy się upił, kiedy się wkurzył, a czasem – zdawało jej się – kiedy się nudził.

Kiedyś jej rodzina miała pieniądze – na tyle niedawno, że ojciec pamiętał dorastanie w dostatku, a potem dotkliwie odczuwał jego brak. Dom, wybudowany w latach dwudziestych, zaczął niszczyć, gdy Bertha była mała: w zasadzie zapadał się w czerwoną ziemię Alabamy, na której go wzniesiono. Brakowało środków na podstawowe rzeczy, takie jak remont dachu. Kiedy zaczął przeciekać i sufit w pokoju na górze dosłownie gnić, rodzice Berthy po prostu zamknęli ten pokój i udawali, że nie ma tematu.

Bertha też uczy się to robić. Łatwiej jest zamknąć drzwi i stworzyć nową rzeczywistość.

Idzie do miejscowej szkoły, jedynej w jej małym miasteczku. To nie jest zwyczajna państwowa podstawówka, to wiejska szkoła rejonowa, co – z powodu, którego Bertha nie rozumie – nie podoba się jej ojcu bardziej, niż nie podobałaby mu się zwykła podstawówka w mieście.

Jej matka chodziła do szkoły z internatem koło Birmingham. Do Ivy Ridge. Chętnie o tym opowiada, wspomina to miejsce jako raj na ziemi,

pełen ślicznych dziewcząt w spódnicach w kratę, ceglanych budynków, wysokich starych drzew.

Bertha sprawdza na komputerze w pracowni informatycznej w szkole. Ivy Ridge jest jeszcze piękniejsza niż w opowieściach matki.

Wypełnienie wniosku o przyjęcie to pestka. Trochę trudniej jest wystąpić o pomoc finansową, bo tym powinni się zająć rodzice. Trzeba przedstawić zeznania podatkowe i inne dokumenty, o których Bertha nie ma zielonego pojęcia. Ale jest inteligentna i pomysłowa, więc pewnego wieczoru, kiedy ojciec leży narąbany w pokoju, który matka nadal uparcie nazywa salonikiem, Bertha zakrada się do jego biurka. Panuje tam bajzel, ale ona znajduje to, czego potrzebuje. Przed końcem siódmej klasy ma już potwierdzenie, że została przyjęta i całkowicie zwolniona z opłat, o ile tylko utrzyma wysoką średnią ocen.

W dniu, kiedy ojciec o wszystkim się dowiaduje, Bertha dostaje od niego najmocniej w życiu. Potem leży w łóżku i maca językiem pulsujące miejsca, w których zaczęły się ruszać zęby. Ale ból to nic. Warto go znieść, bo zbudowała sobie nowe życie. Tratwę, na której odplynie od tonącego statku rodziny.

To wtedy wszystko się zaczyna, wszystko się zmienia. Ivy Ridge wprowadza ją do innego świata, poznaje ją z Blanche i – co ważniejsze – z nową wersją jej samej. Z wersją, której dotąd nie знаła i w której potrafi być sprawcza.

Pierwszy dzień szkoły jest upalny. Bertha czuje, jak pot sływa jej do biustonosza, a stamtąd lepką strużką po plecach. Czuje pudrowy zapach swojego dezodorantu i nagle staje jej przed oczami okropny obraz ciemnych, żółtawych plam pod pachami nowej bluzki. Chce sprawdzić, czy się zrobiły, ale co, jeśli ktoś ją zobaczy? Wtedy nie będzie dźwigała jedynie ciężkiego brzemienia, jakim jest imię Bertha. Stanie się Berthą Która Sprawdza Sobie Pachy.

Nie, już lepiej być spoconą niż świrniętą.

Kampus jest wspaniały: ceglane budynki, jaskrawozielony trawnik, a chociaż w pokoju nie ma żadnych luksusów – linoleum i zwyczajne wąskie łóżka o podrapanych drewnianych ramach – to i tak czuje się tu jak w raj: z dala od domu, z dala od nich. Nie chce stąd nigdy wyjeżdżać.

Poznaje Blanche pierwszego dnia. Nie mieszkają razem w pokoju – to nastąpi później – lecz w tym samym budynku, a Blanche wzięła na siebie nieoficjalną rolę oprowadzającej.

Najbardziej delikatne włosy, jakie można sobie wyobrazić, spływają jej na plecy idealnie gładką, lśniącą rzeką w kolorze kawy. Włosy Berthy też są brązowe, ale inne, nie w tym głębokim odcieniu, który sprawia, że chce się wyciągnąć rękę i ich dotknąć.

– Bertha? – pyta Blanche, marszcząc nos, a Bertha czuje, jak kurczy się w środku, kuli ramiona, garbi plecy.

Przybierała tę pozę tysiące razy w życiu. Gdyby potrafiła porządnie zwinąć się w sobie, rodzice by jej nie dostrzegali.

Ale Blanche kładzie jej rękę na ramieniu i nie pozwala się zgarbić.

– Nie – mówi. – To nie przejdzie. Masz jakąś ksywkę?

Bertha nie ma ksywki, bo nigdy nie miała przyjaciół, którzy mogliby ją jej nadać, a rodzice prawie nigdy się do niej nie odzywają.

Blanche się uśmiecha. Jej białe zęby lśnią na tle opalanej twarzy.

– Bea – oświadcza. – Znacznie lepiej.

Bea.

Rzeczywiście lepiej brzmi. Pasuje.

Bea. Prostuje się nieco na krześle, próbuje zatknąć włosy za uszy tym samym swobodnym gestem, który podpatrzyła u Blanche.

– Świetnie.

I rzeczywiście tak jest.

Na ferie wielkanocne Blanche zaprasza Beę do swojego domu w Orange Beach. Bea nigdy w życiu nie była na plaży, ale kiedy tylko wbija palce stóp w biały jak cukier piasek, od razu się zakochuje. To jedyne miejsce, w którym pragnie być, czuć wiatr we włosach i słoną wodę wokół kostek nóg.

Blanche się z niej śmieje, obejmuje ją w pasie.

– Dobra, niech ci będzie, ładnie tu, ale to tylko Orange Beach – mówi, a Bea nagle zaczyna się przejmować, że jest zbyt uczuciowa, za bardzo się rozplęwa. Dziewczyna ze wsi bez oglądy i tak dalej.

Ale wtedy Blanche ją ochlapuje i ucieka w fale, a Bea zostaje sama.

Ojciec umiera, kiedy ona jest w trzeciej klasie.

Bea nie jedzie do domu na pogrzeb.

Matka nagrywa jej wiadomość. Mówi jasno i klarownie jak nigdy. Bea przygotowuje się na wrzaski i bełkotliwe oskarżenia, ale nie, matka jest życzliwa. Wręcz słodka. Mówi do niej „Bertho, misiu”. Bea tego nienawidzi, ale z drugiej strony nie słyszała tych słów od wczesnego dzieciństwa. Matka chce, żeby przyjechała do domu na wakacje. Pragnie wszystko naprawić teraz, kiedy taty już nie ma.

I Bea czuje szokującą pokusę, by to zrobić.

Blanche jednak przypomina jej, że nie jest mamie nic winna.

Bea nie opowiedziała Blanche wszystkiego o swojej przeszłości, nie chciała, by przyjaciółka zdawała sobie sprawę, co to za wstyd, co za prymityw. Ale Blanche nie jest głupia i Bea wie, że pewnych rzeczy się domyśla.

– Nie musisz jechać – mówi, a Bea siedzi na łóżku i w zamyśleniu skubie kawałek plastiku odstający od etui telefonu.

– I tak muszę gdzieś spędzić lato – odpowiada, a Blanche z uśmiechem wyjmuje jej telefon z ręki.

– To jedź ze mną do domu. Mamy dużo miejsca, będzie fajnie!

Beę zdumiewa to, że Blanche może złożyć taką propozycję, że to dla niej nic wielkiego, choć w rzeczywistości jest to coś nieprzeciętnego. Dla Blanche to nieskomplikowane. Może wziąć Beę pod swoje skrzydła na całe lato i nikt nie będzie miał nic przeciwko, nikt nie będzie uważał, że Bea jest obciążeniem.

Więc Bea się zgadza i spędza najlepsze wakacje w życiu.

Później, kiedy matka zostawia jej kolejną wiadomość, tym razem zgrzytliwym, pijackim głosem wymyślając jej od niewdzięcznic, Bea wie, że podjęła słuszną decyzję.

A nawet jeśli jeszcze wtedy tego nie wie, to dowiaduje się o tym pod koniec wakacji, kiedy siedzi na ogromnym łożu z baldachimem, wykończonym koronką i pełnym poduszek w różnych odcieniach zieleni. Blanche z uśmiechem zapina na jej szyi delikatny łańcuszek z zawieszka – srebrną literką B. Sama nosi identyczny, pokazuje go Bei.

– Idealna para – mówi, a Bea nie rozumie, czemu nagle chce jej się płakać.

Są nierozłączne do końca szkoły. Bea i Blanche, Blanche i Bea.

„Dwie Be” – czasem tak są nazywane i Bea to uwielbia. Mięwa jednak wrażenie, że Blanche nie za bardzo.

*

Pismo potwierdzające przyjęcie Bei do college’u przychodzi kilka dni po liście, który otrzymuje Blanche. Bea jest tak podekscytowana, że nie może się powstrzymać i kiedy przyjaciółka wraca do pokoju po lekcji, zrywa się z łóżka i piszczy:

– Dostałam się!

Blanche się uśmiecha, ale minę ma trochę niepewną.

– Gdzie? – pyta.

Bea ze śmiechem szturcha ją w ramię.

– Ej, do Birmingham Southern, bez jaj – mówi.

Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że uśmiech przyjaciółki blednie.

– No, no – mówi Blanche bez większego entuzjazmu.

Nagle Bea rozumie, że popełniła błąd, coś schrzaniła, ale jeszcze nie wie co.

– Myślałam, że się ucieszysz – rzuca. – No i przecież to jeszcze nie znaczy, że mamy wspólny pokój. – Śmieje się, by pokazać, jaki to byłby głupi pomysł, chociaż liczyła, że to właśnie zrobią: znowu zamieszkają razem.

Blanche też się śmieje, ale jakoś bez przekonania. Siada na skraju łóżka i mówi:

– Chyba po prostu myślałam, że pójdziesz do Randolph-Macon, skoro się tam dostałaś. Zwłaszcza że prawie nikt od nas się nie dostał. Na przykład ja.

To właśnie był powód, dla którego Bea nie chciała iść na tę uczelnię. Złożyła tam dokumenty, bo Blanche tak zrobiła, ale nie sądziła, że się dostanie. Kiedy zaś ją przyjęli, a Blanche nie, zrezygnowała.

Teraz gapi się na przyjaciółkę i mówi:

– Jak to... chcesz, żebym poszła do Randolph-Macon?

Blanche wzdycha i zaczyna czesać włosy. Są teraz krótsze, sięgają do końca uszu, i rozjaśnione. Nie wygląda w nich tak dobrze jak w tych swoich ciemnych, ale Bea i tak jej powiedziała, że są śliczne.

– No wiesz, mam wrażenie, że może każda z nas powinna teraz mieć... coś swojego, rozumiesz. – Spogląda w oczy odbiciu Bei w lustrze.
– Nie możemy do końca życia być „dwoma Be”.

Bea dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że Blanche nie ma na sobie naszyjnika z inicjałem. Pewnie nie nosi go od dawna, tylko Bea nie zauważyła.

Jej własny wisiołek zaczyna parzyć skórę.

– Jasne. – Lekko się śmieje. – No, masz rację. To byłoby głupie.

Blanche czuje wyraźną ulgę, jej twarz się rozjaśnia, uśmiech staje się szczerzy. Odkłada szczotkę i odwraca się od lustra.

– Wiedziałam, że się dostaniesz – mówi.

A więc Blanche idzie do Birmingham-Southern, a Bea do Randolph-Macon. Są w stałym kontakcie na Facebooku, piszą do siebie, ale Bea nie wraca do Birmingham. Na trzecim roku dostaje się na staż w firmie z branży wyposażenia wnętrz, potem wyprowadza się do Atlanty, a dwa lata po skończeniu college’u, dzięki nawiązanym wcześniej kontaktom, otwiera Southern Manors.

Spotykają się, dopiero gdy mają po dwadzieścia sześć lat. Bea wreszcie, po latach, wraca do Alabamy, ale nie fatyguje się nawet, by poinformować o tym matkę.

W Five Points – barze, który jest o wiele za głośny, a drinki są w nim o wiele za drogie – następuje spotkanie po latach. Świetnie jest znowu znaleźć się w Birmingham, zobaczyć się z dziewczynami z Ivy Ridge. Z Blanche.

Jeśli się obawiały, że będzie między nimi drętwo, wrażenie to znika w tej samej chwili, kiedy się widzą. Blanche piszczy, rozkłada ramiona i ściska Beę.

Ma krótsze włosy, wygląda w nich dość surowo, a jednocześnie ślicznie, bo pasują do jej elfiej urody. Bea łapie się na przelotnej myśli, że może powinna spróbować czegoś podobnego. Ale nie, to, w czym jest świetnie Blanche, niekoniecznie będzie pasować do Bei, a poza tym Bea też wygląda doskonale, co nie uchodzi uwagi przyjaciółki, która wskazuje na nią palcem i woła:

– Stara, wyglądasz bosko!

Inne dziewczyny chcą się natychmiast dowiedzieć, w czym tkwi sekret Bei, czemu zawdzięcza ten wygląd, gdzie chodzi do fryzjera i tak dalej.

Ale prawda jest oczywista.

Bea ma teraz pieniądze.

Kiedy były w szkole, brakowało jej tego czegoś, co dają dostatek i klasa, więc to jasne, że teraz jest inna, to oczywiste, że wygląda ładniej i lepiej.

Jednak prawdziwą gwiazdą wieczoru jest Blanche, która wychodzi za mąż.

Ma pierścionek zaręczynowy z ogromnym brylantem w szlifie szmaragdowym na platynowej obrączce. Bea widziała zdjęcia narzeczonego Blanche w social mediach. Jest wysokim blondynem i przypomina Bei chłopaków, których poznawała na imprezach w Hampden-Sydney, męskim college'u nieopodal Randolph-Macon. Ma dwadzieścia osiem lat, ale wygląda na starszego. Najprawdopodobniej wyglądał tak już jako nastolatek, a nawet wcześniej. Jest taki rodzaj chłopaków, którzy sprawiają wrażenie, że przyszli na świat z kijem golfowym w ręku. Tripp Ingraham właśnie do nich należy.

– Richard Ingraham Trzeci – mówi Blanche, a Bea ukrywa uśmiech za drinkiem, bo oczywiście Blanche wychodzi za „trzeciego w rodzie”.

Ślub odbywa się na wiosnę. Budują dom – duży, na nowym osiedlu Thornfield Estates.

Bea ogląda je sobie w internecie. Odkrywa, że to w sumie nic wielkiego. Raczej zbiór projektów przedstawiających, jak to osiedle ma wyglądać w przyszłości. Wylizane trawniczki i ostentacyjnie wielkie domy, zbudowane na wzór starszych i skromniejszych. Bez białych sztukaterii, tylko cegła i eleganckie granatowe okiennice.

Ceny domów zaczynają się od sum siedmiocyfrowych, ale Bea jest teraz bogata, więc czemu nie miałyby znowu się osiedlić w Birmingham? Firmę może prowadzić skądkolwiek. Lubi wprawdzie Atlantę, ale nie istnieją żadne szczególne więzi, które łączyłyby ją z tym miastem. Jednak kupno tak wielkiego domu na osiedlu w oczywisty sposób zaprojektowanym dla rodzin wydaje się głupie i... oczywiście.

Więc kupuje dom w miasteczku Mountain Brook, a potem biuro w Homewood. Southern Manors się rozwija, a Bea pomaga Blanche w przygotowaniach do ślubu.

– Jak dobrze, że wróciłaś – mówi Blanche pewnego wieczoru, kiedy siedzą u niej w salonie z butelką wina i magazynami ślubnymi

porozkładanymi na stoliku i wszędzie naokoło. – Tęskniłam.

Bea wie, że Blanche mówi szczerze. Uśmiecha się i wkłada rękę do torebki.

– Cieszę się, że to mówisz.

Naszyjnik jest srebrny. To mała pszczółka na łańcuszku. Blanche śmieje się z zachwytem i klaszcze.

– Boże – mówi bez namysłu. – Uroczy. Co za cacko.

Tym razem to Bea zapina łańcuszek na szyi Blanche, a potem, kiedy pyta, czy mogłaby udekorować salę weselną artykułami z Southern Manors, Blanche od razu się zgadza – tak jak Bea przewidziała.

To dobra reklama dla firmy, która radzi sobie znakomicie, ale Bei to nie wystarcza. Chce, żeby zaistniała tu, w Birmingham. Chce, żeby zaistniała w oczach Blanche.

I tak się dzieje. Jednak nie w sposób, jaki Bea sobie wyobrażała.

Na imprezę z okazji sukcesu Southern Manors, w dniu największego triumfu Bei, Blanche przyjeżdża samochodem razem z Beą i jej matką. Kiedy wchodzi do sali balowej i odprowadzają matkę Bei do stolika, Blanche przygląda się przygotowanym przez przyjaciółkę dekoracjom.

– Wiesz, nigdy nie zdawałam sobie sprawy, ile z tych rzeczy wygląda tak, jakby zostały wzięte żywcem z mojego domu – mówi.

Uśmiecha się, a jej palce wędrują do małej pszczółki na szyi. Bea jednak widzi jej oczy.

Widzi, co Blanche sobie myśli.

– Naprawdę? – odpowiada. – Nie zauważyłam.

Część IX. Jane

Właśnie robię chyba najgłupszą rzecz w swoim życiu. Wybieram się do domu Trippa Ingrahama. Ta decyzja naprawdę coś o mnie mówi. Z własnej woli idę do domu człowieka, któremu postawiono zarzut zabójstwa.

Powtarzam sobie to w kółko, truchtając ulicą. Próbuję wyglądać tak, jakby to był zwyczajny dzień, w którym zwyczajna Jane wyszła na poranne bieganie, z całą pewnością nie z zamiarem zrobienia czegoś tak durnego jak narażenie się na śmierć.

Przez jego esemesy nie spałam całą noc i choć nie umiem tego wytłumaczyć, muszę usłyszeć, co on ma do powiedzenia. Bo jakiś głos wewnętrzny podpowiada mi, że mówi prawdę.

Pod wieloma względami Tripp budzi wstręt: to pijak, rozpustnik i republikanin – ale na mordercę nie wygląda. Znałam wielu agresywnych mężczyzn. Ze zbyt wieloma miałam do czynienia. Nauczyłam się ich dobrze wyczuwać. Musiałam.

Ale Tripp... Tripp mi na takiego nie wygląda.

Biegnę jego podjazdem i modłę się w duchu, by mnie nikt nie zobaczył. Krzaki w ogródku przed domem nie zostały przystrzyżone, zeschnięte liście i kwiaty leżą na chodniku prowadzącym do wejścia. Jeśli wcześniej mi się wydawało, że ten dom jest ciemny i ponury, to było nic w porównaniu z tym, co widzę teraz.

Naciskam dzwonek i czekam. Długo. Dochodzę do wniosku, że mi nie otworzy. Mam nieprzyjemną świadomość, że każdy przechodzień może mnie zobaczyć. Tu ściany mają oczy, a Tripp nie powinien przyjmować gości. Każdego, kto chce mu złożyć wizytę, powinna przedtem prześwietlić policja.

Oczywiście marzę o tym, żeby mnie prześwietlili.

Już mam zamiar się odwrócić, kiedy drzwi się otwierają.

Tripp gapi się na mnie. Ma na sobie luźno przewiązany w pasie kraciasty szlafrok i takie same spodnie od piżamy. Skóra mu poszarzała, oczy prawie zniknęły w czarnych jamach, które je

otaczają. Już przedtem wyglądał kiepsko, ale teraz przypomina trupa. Niemal mi go żal.

– Przyszłaś – mówi cicho, beznamytnie. – Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem. Nie stój tak. Wchodź.

Ponagliła mnie. Już od drzwi uderza mnie zaduch. Zapach zepsutego jedzenia, niewynoszonych śmieci i alkoholu.

Głównie alkoholu.

– Przepraszam za bałagan – mówi Tripp i gestem kieruje mnie do salonu, ale ja kręcę głową i zakładam ręce na piersi.

– Mów, co masz do powiedzenia. Tylko szybko. Nie wchodzę dalej.

Spuszcza oczy i patrzy na mnie; kącik jego ust lekko się podnosi i wtedy widzę przebłysk dawnego Trippa – niewyraźny i ledwie uchwytny, ale jednak.

– Nie chcesz siedzieć w norze mordercy. Jasne.

Powiedziałabym mu, żeby się uspokoił, ale równie dobrze mogłabym mu powiedzieć, żeby nie oddychał, więc łypię na niego spod oka i czekam, a on po chwili wzdycha.

*

– Kiedy poznałaś Eddiego, musiałaś się czuć, jakbyś wygrała na cholernej loterii – mówi, jak gdyby myślał na głos. – Bogaty, przystojny, uroczy jak diabli. Ale pozwól, że cię uświadomię, Jane. – Nachyla się do mnie, a we mnie uderza bijący od niego smród, woń niemytego ciała i niemytych zębów. – Eddie jest toksyczny. Jego żona też taka była. Przynajmniej pod tym względem świetnie się dobrali. – Uśmiecha się z wyższością. – Na twoim miejscu bym się stąd wyniósł, zabrałbym z domu, co się da, i dałbym nogę. Jak najdalej od Eddiego, od Birmingham, od tego wszystkiego. – Macha ręką i ciężko opiera się plecami o drzwi. – Jak ja, kurwa, żałuję, że nie służyłem Blanche, kiedy mówiła, że powinniśmy się stąd wyprowadzić.

– Blanche chciała się wyprowadzić? – pytam z niedowierzaniem, a on kiwa głową.

– Tak. Dwa tygodnie przed śmiercią. Zaczęła mówić, że potrzebuje zmiany, że Bea ją dusi. Bei było mało, że zabrała Blanche całe pieprzone życie! Ciągłe na nas wisiała. Jak pijawka. Po prostu musiała. I Eddie. Ten skurwiel zawsze plątał się nam po domu, tak to wyglądało.

– Ale przecież sam mówiłeś, że między nimi raczej nic nie było.

– Co nie znaczy, że mi się to podobało. Bei też nie. Dlatego zaprosiła Blanche na weekend nad jezioro. Żeby to wszystko obgadać. Spytałem ją, co ma na myśli, a ona powiedziała, że są z Beą na... nie pamiętam. Na rozstajach czy coś takiego. Że nie wie, czy nadal będą się mogły przyjaźnić. Myślałem, że może chodzi o...

Jego grdyka się porusza, ale Tripp nic nie mówi, a kiedy pociera nieogolony policzek, widzę, że drży mu dłoń.

– Od jakiegoś czasu wszystko było nieźle popaprane – mówi w końcu. – Między Blanche i Beą, między Beą i Eddiem, między mną i Blanche. Już wtedy czuć było smród trucizny. I dlatego nie wpadłem na to, o co jej chodzi, kiedy zadzwoniła i poprosiła, żebym przyjechał.

Krew tężeje mi w żyłach.

– Co?

Tripp wzdycha i drapie się po zaroście.

– W tamten weekend – wyjaśnia znużonym tonem – Bea zadzwoniła do mnie w piątek wieczorem i powiedziała, że Blanche chyba mnie potrzebuje. Więc wsiadłem do samochodu, pojechałem nad jezioro i rzeczywiście, nieźle popiliśmy, ale kiedy urwał mi się film, byłem *w domu*. Nie na żadnej cholерnej łodzi. Rano obudziłem się w pokoju gościnnym. Czułem się, jakby ktoś mi przebił łeb wielkim gwoździem. Nie było ani Bei, ani Blanche. Założyłem, że wstały wcześniej i wypłynęły na jezioro. Więc wróciłem tutaj.

Głos mu się załamuje. Milknie, czeka sekundę, chrząka i znowu pociera twarz.

– Nie wiedziałem. Siedziałem na kanapie i oglądałem pieprzoną telewizję, golfa, a w tym czasie one... one już nie żyły. Gniły... w tej cholерnej wodzie. – Oczy mu się szklą. – Dopiero w poniedziałek, kiedy nie wróciła i nie mogłem się do niej dodzwonić, zrozumiałem, że coś tu nie gra. – Jego zamglone oczy skupiają się na mojej

twarży. Nie posyła mi już żadnych uśmieszków, żadnych obleśnych tekstów. – Przysięgam, nie miałem z tym nic wspólnego. Tak, byłem tam, i tak, powinienem był natychmiast zgłosić to glinom, ale się bałem. – Wydaje zduszony dźwięk, który jest zbyt smutny, żeby go wziąć za śmiech. – Bałem się, kurwa. – Jego palce kurczowo zaciskają się na moich ramionach, tak mocno, że na pewno będę miała siniaki. – Mówię ci, uciekaj. Nie byłem na łodzi, ale znaleziono na niej moje odciski palców. Nie kupowałem pieprzonej liny ani młotka, ale ktoś zapłacił za nie moją kartą kredytową.

Bombarduje mnie tyle nowych faktów naraz, że nie jestem w stanie ich tak szybko przyswajać, więc tylko mrugam, próbuję wyszarpnąć się z uścisku Trippa i trzeźwo pomyśleć o tym, co on sugeruje.

– Czyli mówisz, że ktoś cię wrobił?

– Mówię, że jeszcze masz szansę się wywinąć tym skurwielom.

Puszczaj mnie i się odsuwa.

– Boże, żałuję, że sam tego nie zrobiłem.

*

Robię w domu kipisz. Sama nie wiem, czego szukam, wiem tylko, że coś musi być – jakiś dowód, że za wszystkim stoi Eddie.

Właśnie to próbował mi powiedzieć Tripp, wiem, więc otwieram szafy, buszuję w szufladach.

Adelka kręci mi się pod nogami, szczeka jak oszalała. Ze łzami w oczach rozglądam się po zniszczeniach, których dokonałam.

Książki pozwalane z półek, poduszki pozrzucone z kanapy.

Biorę do rąk wszystko, co jest ciężkie, bibeloty z Southern Manors, szukam śladów krwi. Przetrzęsam kieszenie ubrań Eddiego. Zrywam materac z naszego łóżka. „Musi coś być, musi coś być, nie mógł zabić dwóch osób i nie zostawić nic, co by go zdradziło, nie ma opcji. Są rachunki, ukrył gdzieś narzędzie zbrodni, będą zakrwawione ubrania, coś znajdę”.

Po godzinie – nie, po dwóch, prawie dwóch i pół – siedzę z głową ukrytą w dłoniach na podłodze w garderobie na kurtki i płaszcze,

która mieści się we frontowej części domu. Adelka już straciła zainteresowanie. Leży w korytarzu naprzeciwko mnie z pyszczkiem opartym na łapach.

Kurwa, odebrało mi rozum. Dom jest wywalony do góry nogami, a ja – zbyt wykończona, by choćby myśleć o porządkach.

Tripp ma rację. Powinnam się wynosić. Póki mogę, bo nawet jeśli nie Eddie jest sprawcą, to dzieje się tu coś dziwnego, coś tak porąbanego, że żadne pieniądze nie są warte, by się w to wplątać.

Właśnie wstaję z podłogi, gdy mój wzrok natrafia na leżącą w kącie marynarkę. Pewnie spadła z wieszaka, kiedy miotałam się tu jak wariatka, ale nie przypominam sobie, żebym ją przedtem widziała. Nie przypominam też sobie, kiedy ostatnio widziałam ją na Eddie'ciu. Podnoszę ją i od razu wyczuwam, że z jednej strony jest cięższa. Ze ściśniętym gardłem obmacuję kieszeń, w której coś jest.

Ale okazuje się, że to tylko książka w miękkiej okładce, w małym kieszonkowym wydaniu.

Wyobrażam sobie, że zabrał ją gdzieś ze sobą z myślą, że będzie czytał – może w biurze, w przerwie na lunch – a potem wetknął z powrotem do kieszeni i zapomniał.

Przez ostatnich parę miesięcy nieraz widziałam, jak Eddie coś czyta, ale zawsze były to nudne thrillery wojenne, a ta książka to romans, w dodatku dość stary, z ładną kolorową okładką, która zupełnie nie pasuje do Eddiego.

Może to książka Bei. Jakaś ulubiona, którą nosił przy sobie.

Otwieram ją.

Dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, na co patrzę. Rozsypane po zadrukowanych stronach słowa są trudne do odczytania, wprowadzają zamęt.

I nagle widzę nagryzmołone imię Blanche. Serce zamiera mi w piersi.

Zamordował moją przyjaciółkę.

Zamknął mnie.

Drżącymi rękami przewracam kartki – tak szybko, że słyszę odgłos dartego papieru.

Widzę swoje imię.

Jane.

Żółć podchodzi mi do gardła. Wydaję stłumiony jęk, spinam mięśnie.

Zabił Blanche... zamknął mnie... przeleciałam go... Jane.

Słowa zamazują mi się przed oczami. Jestem pewna, że zaraz zwymiotuję, ale nie, nie mogę, bo Bea Rochester nie leży na dnie jeziora, nie gnije w wodzie, jak twierdzi Tripp, tylko jest tutaj, tuż nad moją głową, o Boże.

Wybiegam z garderoby, ślizgam się na marmurowej podłodze w korytarzu.

Adelka podnosi mordkę i szczeka – głośno – a ja biegnę do schodów, nie wypuszczając książki z ręki.

Kod. Ten sam co w domu nad jeziorem.

Kolejna garderoba, ta jest mniejsza, nigdy nie zwróciłam na nią uwagi, bo rzadko tu bywam i, o Boże, Boże, ten łomot, te hałasy, ten duppek mówił, że to dom wydaje odgłosy, a to była ona, Bea...

Ręce tak mi się trzęsą, że mam problem z otwarciem klawiatury na końcu garderoby, ale w końcu mi się udaje, wbijam kod, choć coś mi mówi, że jej tam nie będzie. Że to nie może się, kurwa, dziać.

Brzęczenie, kliknięcie, popycham drzwi.

Z początku jestem zaskoczona, że pokój, który kryje się za tymi drzwiami, jest taki duży. Jak pokój hotelowy, no prawie, ładnie urządzone, przytulny mimo braku naturalnego światła. Z wielkim łóżkiem pośrodku.

Koło łóżka stoi kobieta.

Teraz naprawdę myślę, że zwymiotuję.

Bea Rochester nie utonąła razem z Blanche.

Bea Rochester wcale nie zginęła.

Bea Rochester stoi naprzeciwko mnie.

– Jest tu? – pyta.

W głowie mi się kręci, a z żołądkiem dzieje się coś dziwnego.

Żadnego „Ratuj”, żadnego „Kim jesteś?”, tylko „Jest tu?”.

– N-nie – dukam. – W pracy, ale...

– Nieważne – mówi Bea i wyciąga do mnie rękę.

Tyle razy przyglądałam się jej zdjęciom, że teraz, kiedy widzę ją przed sobą, ten obraz wydaje mi się surrealistyczny, niepojęty, i może dlatego przekraczam próg i ujmuję jej dłonie.

– Musimy się stąd wydostać, zanim wróci – rzuca, a ja kiwam głową.

– Tripp – dodaję jednocześnie.

Marszczy brwi, nie rozumie.

– Co?

Kręcę głową, jestem w szoku, moje myśli grzęzną jak w gęstym mule.

– Dziś z nim rozmawiałam. Parę godzin temu. Powiedział, że tam był, i Eddie też. To on, tak? To Eddie zabił Blanche? Boże!

Moje słowa zmieniają się w jęk. Bea chwyta mnie za ramiona. Jest niższa, niż się spodziewałam, ale silna jak na kobietę, która tyle czasu przebywała w zamknięciu.

Boże, w zamknięciu. Była tu zamknięta. Eddie ją zamknął.

– Jane – mówi, a ja myślę o tym, że Eddie jej o mnie powiedział, wyznał, jak mam na imię, i chce mi się wrzeszczeć, ale żaden dźwięk nie przechodzi mi przez gardło.

Drzwi garderoby się otwierają.

Część X. Eddie

„Coś musi się posypać”.

Ta myśl od tygodni nie dawała mi spokoju. Miałem ją w głowie, gdy parkowałem samochód w garażu, gdy gasiłem silnik i gapiłem się przez przednią szybę.

Tripp z zarzutem zabójstwa, Bea zamknięta na górze, a Jane...

Kurwa, Jane.

Westchnąłem, otworzyłem drzwi i ruszyłem do domu. Było późno, pogoda do niczego, powinienem był wrócić wcześniej, ale specjalnie wszystko przedłużałem z nadzieją, że Jane pójdzie spać.

Chciałem pogadać z Beą.

Ona wiedziała, co zrobić, jak to naprawić. Chociaż warknąłem na nią ostatnim razem, gdy napomknęła, że to nie może tak dłużej trwać, to jednak wiedziałem, że tylko ona może nas z tego wyciągnąć.

Otworzyłem drzwi. W domu było za cicho i za chłodno, ale po upale na dworze wcale mi to nie przeszkadzało.

I wtedy to zobaczyłem.

Dom wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Jakby został splądrowany.

„Jane”.

Nie pamiętam, jak biegłem po schodach. Pamiętam moment, gdy stałem przed garderobą i otwierałem drzwi. Chwilę to trwało, zanim do mnie dotarło, co się dzieje. Że drzwi nie są zablokowane. Że Jane jest w środku.

Że stoi obok Bei.

Miałem wrażenie, że to koszmar senny albo halucynacje pod wpływem stresu. Przez długą chwilę tylko się na nie gapiłem. Na pobladałą Beę i szarą na twarzy Jane z ogromnymi oczami. Kiedy tak na nie patrzyłem, próbowałem wprawić swój umysł w ruch, znaleźć wyjaśnienie, coś zrobić.

Za późno zobaczyłem, że Jane sięga po srebrny ananas stojący na stoliczku przy drzwiach. To jedna z pierdół z Southern Manors, które tu przyniosłem, żeby udekorować pokój.

Ananas poleciał na mnie, a twarz Jane wykrzywiła się w strachu i gniewie. Uświadomiłem sobie swój błąd.

Ale Jane też się pomyliła.

Uderzenie było mocne, choć nieprecyzyjne; ciężki przedmiot trafił mnie w bok twarzy, usłyszałem chrzęst pękającego zęba, poczułem smak krwi, cały świat zmienił się w rozpalony do białości nieznośny ból.

Zapadła ciemność.

Powinienem być, kurwa, mądrzejszy.

Bolała mnie głowa, a kiedy otworzyłem oczy, miałem wrażenie, że zaraz wystrzelą mi z oczodołów. Coś strasznie ciążyło mi w żołądku. Odwróciłem głowę i myślałem, że się porzygam, ale nie. Kaszląc, tłumiliłem odruch wymiotny i zastanawiałem się, czemu, do cholery, tego nie przewidziałem.

Bea była za sprytna, żeby ten układ mógł trwać dłużej. Do diabła, ja sam byłem na to za sprytny. Ale tamtej pierwszej nocy, kiedy świrowałem z paniki, ten układ wydawał się... dobry. Owszem, chory, już wtedy to wiedziałem, ale improwizowałem. Zawsze to robiłem, wymyślałem rozwiązania na bieżąco, dostosowywałem się do okoliczności.

Zwykle działało.

Ale to była Bea. *Moja żona.*

Jasne, że musiało się tak skończyć – ja na podłodze, we krwi, bez paru zębów, a Bea na wolności, gdzieś z Jane.

Ta myśl wywołała we mnie natychmiastową falę paniki. Spróbowałem usiąść, ale mi się nie udało. Leżałem w pozycji płodowej, przed oczami miałem rozmazaną własną krew, a gdzieś na dole moja żona i narzeczona... co robiły? Wzywały policję? Czy piły szampana, żeby to uczcić?

Boże, miałem nadzieję, że to będzie jedna z tych rzeczy, bo wszystkie inne wprawiały mnie w przerażenie.

*

Nie było tak, że poleciałem na Hawaje ze sprecyzowanym celem, by usidlić i poślubić Beę Mason. Nie miałem pojęcia, że ona tam będzie – nie jestem jakimś pieprzonym stalkerem. Ale przez lata nauczyłem

się wyszukiwać okazje i robić z nich użytek. Taką okazją było właśnie spotkanie z Beą Mason na plaży.

Nie jakąś tam okazją.

Niepowtarzalną okazją.

Z początku nie wiedziałem, kim ona jest. Nie miałem żadnej orientacji na rynku dekoracji wnętrz, ale dziewczyna, która mi towarzyszyła, Charlie, miała.

– O w dupę – powiedziała, kiedy siedzieliśmy nad basenem.

Podniosłem wzrok znad telefonu i zobaczyłem kobietę w fioletowym kostiumie jednoczęściowym i kwiecistym pareo przewiązanym w pasie. Była śliczna, drobna. Nawet z tej odległości wychwyciłem błysk brylantów w jej uszach, jednak nie wydawało mi się, by było w niej coś, co zasługiwałoby na komentarz „O w dupę”.

– Co? – spytałem.

Charlie pacnęła mnie zrolowanym czasopismem.

– Bea Mason – powiedziała.

Patrzyłem na nią bez zrozumienia, a ona wywróciła oczami i prychnęła:

– Właścicielka Southern Manors. Czyli czegoś naprawdę dużego. Mam stamtąd tę spódnice w kratkę, która ci się tak podoba.

Nie miałem pojęcia, o której spódnicy mowa, ale uśmiechnąłem się i pokiwałem głową.

– Aha. Czyli gruba ryba?

– Dla kobiet, uhm. – Charlie zmarszczyła nos. – Ale ciekawe, co tu robi. To nawet nie jest najlepszy ośrodek na wyspie. Gdybym miała jej kasę, byłabym teraz na Lanai.

Od tej chwili Bea Mason stała się dla mnie o wiele bardziej interesująca.

Charlie miała pieniądze. Dużo. Pewnie należały raczej do jej rodziny, ale i tak była komfortowo zabezpieczona. A to oznaczało, że Bea Mason musi mieć jeszcze więcej.

– Ta firma to jej własna? – spytałem swobodnym tonem i znów pochyliłem się nad telefonem.

– Tak – odparła Charlie i sięgnęła po stojące na pobliskim stoliku daiquiri. Słodki truskawkowy aromat było czuć nawet z mojego

leżaka. – To niesamowicie inspirująca osoba. Zaczęła od małego sklepu internetowego, który w pięć lat rozrósł się w ogromny biznes. Multimilionerka, wyszła od zera i wszystko zawdzięcza samej sobie. Był z nią wywiad w „Fortune”, tata mi go wysłał. Przewijało się w nim jedno słowo: „cele”.

Znowu podniosłem wzrok znad telefonu. Przed oczami mignęła mi Bea, która właśnie opuszczała strefę nad basenem.

Nie chodziło tylko o pieniądze. One odegrały rolę, owszem, ale podobała mi się sama idea – że Bea jest jedyną autorką swojego sukcesu. Więc kiedy Charlie zamówiła sobie kolejnego drinka i wróciła do czytania, trochę pogooglowałem.

Strona internetowa Southern Manors była urocza, choć może trochę przesłodzona. Dobrze przyjrząwszy się zdjęciom Bei, stwierdziłem, że jest tak atrakcyjna, jak mi się zdawało. Może nie tak efektowna jak zawsze gotowa zapozować do fotki na Instagrama Charlie, bardziej subtelna, ale i z większą klasą.

Gdy zapoznałem się z siatką jej powiązań, blask Bei zaśnił jeszcze mocniej.

Dwieście milionów dolarów. Tak twierdził Google, choć wiedziałem, że z dokładnością tych danych może być różnie. Tata Charlie trzymał ponoć w ręku pięćdziesiąt milionów, ale większość tej sumy była nie do ruszenia, uziemiona w nieruchomościach i funduszach. Charlie dostawała swoją działkę. Hojną, trzeba przyznać, ale nie była to jednak *carte blanche*.

– Idę na trochę do pokoju – oświadczyłem.

Podniosłem się z leżaka i przeciągnąłem tak, by Charlie miała dobry widok na mięśnie mojej klatki i brzucha. Wstawałem wcześniej, by chodzić na siłownię. Katorga, ale co zrobić.

– Iść z tobą? – zamruczała, a ja z rozmysłem uśmiechnąłem się i ująłem ją pod brodę.

– Nie, bo mam zamiar się zdrzemnąć, a jak tam będziesz, nic z tego nie wyjdzie.

Spodobało jej się to. Złapała mnie za rękę, pocałowała czubki moich palców i odgoniła mnie.

– To zajrzę za jakiś czas. Idź, odpocznij sobie.

Wróciłem do pokoju, ale nie położyłem się spać. Spakowałem większość swoich rzeczy do torby.

Dobrze radziłem sobie z ludźmi, potrafiłem ich przejrzeć, przewidzieć, jak postąpią, i miałem przeczucie, że Charlie nie wspomniała o Lanai bez powodu. Bądź co bądź Bea Mason nie zatrzymała się przy naszym basenie na dłużej. Minęła go i poszła dalej.

Później się dowiedziałem, że przeczucie mnie nie myliło. Wpadła nad nasz basen tylko dlatego, że sprawdzała, jakie kostiumy kąpielowe najchętniej wybierają „normalne”, jak powiedziała, kobiety. Z dzisiejszej perspektywy wiem, że to powinna być dla mnie wskazówka, ale wtedy po prostu sobie pogratulowałem, bo dobrze zgadłem.

Chciałbym móc powiedzieć, że aby działać tak jak ja, trzeba znać jakiś specjalny trik, sekretny przepis. Jednak prawda jest taka, że nigdy zbyt nie do tego nie przykładałem. W hotelu wystarczył pełen rozczarowania uśmiech skierowany do uroczej recepcjonistki i ze skrucłą opowiedziana historyjka o gonitwie za dziewczyną aż na Hawaje, no bo przecież chyba nie da się zrobić nic głupszego niż zapomnieć o wakacjach z powodu pracy.

Otrzymałem nie tylko potwierdzenie, że Bea tam przebywa, ale również lampkę szampana na pociechę.

Poprosiłem w recepcji o przechowanie mojego bagażu, bo miałem oczywiście nadzieję, że wszystko zostanie mi wybaczone i noc spędzę w pokoju „dziewczyny”.

Niezupełnie tak to się skończyło, ale prawie.

Powody, dla których zdecydowałem się poderwać Beę, mogą się wydać trochę wyrachowane, ale prawda jest taka, że wpadła mi w oko od pierwszego wejrzenia. Kiedy zobaczyłem ją na plaży, siedzącą w zamyśleniu, byłem pod dużym wrażeniem. Większość kobiet, z którymi miałem do czynienia, była bogata, ale żyła na czyjś rachunek. Podobało mi się, że Bea miała własne środki i własną firmę, a także to, że zamiast spocząć na laurach, ciągle chciała ją rozwijać.

Poza tym nie jestem skończonym draniem. Wysłałem do Charlie esemesa, że wynikło coś nagłego i muszę natychmiast wracać do

Nowego Jorku, ale na pewno skontaktuję się z nią w przyszłym tygodniu.

Kupiła to. Więcej się nie kontaktowaliśmy. Napisała do mnie dopiero wtedy, kiedy się skądś dowiedziała o moich zaręczynach z Beą. Nie żebym dokładnie przeczytał jej mejl. Usunąłem go od razu, gdy zobaczyłem nadawcę, ale zanim wcisnąłem „delete”, rzuciło mi się w oczy parę kluczowych słów. Choćby: *Skurwiel. Toksyczny, mocno psychopatyczny manipulant*. Nic nieoczekiwanego, choć po latach, kiedy między mną a Beą zaczęło się psuć, zastanawiałem się, czy tamten opis dotyczył mnie, czy mojej żony.

Cóż, słowo „skurwiel” na pewno odnosiło się do mnie.

Tego pierwszego dnia nawiązanie rozmowy z Beą poszło mi wybitnie łatwo. Zupełnie jakby nam to było sądzone. Jeśli mam być szczerzy, przypuszczałem, że będzie znacznie ostrożniejsza.

Ale nie, Bea taka nie była. Nie oglądała się ciągle przez ramię, nie była z natury podejrzliwa. Później zrozumiałem dlaczego – zawsze wiedziała, że to ona jest najbardziej niebezpieczna w każdym pomieszczeniu. Po co miałyby uważać na innych, skoro to ona za każdym razem zwyciężała?

Pewnie zabrzmiało to gorzko, a nie chcę, by tak zabrzmiało. Jeśli miałbym jakoś określić mój stosunek do Bei, byłby to podziw. Wywoływała go u mnie przynajmniej na początku. Przed morderstwami.

Nigdy nie poznałem nikogo, kto byłby bardziej od Bei zdeterminowany w dążeniu do wyznaczonego celu. Nawet ja taki nie jestem. Jak już mówiłem, należę do ludzi, którzy potrafią skorzystać z okazji, pod warunkiem że sama się trafi, a nie do takich, którzy wychodzą z domu, żeby jej szukać. A tak właśnie robiła Bea.

Dlatego od samego początku tak bardzo polubiłem Jane. Była podobna do mnie – zawsze szukała szczeliny, przez którą dałoby się precyzyjnie, a kiedy ją znalazła, zwinnie próbowała się w nią zmieścić. Na pewno myślała, że się nabiorę, ale rozpoznałem w niej zbyt wiele swoich cech, by nie dostrzec, co kombinuje. Nie wiem, z czego składają się dusze, ale nasze dusze – moja i Jane – były identyczne albo przynajmniej bardzo, bardzo podobne.

Bea to zupełnie inna historia. Zupełnie inna istota.

Oddech miałem jakby gęsty, pełen śluzu. Zamknąłem oczy.

Powinienem myśleć, co teraz, jak się stąd, kurwa, wydostać, a tymczasem mogłem myśleć tylko o Bei.

Rok temu. Ta kolacja. Blanche ze mną flirtowała, wiem. Ale po co? Co nią kierowało? Nie mam bladego pojęcia. Nie pochodziłem z Południa, ale mieszkałem tu wystarczająco długo, by się nauczyć, że flirt to dla tutejszych drugi język, coś w rodzaju hobby. Gdyby w moich rodzinnych stronach jakaś babka spojrzała na mnie tak, jak wtedy patrzyła na mnie Blanche, byłbym pewien, że jest gotowa mnie przelecieć. A tu – nie wiadomo.

Trzymała mi rękę na ramieniu i stała tak blisko, że czułem nacisk jej piersi na bicepsie. Lubiałem Blanche, zdecydowanie nie lubiałem Trippa, a Bea była tak pochłonięta Southern Manors, że niemal się nie widywaliśmy. Jednak numerek z jej przyjaciółką nie był wart kłopotów, które mógł za sobą pociągnąć, poza tym, prawdę mówiąc, o wiele bardziej od seksu lubiałem pieniądze Bei.

To jednak nie oznaczało, że patrzeć na jej zazdrość nie sprawiało mi frajdy. Więc nic z tym nie zrobiłem. Nie próbowałem unikać Blanche. Zleciła mi remont domu, więc nie mogłem się od niej tak łatwo uwolnić. Spotkania na lunch w miasteczku, by przejrzeć projekty wnętrz i katalogi armatur. Popołudnia u niej w domu, by zerknąć na próbki farb. Esemesy, by potwierdzić następne spotkanie. Wszystko niby nieszkodliwe, ale Bea coraz bardziej się wkurzała.

I nie mogę powiedzieć, że nie zdawałem sobie sprawy, co wyczynia Blanche. Byłem najnowszym rekwizytem w zimnej wojnie, którą ona i Bea toczyły między sobą od dzieciństwa. Muszę jednak przyznać, że uwaga Blanche sprawiała mi przyjemność. Bea była tak pochłonięta budowaniem swojego imperium, że przestała patrzeć na mnie tak jak dawniej.

Tak jak teraz patrzyła na mnie Blanche.

Więc może odrobinę ją zachęciłem. Może jakoś odpowiedziałem na flirt. Może zostawiłem niezablokowany telefon, żeby Bea mogła sobie niuchać do woli. Ale wszystko w końcu rozeszło się po kościach, gdyby nie ta gówniana sprawa z jej matką.

Pewnego popołudnia poszedłem do Blanche. Tym razem spróbowała mnie pocałować, a ja, owszem, pozwoliłem na krótki pocałunek. Żeby się przekonać, jak daleko się posunie. Ciekawiło mnie, czy będę bardziej zainteresowany, niż mi się zdawało, ale – co dziwne – nie byłem. Blanche była bardzo ładna i wyraźnie miała na mnie ochotę, ale nie wyczuwałem między nami prawdziwej iskry, więc po chwili delikatnie ją odsunąłem.

– Nie możemy. – Pamiętam, że to powiedziałem. – Bea na to nie zasługuje.

I, kurwa mać, powiedziałem nie to, co trzeba. Widziałem, jak twarz Blanche się wykrzywia, staje się niemal szpetna.

– Bea? – zadrwiła. – A czy ty ją w ogóle znasz? Coś o niej wiesz?

Słowa te zostały wypowiedziane z takim jadem, że przeszło mi przez myśl, czy Blanche nie jest pijana. Ale nie – w szklance miała tylko mrożoną herbatę. Jej spojrzenie przeszywało.

– Wiesz, że oboje jej rodzice pili? – spytała. – Wiesz, że nawet nie ma na imię Bea? – Blanche dźgnęła się palcem w pierś. – Ja ją tak

nazwałam. Kiedy się poznałyśmy, miała na imię Bertha. – Prychnęła z niedowierzaniem. – Pieprzona *Bertha*.

Wiedziałem o tej sprawie z imieniem i nie rozumiałem, czemu Blanche robi z tego wielkie halo. Sam nie lubiłem, kiedy mówiono do mnie „Edward”, więc nigdy się tak nie przedstawiałem i naprawdę niewiele mnie to obchodziło, że Bea ma tak samo z „Berthą”. Ale o tym, że jej rodzice pili, nie wiedziałem. I nie spodobało mi się, że dałem się zbić z tropu.

– Wiedziałeś, że jej matka spadła ze schodów, tam ją przynajmniej znaleźli, a nikogo prócz Bei nie było wtedy w domu?

Po jej minie natychmiast spostrzegłem, że pożałowała tych słów już w momencie, kiedy je wypowiadała; widziałem jej rozdęte nozdrza i rozszerzone z przestachu oczy – sama uznała, że posunęła się za daleko. Ja jednak nie dałem po sobie niczego poznać.

– Przed chwilą sama mówiłaś, że była alkoholiczką, to u nich normalne, że spadają – odparłem beznamiętnie.

– No... – Blanche się zawahała. Praktycznie widziałem, jak dźwignia przestawia kółka zębate w jej głowie. – Ale tak się złożyło, że spadła akurat dwa tygodnie po tym, kiedy narobiła Bei wstydu na wielkiej gali Southern Manors, więc o! – Wzruszyła ramionami. – Dodaj dwa do dwóch.

Absurdem byłoby sądzić, że Bea miała z tym coś wspólnego. W każdym razie próbowałem sobie to wmówić. Ale potem zacząłem się zastanawiać.

Pracowała kiedyś u mnie w firmie Anna, sekretarka. Ładna i miła, świeżo po college’u, a Bea, kiedy tylko ją poznała, zażądała, żebym ją natychmiast zwolnił. Nie zrobiłem tego, bo Anna dobrze radziła sobie w pracy, a poza tym, do diabła, nie jestem zbokiem, który przystawia się do kogoś, kto u niego pracuje, więc nie obawiałem się, że będę musiał zwalczać codzienną pokusę.

Ale potem zaczęły znikać drobne kwoty, a pewnego dnia, kiedy Bea wpadła do mnie z lunchem, otworzyła biurko Anny, bo potrzebowała długopisu, i zobaczyła ukryte tam brakujące pieniądze. Anna płakała i zaklinała się, że ich nie tknęła, ale co mogłem zrobić? Musiałem ją wyrzucić.

Długo nie dawało mi to spokoju. Anna nie wyglądała na złodziejkę, a Bea, która stanowczo nie życzyła sobie jej obecności, znalazła gotówkę... to wszystko zgrabnie składało się w całość. Nic wtedy nie powiedziałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Jedno było pewne – nie podobała mi się myśl, że moja żona mogłaby się okazać taką manipulatką. I nie powinienem był wspominać o jej matce, ale tamtego wieczora, tamtego pieprzonego dnia, w którym dowiedziałem się o tym od Blanche, chlapnąłem tym swoim cholernym jęzorem.

– Nie mówiłaś, że twoja mama zmarła, bo spadła ze schodów.

Bea podniosła wzrok znad laptopa. Na jej twarz padał blady blask z ekranu. Miała okulary na nosie, włosy zwinięte w niedbały koczek i nagle wydała mi się taka młoda, taka inna od tej wytwornej, wyrafinowanej Bei, do której przywykłem. Spodobała mi się w tej postaci.

– Uhm, i? – odpowiedziała po chwili. – Mówiłam ci, że zmarła nagle.

– Tak, ale mówiłaś, że zmarła, bo za dużo piła.

Bea znowu skoncentrowała się na ekranie. Zastukała palcami w klawiaturę.

– Tak było. Za dużo piła i dlatego spadła.

Wkurzyłem się. Przeszedłem przez jadalnię i zamknąłem jej laptop. Pisnęła z oburzenia.

– Dobra, ale to coś zupełnie innego, niż dałaś mi do zrozumienia wcześniej. Myślałem, że wysiadła jej wątroba czy coś. Marskość. Nie wiedziałem, że to był wypadek. – Głos mi się załamał na ostatnim słowie.

Bea otworzyła laptop szybkim, nerwowym szarpnięciem i powiedziała:

– No więc był. Spadła, a ja ją znalazłam, co oczywiście było mało przyjemne, więc dzięki, że mi o tym przypomniałeś. Tak się cieszę, że mogliśmy o tym pogadać.

– Przestań.

Spiorunowała mnie wzrokiem. Czerwone plamy wystąpiły jej na szyję, jak zawsze, kiedy była mocno wkurzona.

– Jest jakiś powód, dla którego omawialiście z Blanche śmierć mojej matki? – spytała.

W dupę. No w dupę! Powinienem był to przewidzieć, ale tak desperacko chciałem się pozbyć tych potwornych myśli, że zatraciłem chłodny osąd i nie wpadłem na to, że ona będzie dokładnie wiedziała, skąd wzięłem tę informację.

– To wyszło dzisiaj, kiedy u niej byłem – oświadczyłem, a ona zaśmiała się z sarkazmem.

– Jasne, typowy temat uprzejmej konwersacji. „Hej, a wiesz, jak zginęła matka twojej żony?”

– Nie bądź jędzą.

Wyprostowałem się. Bea nie odpowiedziała, chociaż nigdy się do niej tak nie zwracałem. Była skoncentrowana na pisaniu, na jakimś mejlu, na który koniecznie musiała odpowiedzieć w piątek o dwudziestej drugiej.

Tego wieczora nie wracaliśmy do tematu. Kiedy poszedłem do łóżka, już spała – odwrócona do mnie plecami, z wypiętą w moją stronę pupą. Przez moment myślałem, żeby ją obudzić i sprawdzić, czy sprawy nie da się załatwić seksem. Doszedłem do wniosku, że raczej by się nie dało.

Leżałem i próbowałem nie myśleć o jej matce u stóp schodów, w kałuży krwi. O Bei na szczycie schodów, stojącej i patrzącej w dół. Obraz, który stał mi przed oczami, był jednak zbyt wyraźny, zbyt sugestywny, a im bardziej go od siebie odsuwałem, tym bardziej stawał się prawdopodobny.

Za cholerę nie miałem pojęcia, co z nim zrobić.

Czy ożeniłem się z *taką* osobą? Z kimś, kto zamordowałby własną matkę?

Szczerze, nie wierzyłem w to. Aż do chwili, gdy zabiła Blanche.

Nie umiem wyjaśnić, czemu pojechałem nad jezioro. Może między innymi dlatego, że Tripp wstąpił i zapytał, czy nie chcę się zabrać, a ja wcale nie wiedziałem, że Bea go zaprosiła.

Nie kumpłowaliśmy się z Trippem, nic z tych rzeczy, ale w tej całej akcji, że najpierw dziewczyny („kobiety”, jak mówiła Jane) pojechały same, a potem Bea napisała do Trippa, żeby do nich dołączył, coś mi nie pasowało.

Zauważyłem, jak Tripp ostatnio patrzył na Beę – tymi swoimi smutnymi oczami szczeniaka. Może to dlatego, że Blanche tak demonstracyjnie się do mnie przystawiała, wmawiałem sobie. Przeniósł uczucia na kogoś innego albo cholera wie.

Ale to nie oznacza, że musiało mi się to podobać.

No więc przejąłem się, że Bea go zaprosiła, i długo po tym, jak pojechał, siedziałem w salonie, rozmyślałem i badałem tę sprawę jak bolący ząb.

Po co Bea go tam potrzebowała? Nawet go nie lubiła, a to miał być wyjątkowy babski weekend.

Eddie dociera nad jezioro i zastaje pusty, cichy dom.

Albo tak mu się wydaje.

Przystaje w salonie, woła, sprawdza, czy ktoś jest, a potem słyszy dobiegające z góry chrapanie. Tripp bez kontaktu z rzeczywistością leży w pokoju gościnnym, śpi z otwartymi ustami i ręką bezwładnie zwisającą z łóżka. Chrapie głęboko, coś furkoce mu w gardle, każdy jego oddech jest jakby odrobinę spóźniony. Eddiemu się zdaje, że jest w tym coś dziwnego. Nienaturalnego.

Ale przecież Tripp to alkoholik, może oni tak chrapią.

Łodzi nie ma, ale są ślady świadczące o tym, że byli tu wszyscy troje – torebka Blanche na wieszaku przy drzwiach, klucze Trippa na blacie, torba podróżna Bei na jednym ze stołków barowych przy wyspie.

Eddie stoi w salonie i myśli, że zrobił z siebie ośła, dziewczyny wypłynęły na jezioro i świetnie się bawią, a on dopuścił do tego, by Blanche nagadała mu tych bzdur o matce Bei.

Spogląda w dal przez drzwi do ogrodu i nagle widzi.

To Bea. Idzie po pomoście. Cała mokra.

Eddie już wie.

Bea też wie, że on wie. Eddie do końca życia zapamięta tę jej minę – jej zaciśniętą szczękę, odwiedzione do tyłu ramiona i zadartą brodę, jakby chciała powiedzieć: „Tylko spróbuj, skurwielu”.

I Eddie odruchowo podejmuje właściwą decyzję. Bierze ją w ramiona. Mówi jej, że rozumie. Blanche znała jej straszliwą tajemnicę, rozpowiadała o niej ludziom, więc co Bea miała zrobić? Chroniła ich, chroniła wszystko, co wspólnie zbudowali, i czy nie wykazała się przebiegłością, zwabiając tu Trippa, żeby wina spadła na niego? Schlał się, będą mówić. Pokłócili się z Blanche i ją uderzył, uderzył ją tak mocno. Bea próbowała ją ratować – Blanche jest przecież jej najlepszą przyjaciółką – ale ona też piła, no i było bardzo ciemno. Mężnie skoczyła do jeziora i przyplłynęła do brzegu, żeby wezwać pomoc.

Bea uśmiecha się do Eddiego, wspina się na palce i go całuje.

– Wiedziałam, że zrozumiesz – mówi.

I właśnie wtedy Eddie ją chwytą, przydusza ramieniem, jej stopy bezradnie szurają po ziemi, palce odrywają guzik od jego koszuli, o czym on przypomina sobie dopiero wiele dni później, kiedy Bea jest już bezpieczna w pokoju paniki.

Bezpieczna.

Właśnie to sobie wmawia.

Nie mogłem jej wydać, nie mogłem pozwolić, żeby ją zamknęli. Za tak wyrachowane zabójstwo? W stanie, gdzie obowiązuje kara śmierci? A gdyby zaczęli wypytywać ją o matkę, zadawać pytania,

które sam zadałem? Nie wspominając o tym, że proces sądowy oznaczałby koniec firmy. Kto by chciał zaopatrywać się w urocze drobiazgi u morderczyni?

Ale też nie mogłem pozwolić, by dalej to robiła. Nie mogłem pozwolić, by następnym razem, kiedy ktoś postąpi nie po jej myśli, Bea po prostu się go pozbyła.

Pokój paniki był jakimś wyjściem.

Nie najmądrzejszym, nie najlepszym, ale co miałem, kurwa, zrobić?

*

Ból zaczynał trochę ustępować, a może po prostu się do niego przyzwyczajałem. W każdym razie mogłem się już poruszać i mimo że zbierało mi się na wymioty, zdołałem usiąść.

Jane.

Tak naprawdę jej nie kochałem. Teraz to zrozumiałem.

Chciałem pokochać. I tyle. Na początku wydawało się to takie proste. Mogłem pokochać kogoś innego. Mogłem zacząć od nowa. Mogłem zostawić za sobą wszystko, co wiązało się z Beą, zapomnieć, co robiła, co ja zrobiłem, co zrobiliśmy, i zacząć od nowa z Jane. Z mądrą, zabawną Jane, która dostrzegła we mnie to, co dobre, nie to, co złe.

Bea w końcu poznała prawdę o mojej rodzinie. Dowiedziała się, że gdy skończyłem osiemnaście lat, zerwałem wszelkie stosunki z mamą i bratem, chociaż oboje byli dobrymi ludźmi i nikogo nie skrzywdzili. Jedyną ich zbrodnią polegała na tym, że przypominali mi o miernym środowisku, z którego się wywodziłem.

Ale Jane o tym nie wiedziała. Nie wiedziała, że mama nadal pisze do mnie mejle i wysyła je na mój firmowy adres w Southern Manors, a ja usuwam je, natychmiast gdy przychodzą. Albo że kiedy brat przysłał nam kartkę na święta, napuściłem na niego prawników pod zarzutem, że nas nęka.

Z Jane miałem *carte blanche*.

W głębi duszy jednak zawsze wiedziałem, że to nie będzie proste. Mogłem sobie wmawiać, że ukryłem Beę, by chronić firmę, że lepiej, aby świat myślał, że zginęła, niż że jest morderczynią, ale prawda była taka, że... nie byłem w stanie jej wydać.

Nic prostszego. I nic bardziej przerażającego.

Nadal ją kochałem.

Bo o to chodziło, jakkolwiek to było chore. O miłość. O to, by ochronić Beę przed światem – i przed nią samą.

– Tak będzie dla ciebie najlepiej – powiedziałem jej tamtej nocy, gdy zamykałem ją w pokoju paniki, a ona gapiła się na mnie z niedowierzaniem, zbita z tropu, wściekła, a może i trochę przerażona.

I uwierzyłem w to. Nadal w to wierzyłem. Ale, Boże, teraz Bea była na wolności, w domu razem z Jane, silną Jane, której od samego początku nie powinienem był zawracać głowy. Nie zasługiwała na to. Nie powinienem był się jej oświadczać, skoro nadal chodziłem do pokoju Bei, widywałem się z nią, rozmawiałem, sypiałem z nią. Ale chciałem dać Jane to, czego *ona* chciała. Jak dureń myślałem, że jakoś się uda. Że istnieje wyjście, dzięki któremu wszyscy troje dostaniemy to, czego pragniemy.

A ja pragnąłem ich obu, i Jane, i Bei. Nie chciałem zrezygnować z żadnej. Beę trzymałem na górze, a Jane – na dole, obietnicą, że się z nią ożenię. A teraz wszyscy mamy przerażane.

Powinienem przewidzieć, że Jane to rozpracuje. Była coraz bliżej i mimo że zachowywała się jak typowa naiwna młoda kobieta, wiedziałem, że jest ostra jak cała szuflada noży.

A ja? Jaki byłem? Ciekawy, popędliwy, zachłanny.

Z jękiem dźwignąłem się na kolana. Nie związały mnie, nic nie ograniczało moich ruchów, nic poza ścianami pokoju, z którego nie było ucieczki.

Tyle że to nie do końca prawda. Istniała jednak pewna droga na wolność. Istniała od samego początku. Znałem ją tylko ja, ja jeden, bo to ja budowałem ten pieprzony dom.

Ta droga była niebezpieczna. Wręcz głupia. I być może groziła śmiercią.

Ale musiałem spróbować.

Część XI. Jane

– Nie jesteś taka, jak cię opisywał.

Stoję w korytarzu, ręka nadal mnie boli po ciosie wymierzonym Eddiemu tym cholernym ananasem. Rąbnęłam za mocno, wiem o tym. I w dziwne miejsce. Nadal słyszę chrzęst kości, widzę zęby na dywanie. Zostawiłyśmy go tam, zamknęłyśmy za sobą drzwi. Nie dochodzą stamtąd żadne odgłosy, żadne oznaki tego, że jest przytomny i w ogóle żyje.

A przede mną stoi Bea Rochester.

Żywa.

Bo Eddie trzymał ją w pieprzonym pokoju paniki. Aha, i rozmawiał z nią o mnie, jak się okazuje.

To wszystko jest tak chore, że nawet nie wiem, jak zareagować.

– P-policja. M-musimy wezwać. Koniecznie – dukam w końcu.

– Koniecznie to ja się muszę napić – mówi Bea i głośno wzdycha.

*

Schodzi po schodach, pewna siebie i skupiona – taka, jaką sobie zawsze wyobrażałam. Głowę trzyma wysoko, jej ruchy są stanowcze. Ciągnę się za nią, ciasno oplatom się ramionami i żałuję, że nie przebrałam się po porannym bieganiu.

Kiedy schodzę, Bea jest już w kuchni. Wchodzi do małej spiżarki. To wąskie pomieszczenie między kuchnią a pralnią. Jest tam dodatkowy zlew, stoją kieliszki, zapasy wina i ulubionej whiskey Eddiego.

Trzymam się z tyłu, a Bea otwiera szafkę i ogarnia wzrokiem butelki leżące w drewnianych przegródkach.

– Wypiliście całe mouton rothschild rocznik dwa tysiące dziewięć? – pyta, zerkając na mnie przez ramię.

Stoję z opuszczonymi dłońmi. Ręka nadal mnie boli.

Czuję się adekwatnie do tego, kim jestem. Czyli oszustką.

I nie mogę uwierzyć, że ona jest taka ... spokojna. Opanowana. Dla mnie świat właśnie stanął na głowie, a ona wybiera wino.

Bea kręci głową, jej palce tańczą po butelkach.

– Jest dwa tysiące siódmy. Ujdzie.

Wyciąga wino z przegródki, wysuwa dwa kieliszki z wieszaka zamontowanego pod blatem. Jej ruchy są płynne i celowe.

Po raz pierwszy do mnie dociera, że to naprawdę jej dom. Moim nie mógłby się stać nigdy, a domem Eddiego nigdy nie był.

Bea przystaje na moment między kuchnią a jadalnią i zerka na mnie.

– Weźmiesz korkociąg?

Jasne, wezmę. Wysuwam jedną z szuflad, wyciągam korkociąg i idę za Beą do jadalni.

Bea odkorkowuje wino, nalewa nam po kieliszku i zaprasza mnie gestem, bym usiadła. Sama zajmuje miejsce u szczytu stołu, a mnie przemyka przez głowę, że może powinnam przejść do drugiego końca stołu, tak byśmy znalazły się naprzeciwko siebie jak średniowieczne królowe. Ale siadam po lewej stronie Bei, nie na najbliższym, lecz na następnym krześle, zostawiając między nami odstęp, mniejszy jednak niż cała długość dębowego stołu wielkości boiska futbolowego.

Bea siedzi teraz w tym samym miejscu, w którym kilka lat wcześniej pozowała do sesji w „Southern Living”, tyle że teraz ma na sobie wygniecioną jedwabną piżamę, a jej paznokcie są w katastrofalnym stanie. Mimo że wygląda jak zjawa – blada, z niepodciętymi włosami o rozdwojonych końcówkach i podkrążonymi oczami – ja i tak widzę Beę Rochester, którą od tak dawna sobie wyobrażałam. Kobieta, która zbudowała swoje imperium z tkanin w krateczkę i mis w kształcie owoców, markę bazującą na konkretnym stylu życia, w którym się nie wychowała, lecz do którego mimo to utorowała sobie drogę.

Jedna z tych mis stoi teraz na stole, leżą w niej cytryny. Bea sięga po nią, przysuwa do siebie, a potem wybiera jedną z cytryn i zaczyna ją przetaczać między dłońmi. Nad czymś się zastanawia.

Biorę swój kieliszek, upijam potężny łyk, bogaty aromat cabernet wybucha mi na języku, a Bea nadal bawi się cytryną.

W końcu odkłada ją i spogląda na mnie.

– No to Jane.

– No to Bea – odpowiadam tym samym tonem, a ona się do mnie uśmiecha.

W zasadzie to uśmiecha się z drwiną lub wyższością, tylko jednym kącikiem ust, a ja doznaję olśnienia, że taki sam uśmieszek widywałam na twarzy Eddiego. Ciekawe, czy to ona przejęła go od niego czy na odwrót?

Bea rozkłada ręce i pyta:

– Co robimy?

Podoba mi się to „my”. I podoba mi się, jak Bea na mnie patrzy – jakby widziała prawdziwą mnie, a nie Jane Która Wychodzi z Psami, nie smutną dziewczynę, którą ten dupek jej mąż tak skołował, że prawie za niego wyszła. Widzi po prostu mnie.

Podnoszę butelkę i dolewam sobie do pełna. Bea nie tknęła swojego wina, więc z hukiem odstawiam butelkę na stół. Na dworze szaleje burza, deszcz wali w szyby, grzmot co chwila wstrząsa całym domem. Być może od czasu do czasu dobiega też jakiś łomot z góry, ale nie wiem.

Myślę o Eddiem rozciągniętym na podłodze w pokoju paniki i czekam na poczucie winy, żalu czy... czegoś. Nie czuję jednak nic z wyjątkiem swego rodzaju niepokojącej ulgi. Miałam rację. Wszystkie moje złe przeczucia, wszystkie podejrzenia mnie nie zwiodły. Mój instynkt działał sprawnie jak zawsze. A Bei już nic nie groziło.

– Musimy wezwać policję – powtarzam. – Opowiedzieć im całą historię. Wszystko.

Bea kiwa głową, myśli.

– Cała historia. Jak sądzisz, co się na nią składa?

Chociaż od kilku godzin, od spotkania z Trippem, od chwili znalezienia dziennika mam w głowie istny zamęt, życie nauczyło mnie szybkiego podejmowania decyzji i błyskawicznego reagowania na szok. To niezbędne do przetrwania.

Teraz też mi się przydaje.

– Domyślam się, że Blanche naprawdę nie żyje – mówię. – Ale najpewniej nie zginęła w wypadku, jak się powszechnie uważa.

– Mieli romans – wyjaśnia Bea łagodnie, ale widzę, że mięsień jej szczęki drga, a zęby lekko się zaciskają. – Eddie oczywiście uważał, że nigdy się o tym nie dowiem, ale wiedziałam prawie od samego początku. Nie był taki sprytny, jak mu się wydawało.

Tak, pamiętam gadkę o tym, że hałasy w domu są wynikiem zmian temperatury albo że to szopy grasują pod dachem. Prycham i podnoszę kieliszek. Powoli odzyskuję grunt pod nogami.

– Ale w Blanche nagle odezwało się sumienie, tak się domyślam. Przyjaźniłyśmy się od dziecka, więc może lojalność znaczyła dla niej więcej, niż jej się z początku wydawało. Albo może chciała mnie jeszcze bardziej upokorzyć, kto wie. W każdym razie znam powód, dla którego zaprosiła mnie wtedy nad jezioro. Chciała mi powiedzieć.

Delikatnie upija łyk wina.

– I wydaje mi się, że Eddie też o tym wiedział. Ale on wolałby zabić Blanche niż pozwolić, żeby usłyszała prawdę.

Tylko że to Bea zaprosiła Blanche. Dom nad jeziorem należał przecież do Bei.

– Cały Eddie. Zawsze chciał mieć jeszcze jeden kawałek ciasta albo być pałkarzem dłużej, niż przewidują reguły gry. Ale z drugiej strony wiedział, że to wszystko – szeroko rozkłada ręce, pokazuje gestem dom, osiedle, pewnie całe ich życie – należy do mnie. Nie mógł sobie pozwolić na rozwód, prawda?

– W takim razie dlaczego ciebie też nie zabił?

Dobrze mi idzie, przynajmniej tak myślę, mój głos brzmi spokojnie, ale serce mi wali, bo to wszystko nieprawda. Ani jedno słowo z tego, co ona mówi, nie jest prawdą. Umie kłamać, trzeba jej przyznać. Zdecydowanie lepiej niż Eddie. Ale po pierwsze znam to z własnego doświadczenia, a po drugie jej historyjka nie trzyma się kupy.

Bea pochyla się do przodu, składa ręce na stole, rękawy jej piżamy odsuwają się trochę, odsłaniając szczupłe, zgrabne nadgarstki.

– Nigdy nie potrafiłam tego zrozumieć – wyznaje. – Choć wierz mi, miałam trochę czasu, żeby to przetrwać. Myślę, że...

– ...cię kochał – kończę za nią.

Wypowiadam te słowa z obrzydzeniem. Bo mimo że historia, którą chce mi sprzedać Bea, nie ma sensu, to wyjaśnienie... jakoś ma.

Kochał ją. To, co się tu wydarzyło, było chore i popieprzone, a Eddie potrafi nie mieć skrupułów. Pamiętam, jak obszedł się z Johnem. Gdyby sądził, że Bea stoi mu w czymś na przeszkodzie, na prawdziwej przeszkodzie, na sto procent by ją zabił.

Ale ona nadal żyje.

Bea spogląda na mnie i jej pewność siebie na krótką chwilę słabnie. Nie oczekiwała takiej odpowiedzi. Spuszcza wzrok na stół, a potem, po chwili, podnosi głowę i wzrusza ramionami.

– Może. W każdym razie to jest historia, którą mam do opowiedzenia. Zabił Blanche, upozorował moją śmierć i trzymał mnie pod kluczem, jak w jakiejś ponurej powieści, uwodząc w tym czasie młodą naiwniaczkę, którą zatrudnił do wychodzenia z psem.
– Podnosi brew. – Jakieś przemyślenia?

Z rozmysłem wypijam długi łyk wina.

– Sądzę, że jest to pewna wersja prawdy.

– Ale tobie się nie podoba.

Nie, nie podoba mi się. Nie chcę odgrywać tragicznej roli debutantki, idiotki, która dała się omamić przystojniakowi z pełnym kontem.

Ofiary.

Odchylam się na krześle, patrzę na Beę. Może to dzięki winu, ale nie wygląda już tak blade jak wcześniej. Nawet z tymi rozczochranymi włosami i w pizamie jest prawie... elegancka.

– Dlaczego nie jesteś bardziej wystraszona? – pytam, a ona nie odrywa ode mnie wzroku.

Ma piękne oczy, duże i ciemne, a jej rzęsy, mimo że niepomalowane, są grube.

– A ty? – odparowuje. – Właśnie się dowiedziałaś, że facet, którego kochasz, jest mordercą, a jego nieżyjąca żona jednak żyje. Trochę płaczu i krzyków byłoby całkiem na miejscu.

Nie odpowiadam.

– Wiesz, co myślę? – ciągnie. – Myślę, że jest jakiś powód, dla którego Eddie zakochał się w nas obu. Nie. – Podnosi rękę, ucinając mój sprzeciw, zanim zdążę go wyrazić. – Jemu naprawdę na tobie zależy. Nie wciągałby cię w to wszystko, nie ryzykowałby, gdyby tak nie było. Ale zdaje mi się, Jane, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

– To nie jest moje prawdziwe imię – mówię bez zastanowienia.

Ona się uśmiecha.

– A Bea nie jest moim.

– Wiem o tym. Od Trippa.

Bea wywraca oczami.

– Pieprzony typ.

Prawie parskam śmiechem, bo wiem, jak ona się czuje. Ale i tak wyczuwam w tym wszystkim coś... złego. Bea jest zbyt spokojna, zbyt skoncentrowana, zbyt opanowana jak na kobietę po najstraszliwszych przejściach, jakie można sobie wyobrazić.

Nachyla się nad stołem i mówi:

– Eddie mówił, że jesteś do mnie zupełnie niepodobna. Nie wydaje mi się.

Mierzę ją spojrzeniem. Siedzi przede mną jak królowa i kłamie mi w żywe oczy. Wiem, że to, co przed chwilą usłyszałam, to jedyne prawdziwe słowa, które padły z jej ust.

Część XII. Bea

„Kochał cię”.

Nie mam pojęcia, dlaczego te słowa Jane tak mnie uderzyły. Może dlatego, że padły z ust osoby, która jedyna na całym świecie nie chciałaby, żeby były prawdziwe.

Ale Jane potrafi kłamać.

Widać to po niej. Widzę też, że wcale nie jest dziewczyną, za którą uważa ją Eddie. Nie, ona najpierw przywaliła mu w twarz srebrnym ananasek, a potem siedzi sobie z jego żoną – którą do tej pory uważała za martwą i leżącą na dnie jeziora – przy winku.

Podoba mi się, i to do tego stopnia, że aż mi żal, że Eddie nie poznał tego jej oblicza. Jemu też mogłoby się spodobać.

A może je dostrzegł? Może – mimo że trudno było mu to przyznać – wiedział, że jest do mnie podobna? I właśnie to go do niej przyciągnęło.

Wypija kolejny łyk wina. Jest drobna, blada, włosy ma w kolorze między blond a brązem, niezbyt twarzowy odcień, a jej strój jest imitacją tego, w co się ubierają mieszkanki osiedla. Może to wystarczyło, by zwieść Eddiego, ale szkoda, że nie zajrzał jej w oczy. Te oczy zdradzają wszystko.

Na przykład – siedzi spokojnie, kiwa do mnie głową, ale spojrzenie ma rozgorączkowane i jestem przekonana, że nie kupuje mojej historii o tym, jak „naprawdę było”. O romansie, o tym, że Eddie zabił Blanche, a mnie zamknął i wrobił Trippa. Liczyłam na to, że uważa Eddiego za sprytniejszego, niż jest w rzeczywistości, ale możliwe, że się przeliczyłam.

Tak szczerze mówiąc, kiedy na nią patrzę, przypomina mi Blanche. Blanche po pogrzebie.

– Tak się cieszę, że przyszedłeś – mówi Bea i mocno ściska Blanche.

Wyczuwa szczupłość jej ciała pod czarną sukienką. Sama nie ubrała się na czarno, wybrała ciemny fiolet, który będzie wiodącym odcieniem tegorocznej linii jesiennej Southern Manors.

Blanche oddaje jej uścisk, ciągle powtarza, jak bardzo jej przykro, ale kiedy odchodzi, Bea ma wrażenie, że wychwytuje dziwny wyraz jej oczu. Nie to żeby Blanche była podejrzliwa. Trudno posądzić ją o taką zdolność kojarzenia, ale Bea wie, że coś w tej sprawie nie daje przyjaciółce spokoju, mimo że ona o tym nie wspomina, ba, nawet tego do siebie nie dopuszcza.

Wieczorem tego samego dnia Bea siedzi w fotelu uszaku, który zabrała z domu mamy, i popija wino. Ten fotel to jedyna rzecz z okropnego gniazda rodzinnego, którą chciała zatrzymać. Wino sprawia, że czuje się odrętwiała i otumaniona, pomaga zapomnieć wyraz twarzy matki tuż przed tym, jak runęła. Była na haju, to prawda, totalnie naprana tym, co akurat wzięła, żeby odjechać. Zapewne klonopinem. Bea patrzyła, jak matka przemierza korytarz krokiem staruszki, nie pięćdziesięcioletni – powoli, szurając nogami.

Prosiła, by mama zlikwidowała ten długi, wąski chodnik przy schodach, ale ona oczywiście nie posłuchała. W sumie tylko się o niego potknęła. Nie spadła od tego. Nic by się jej nie stało.

Bea nie potrafi nawet dokładnie wyjaśnić, dlaczego ją pchnęła. Po prostu była tam, gdy mama traciła równowagę, a wtedy Bea poczuła się tak, jakby serce miało jej wyfrunąć z piersi. Wydało się jej najbardziej naturalnym odruchem wyciągnąć rękę i... popchnąć.

Mina matki nie wyrażała strachu, przerażenia czy szoku. Mama – jak zawsze, gdy upadała – wyglądała na roztargnioną i zdezorientowaną.

Podczas pogrzebu Bei przyszło na myśl, że miała szczęście. Gdyby mama tylko złamała nogę w kostce albo obojczyk, ona musiałaby się gęsto tłumaczyć. Ale matka uderzyła głową o słupek poręczy na dole schodów. Bea usłyszała chrzęst, widziała krew. Mama nie umarła natychmiast, ale Bea wiedziała, że uraz jest poważny. Krew zaczęła się zbierać w kałużę wokół jej głowy. Mimo to gdyby od razu zadzwoniła na numer alarmowy, gdyby powiedziała, że usłyszała łomot w nocy, a nie że znalazła ją u stóp schodów dopiero rano, po wstaniu, mama najpewniej by przeżyła. Bo tym, co ją zabiło, był krwotok.

Leżała tam, pod schodami, sama przez całą noc, krew wyciekła z niej powoli i wsiąkała w deski podłogi.

Bea miesiącami czekała na wyrzuty sumienia. Ale ostatecznie pojawiło się tylko poczucie wolności.

Wyrzuciła to z głowy – przynajmniej z grubsza – na lata. Nawet Eddie nie znał prawdy o śmierci jej matki. Opowiedziała mu mętną historyjkę o alkoholizmie, a ponieważ Eddie sam nie mówił dużo o swojej przeszłości, nie zadawał też pytań. Temat powrócił dopiero parę miesięcy przed śmiercią Blanche.

Umówiły się we dwie na kolację w tej samej meksykańskiej restauracji, w której się spotkały, kiedy Bea poznała Eddiego. Atmosfera jest napięta. To dzieje się już po tym, jak Bea przyłapała Eddiego i Blanche na lunchu i przeleciała Trippa w łazience, o czym Blanche nie ma pojęcia, ale Bea i tak nie jest przygotowana na to, jak wściekła wydaje się tego wieczoru jej przyjaciółka.

– Nie wie, prawda? – pyta Blanche, Bea zaś gapi się na nią, a potem pierwsza odwraca wzrok. – Eddie. Że ta twoja durna historyjka to kłamstwo. Że to całe – zakreśla ręką łuk w powietrzu – Southern Manors zasadniczo ukradłaś mnie.

– Wiem, jak trudno ci pojąć, Blanche, że świat nie kręci się wokół ciebie, ale uwierz mi, tak właśnie jest – odpowiada Bea spokojnie, choć krew pulsuje jej w skroniach.

Blanche zamawia następnego drinka. Jest naburmuszona. Zawsze taka była. Czy to skutek małżeństwa z Trippem? Trudno powiedzieć. Dziś wydaje się wręcz do niego podobna: jej włosy mają taki sam piaskowy odcień jak włosy Trippa i są prawie tak samo krótko obcięte. Ale w przeciwieństwie do niego jest chuda jak patyk, bransoletki pobrząkują na jej nadgarstku, gdy sięga do koszyczka po chipsa. Bea mimowolnie przygląda się bransoletkom, wypatruje czegoś znajomego, ale nie, żadna z nich nie pochodzi z Southern Manors. Wszystkie są od Kate Spade. Bea marszczy nos.

Blanche to widzi.

– Co?

Nie je chipsa, którego trzyma w palcach, odłamuje od niego małe kawałeczki, a Bea wyciąga rękę i zgarnia ze stołu stos okruchów.

– Gdybyś chciała bransoletkę, to właśnie wypuściliśmy nową linię – mówi. – Wyślę ci kilka.

Blanche lekko rozchyła wargi, szerzej otwiera oczy, czeka sekundę i ze zdumieniem parska śmiechem. Ten śmiech jest o wiele za głośny.

– Ja pierdołę, żartujesz sobie czy co? – pyta.

Bea widzi, że kilka głów obraca się w ich stronę. Marszczy czoło i pochyła się nad stołem.

– Trochę ciszej, proszę.

– Nie. – Blanche upuszcza ostatni kawałek czipsa na blat. – Nie, poważnie, chcę wiedzieć, czy się wkurzyłaś, bo nie noszę twojej durnej biżuterii. Chcę wiedzieć, czy tak właśnie jest, Bertha.

– Dorośnij – odpowiada Bea, a Blanche znów się śmieje, odchyła się na oparcie i zakłada ręce na piersi.

– Pytam, czy twój mąż wie, że wszystko w tobie jest kłamstwem. Wściekasz się o bransoletki, ale to ja jestem niedojrzała, no jasne.

Bea błyskawicznym ruchem łapie ją za nadgarstek, ten z cholernymi bransoletkami, i ściska go tak mocno, że Blanche krzyczy.

– Wstawiłaś się – mówi Bea przez zaciśnięte zęby. – Kompromitujesz się. Może lepiej zostaw to Trippowi.

Kolacja nie trwa długo, a Eddie dopiero po dwóch dniach pyta Beę, dlaczego mu nie powiedziała, że jej matka spadła ze schodów. Wtedy też Bea zdaje sobie sprawę, że między nim a Blanche nie ma żadnego romansu, że nawet jeśli Blanche chciała ją zranić, to Eddie na to nie poszedł. A skoro Blanche po raz pierwszy w życiu nie dostała tego, czego chciała, to strzela focha – przypuszcza atak jedyną bronią, która jej jeszcze została.

Następnego dnia rano Bea pojawia się u niej z kawą i słodkimi bułeczkami. Kupuje nawet dla niej to bezglutenowe ohydztwo, które Blanche lubi.

– Gałązka oliwna – mówi.

Widzi, że Blanche w głębi duszy chciałaby jej wierzyć, wrócić do tego, jak było między nimi dawniej. Wyprawa nad jezioro to kolejny gest pojednania. Kolejna propozycja rozejmu.

Blanche przyjmuje ją bez wahania.

Jane siedzi i obraca nóżkę kieliszka w palcach. Obserwuję, jak pracują trybiki w jej głowie. Podoba mi się to, że do końca nie wiem, co zrobi. A kiedy do mnie dociera, jak płytka jest tak naprawdę jej lojalność wobec Eddiego, odczuwam dziwną satysfakcję.

Ostatecznie wcale go nie straciłam. Sama się dziwię, jak bardzo mnie to ekscytuje. Ale może nie powinno? Niektóre rzeczy zapisałam w dzienniku tylko na pokaz, żeby zatrzeć ślady – właściwie większość – ale seks? To, jak się czułam przy Eddiem? W tym akurat nie było cienia kłamstwa.

Nagle Jane trochę bardziej prostuje plecy i mówi:

– Powinnyśmy zadzwonić na policję. Powiedzieć, co zrobił Eddie. On musi ponieść konsekwencje.

Bawi się ze mną czy naprawdę tego chce? Niejednoznaczność, która przed chwilą mnie intrygowała, teraz irytuje. Macham ręką i dopijam wino.

– Później – mówię. – Niech się nacieszę paroma godzinami wolności, zanim znowu gdzieś mnie zamkną i zaczną zadawać pytania. – Rozglądam się i dodaję: – Nic tu nie pozmieniałaś, prawda?

Jane nie odpowiada. Pochyliła się w moją stronę i łapie mnie za rękę.

– Bea – mówi. – Nie możemy tak po prostu siedzieć. Eddie zabił Blanche. Mógł zabić ciebie. Musimy...

– Nic nie musimy – warczę, wyrywam rękę i wstaję.

Najbardziej stresujący moment to podjęcie decyzji – przypominała Bea swoim pracownikom. – Kiedy już ją podejmiesz, kiedy klamka zapadnie, robi się źzej.

Tak właśnie było z Blanche.

Kiedy Bea wreszcie podejmuje decyzję, że Blanche musi umrzeć, sprawa staje się dość prosta, a kolejne kroki układają się w całość. Zaprasza Blanche do domu nad jeziorem i w ostatniej chwili pisze do Trippa. Wie, że tym razem będzie potrzebowała kozła ofiarnego, bo gdy ktoś ginie w wypadku, a na miejscu zdarzenia obecna jest tylko jedna osoba, to właśnie ona wzbudza podejrzenia. Ale jeśli osoby są dwie, sytuacja przestaje być taka oczywista.

A więc Tripp.

Blanche nie jest zadowolona, gdy go widzi.

– Myślałam, że to ma być babska wyprawa – mówi, kiedy Tripp, już popijając wódkę z tonikiem, siada obok niej na kanapie.

– Baba bez chłopa jak chałupa bez płota – żartuje Tripp i jest w tym taki obleśny, że Bea ma ochotę jego też uśmiercić.

Ale nie, on musi odegrać konkretną rolę w jej scenariuszu.

I Tripp odgrywa ją bardzo dobrze. Blanche jest taka zła, że się zjawił, że pije jeszcze więcej, niż zaplanowała Bea – najpierw wino, kieliszek za kieliszkiem, a potem wódkę, tę samą co Tripp.

Kiedy zgodnie z planem Bei, która wrzuciła mu xanax do drinka, Tripp traci kontakt z rzeczywistością i nieprzytomny zwala się na kanapę, Blanche, zaśmiewając się do rozpuku, pomaga Bei zaciągnąć jego bezwładne ciało do sypialni. Bea udaje, że jest tak samo pijana jak Blanche.

I właśnie to zapamiętuje najwyraźniej. Blanche była tamtego wieczora szczęśliwa. To przede wszystkim zasługa wódki, ale pośrednio – też Bei.

Ostatni babski wieczór.

Kiedy wsiadają do łodzi motorowej, którą Bea sprawiła Eddiemu rok wcześniej, Blanche tak się zatacza, że Bea musi ją zaprowadzić na miejsce i posadzić.

Podaje jej kolejnego drinka.

Niebo nad ich głowami jest czarne, księżyc w nowiu nic nie oświetla.

Tak samo jak było z mamą, z przyjaciółką też Bea nie ma za wiele roboty. Kiedy Blanche osuwa się na siedzenie i traci kontakt z rzeczywistością, wystarczy wziąć do ręki wcześniej kupiony młotek, ciężki, mało subtelny, akurat taki, w jaki mógłby się zaopatrzyć Tripp, i spuścić go w dół.

Raz. Drugi. I trzeci. Ohydny chrzest, a po nim grzaskie, lepkie mlaskanie. Bea wytacza Blanche za burtę. Jest ciemno. Ostatnią rzeczą, jaką widzi, są włosy przyjaciółki znikające pod wodą.

Stoi i czeka, aż coś poczuje. Żal, przerażenie. Cokolwiek. Ale nie – skoro klamka zapadła, Bea czuje tylko ulgę. I jest trochę zmęczona.

Powrót na brzeg to prawdziwa katorga. Ramiona Bei przecinają ciepłą wodę, a jej umysł produkuje obrazy aligatorów i mokasynów błotnych. Wie, że ma pod sobą zatopiony las, i mimowolnie wyobraża sobie martwe gałęzie wyciągające się po nią niczym ręce szkieletów, widzi swoje ciało opadające w dół razem z ciałem Blanche, by spocząć na podwodnym cmentarzysku.

W pewnym momencie coś muska jej nogę i Bea wydaje zdławiony krzyk, który w nocnej ciszy brzmi o wiele za głośno. Woda wlewa jej się do ust, smakuje żelazem i zgnilizną. Bea wypluwa ją i płynie dalej.

Historia jest bardzo prosta. Babski weekend. Nieoczekiwanie zjawił się Tripp. Wyłynęli łodzią, przedtem nieźle popili. Bea zasnęła albo urwał jej się film, ostatnią rzeczą, którą pamięta, jest sprzeczka Blanche z Trippem. Kiedy się ocknęła, Blanche nie było, a Tripp leżał nieprzytomny. Bea spanikowała, wskoczyła do wody, żeby ratować przyjaciółkę, a ponieważ jej nie znalazła, wróciła wpław do brzegu.

Tripp był tak napruty, że nie będzie miał pojęcia, co się z nim działo, nie będzie nawet pamiętał, że nie wyłynął z nimi łodzią, a przecież wszyscy wiedzieli, że między nim a Blanche nie układało się najlepiej. Może mu się poszczęści i założą, że Blanche wypadła lub wyskoczyła z łodzi sama, a ciała nie znajdują, bo jest na dnie jeziora. A jeśli je znajdują i odkryją tę dziurę w czaszce, uznają, że to on ją zabił.

Obie wersje odpowiadają Bei.

Wszystko poszłoby idealnie gładko, gdyby nie zjawił się Eddie i wszystkiego nie spieprzył.

Eddie jest w domu, kiedy Bea idzie po pomoście. Na jej widok robi wielkie oczy. Bea nawet nie myśli o tym, jak wygląda. Jest przemoczona, trzęsie się, chociaż jest gorąco. Jedyne myślenie, które kołata jej w głowie, to: „Co on tu robi?”

To jest koniec. Chwila, w której traci wszystko.

Powinna była lepiej zastanowić się nad tym, jakie to dziwne, że przyjechał, i nad malującą się na jego twarzy paniką. Eddie nigdy dobrze

nie reagował w nagłych sytuacjach i, jak wielu mężczyzn, zawsze uważał się za mądrzejszego, niż naprawdę był.

Bea wychodziła z założenia, że facet, który przecenia własną inteligencję, to taki, którym łatwo manipulować. Okazuje się jednak, że to również facet, który potrafi stanowić prawdziwe zagrożenie.

Później chciała mu powiedzieć, że strasznie wszystko spieprzył, że dałaby sobie z tym radę, że w przeszłości już dawała sobie z czymś takim radę, tak jak zawsze i ze wszystkim, ale oczywiście Eddie bez zastanowienia wtargnął w centrum wydarzeń – jak to on.

Stałam w salonie domu, który Eddie wybudował, a ja stworzyłam, i znowu o tym myślałam. O tym, co powiedziała Jane.

„Kochał cię”.

Tak. To ten element sprawiał, że wszystko nabierało sensu. Dlatego wtedy nie wezwał policji, dlatego nie zostawił mnie na górze, żebym umarła. Gdyby zależało mu wyłącznie na pieniądzach, to oto dostał idealną szansę, żeby się mnie pozbyć i zagarnąć wszystko dla siebie. Nie podpisaliśmy umowy przedmałżeńskiej, bo chciałam udowodnić światu, a najbardziej Blanche, że ufam mu całkowicie. Mógł wziąć wszystko, co mu dałam.

Ale nie wziął.

I dobra, poznał Jane, dobra, planował się z nią ożenić – ale nadal odwiedzał mnie w pokoju, rozmawiał, kochał się ze mną.

Tyle czasu próbowałam rozwikłać tajemnicę, znaleźć klucz do tego, co się zdarzyło, a odpowiedź okazała się taka prosta.

Kochał mnie.

Jane stała w przejściu między salonem i kuchnią z telefonem w ręku.

– Bea, wiem, że przeżyłaś koszmar, na pewno jesteś w szoku, ale musimy wezwać policję. Dłużej nie zwlekajmy. To wariactwo.

Spuściła wzrok na telefon i zaczęła wybierać numer. Natychmiast znalazłam się przy niej, zacisnęłam palce na jej nadgarstku, poczułam drobne, kruche kostki.

– Nie dzwoń – powiedziałam, a po błysku w jej oczach poznałam, że już wie, o co chodzi.

Lubiłam Jane, wręcz ją szanowałam, ale nie miałam zamiaru pozwolić, by mi to spieprzyła.

By spieprzyła to *nam*.

Nagły ostry, przenikliwy dźwięk zaskoczył nas obie. Puściłam nadgarstek Jane i podniosłam wzrok na sufit.

– Co t... – zaczęła, ale ja już wiedziałam.

Alarm pożarowy. Bez namysłu rzuciłam się na górę.

„Ty idioto, ty pieprzony idioto”, powtarzałam w głowie, biegnąc po schodach, bo to była kolejna rzecz tak typowa dla Eddiego. Pokój paniki nie otwierał się w wypadku pożaru, bo został zaprojektowany jako schronienie *na wypadek* pożaru. Eddie albo o tym nie wiedział, albo liczył na to, że się zjawię i go wypuszczę.

Byłam pewna, że chodzi o to drugie.

Jane biegła za mną i krzyczała, wołała mnie po imieniu.

Na górze mocno pachniało dymem, szare strużki wydostawały się spod drzwi garderoby, a kiedy złapałam za gałkę, była rozgrzana. Tak rozgrzana, że parzyła. Zapiekleła mnie skóra.

Szarpnęłam za drzwi, a te otworzyły się, ukazując piekło ognia, gorąca i bólu. Gdzieś za moimi plecami wrzeszczała Jane.

Część XIII. Jane

Ostatni raz byłam w szpitalu w wieku piętnastu lat, kiedy złamałam rękę w łokciu. Popisywałam się przed chłopakiem jazdą na deskorolce. Tamto doświadczenie było okropne i teraz również nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobało.

Jutro mam wyjść do domu, ale gdzie jest mój dom? Nie wiem. Domu w Thornfield Estates już nie ma, doszczętnie spłonął, a nowe życie, które próbowałam sobie stworzyć, przepadło wraz z nim.

To, że koncentruję się właśnie na tym, a nie na fakcie, że mężczyzna, z którym się zaręczyłam, miesiącami przetrzymywał żonę w pokoju paniki, zapewne jakoś o mnie świadczy. Co dziwne, ta część całej historii przyniosła mi swego rodzaju ulgę. Wszystko, co do tej pory nie zgadzało mi się w głowie, co wyzwalало we mnie instynkt walki lub ucieczki, teraz nabrało sensu. Wyjaśniło się.

Wiem, że do końca życia zapamiętam wyraz twarzy Bei, która pędziła po schodach, by ratować Eddiego. Nieważne, co do niego czułam, ale na pewno nie to samo co ona. Nie *potrafiłabym* tego czuć.

Tak samo jak Eddie nie potrafiłby kochać mnie tak, jak kochał Beę.

Kiedy otworzyła drzwi pokoju paniki, rozległ się syk, świst i huk, a fala gorąca pchnęła mnie do tyłu i uruchomiła mój instynkt. Rzuciłam się na dół. Po schodach, przez drzwi, na trawnik, tam upadłam, krztusząc się i wykastując dym.

Zrobiłam to samo, co robiłam przez całe życie – uratowałam siebie.

Co oznaczało, że zostawiłam Beę i Eddiego na śmierć.

Wzdycham i rozpakowuję loda wodnego, którego nielegalnie podrzuciła mi pielęgniarka. Smak bananowy.

Miałam szczęście. Wszyscy tak twierdzą. Nie doznałam poparzeń, nawdychałam się tylko dymu, od którego nadal bolą mnie gardło

i płuca. Ponieważ po domu został praktycznie popiół, można powiedzieć, że wyszłam z tego prawie bez szwanku.

Poza faktem, że jestem teraz bezdomna, nigdzie niezakotwiczona.

Już mam się zanurzyć w bezbrzeżnym żalu nad sobą, gdy rozlega się ciche stukanie do drzwi. Odwracam głowę i widzę oficer śledczą Laurent.

– Puk, puk – mówi.

Serce podchodzi mi do gardła, niechcący odgryzam kawałek lodu, od zimna bolą mnie zęby.

– Dzień dobry – odpowiadam niezręcznie, a ona wskazuje na plastikowe krzesło koło łóżka.

– Możemy chwilę porozmawiać?

Nie mogę przecież odmówić, a ona, jak zgaduję, ma tego świadomość, bo nie czekając na odpowiedź, siada. Zakłada nogę na nogę i uśmiecha się do mnie, jakbyśmy się dobrze znały, a ona przyszła po prostu odwiedzić mnie w szpitalu. Próbuję zmusić się do uśmiechu, ale przypominam sobie, że jestem załamana i przeżyłam wstrząs.

Ostatnie dni sprawiły, że zupełnie wypadłam z roli.

Spuszczam wzrok, bawię się opakowaniem po lodzie i czekam, aż ona coś powie.

– Jak się pani czuje? – pyta, a ja wzruszam ramionami i zakładam włosy za uszy.

– Lepiej. Ciągle mam chrypę. – Wskazuję na gardło. – No i wszystko wydaje mi się takie odrealnione.

Laurent kiwa głową. W kącikach jej oczu powstają zmarszczki, patrzy na mnie ze współczuciem, ale w jej spojrzeniu jest coś, co budzi niepokój. Coś, co sprawia, że czuję się obnażona.

– Przypuszczam, że już pani wie, że narzeczonemu nie udało się wydostać z pożaru.

Zaciskam wargi, zamykam na chwilę oczy, ale w głowie mam karuzelę myśli. Czy ona właśnie mi mówi, że w pogorzelisku znaleziono dwa ciała? Co mam powiedzieć? Prawdę o Bei i Eddiem, o tej całej historii?

– Wiem – udaje mi się wykrztusić. Mój strach brzmi jak smutek, to dobrze.

– I domyślam się, że wie pani również o naszej roboczej teorii, która mówi, że celowo wywołał pożar, by zabić siebie i panią.

Nie.

Nie, tego nie wiedziałam, więc szok i niedowierzanie, które malują się na mojej twarzy, nie są udawane.

– Celowo? – pytam, a ona kiwa głową, wzdycha i odchyła się na oparcie.

– Jane, jest całkiem prawdopodobne, że Edward Rochester był zamieszany w zabójstwo Blanche Ingraham i zniknięcie swojej żony.

– Boże – mówię cicho i przykładam dłoń do ust.

Detektyw Laurent nieznacznie przesuwając się na krześle. Zza drzwi dobiega skrzypienie kółek wózka do przewozu chorych i pikanie aparatury medycznej.

– Kiedy badaliśmy związek Trippa Ingrahama ze sprawą, odkryliśmy, że Eddie Rochester również mógł być obecny na miejscu w noc zabójstwa. Kamery monitoringu Thornfield Estates zarejestrowały jego samochód, jeden z sąsiadów zapamiętał, że wyjechał on z domu w noc, kiedy jego żona i Blanche Ingraham udały się nad jezioro. Na razie nie mamy konkretów i nadal zbieramy materiał dowodowy, ale teraz...

Zawiesza głos. Widzę, jak jej ręka na chwilę zatrzymuje się przy wiszącej u paska odznace.

– A co z Trippem? – pytam. – Co z nim teraz będzie?

To, że w ogóle odczuwam współczucie dla Trippa Ingrahama, jest dziwne i dość odpychające, ale teraz, kiedy znam już całą historię, trudno mi nie widzieć w nim ofiary. Jest kolejną ofiarą głównianej afery wywołanej przez Eddiego i Beę.

– Został oczyszczony z zarzutów – odpowiada śledcza. – Szczerze mówiąc, nigdy nie mieliśmy na niego aż tyle, ile dawaliśmy mu do zrozumienia. Liczyliśmy na to, że pięknie albo pogrąży Eddiego. – Wzdycha. – W każdym razie nie ma wątpliwości, że pożar został wywołany celowo, i dlatego sądzimy, że Eddie wiedział, że jesteśmy blisko.

Nachyla się i bierze mnie za rękę.

– Tak mi przykro. Wiem, że to musi być dla pani szok.

Jest, ale nie w sensie, o którym myśli. Sądzą, że Eddie się zabił, bo zabił Blanche i Beę. Co oznacza, że ciała Bei nie znaleźli w pogorzeliu.

Innymi słowy, Bea jest na wolności.

– Później być może będziemy chcieli zadać pani parę pytań. – Laurent klepie mnie po dłoni i wstaje. – Ale na razie chciałam dać pani znać, na czym stoimy.

– Dziękuję – odpowiadam, a ona znowu się uśmiecha.

– Proszę na siebie uważać.

Kiedy zmierza do drzwi, nie mogę się powstrzymać i zadaję jeszcze jedno pytanie.

– Czy mogę... czy mogę wiedzieć, czy Eddie... to znaczy ciało...

Mój głos jest pełen wahania, jakby to, o co pytam, było zbyt straszne, by w ogóle to sobie wyobrażać. Policjantka się krzywi.

– Ogień miał wyjątkowo wysoką temperaturę – odpowiada łagodnie. – Nic się nie zachowało. Znaleźli chyba tylko... – milknie i odchrząkuje – ...kilka zębów.

Widzę ten durny srebrny ananas w swoim ręku i czuję siłę, z jaką uderzył w szczękę Eddiego.

Białe odłamki na dywanie.

– Dziękuję – mówię i odwracam oczy, pokazując, że ten koszmar mnie przytłacza.

Słyszę, jak policjantka wychodzi. Po chwili znowu podnoszę loda do ust. Już się częściowo roztopił, na tacy została lepka żółta kałuża. Przesuwam przez nią palcem.

Na lewym ręku nadal połyskuje mój pierścionek. Przynajmniej to mi zostało. Sprzedam go i będę miała coś na start. Na nowe życie. Skromniejsze, niż planowałam, ale przynajmniej jakieś.

O ile Bea mi pozwoli.

Jest nadal na wolności i wie, że znam prawdę. Więc jaki będzie jej następny krok?

– Skarbie?

Podnoszę wzrok. W drzwiach stoi Emily. Patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem.

Ogląda się przez ramię, a potem mówi cicho:

– Właśnie do ciebie szłam, ale jest tu jakiś chłopak, który twierdzi, że jest twoim bratem. I że jutro zabiera cię do domu. Nie miałam pojęcia, że masz brata.

Pierdol się, John.

– Nie mam – odpowiadam.

Emily jeszcze bardziej marszczy czoło, wchodzi głębiej do sali i się uśmiecha.

– Adelka już się do nas wprowadziła. Jeśli masz ochotę, to też możesz. Zapraszam.

Adelka. W tym całym wirze zupełnie o niej zapomniałam. I teraz, nie wiedzieć czemu, na myśl o tym psie łzy w końcu napływają mi do oczu.

– Nic jej nie jest? – pytam.

– Zupełnie nic. – Emily kręci głową. – Terroryzuje Majora i Pułkownika. – Emily podchodzi do łóżka i bierze mnie za rękę. – No, kochana. Wróc ze mną do domu. Proszę.

Więc wracam.

Pierwsze dni u Emily upływają przyjemnie. Dostaję śliczny pokój gościnny, Emily zamawia dla mnie posiłki, kupuje mi lody, które łagodzą stan zapalny gardła, a napój z soku ananasowego i wody gazowanej, który mi przyrządza, to istne niebo w gębie. Nie sądziłam, że tak bardzo ucieszy mnie towarzystwo Adelki, która sypia w nogach mojego łóżka. Ciepły ciężar na kołdrze przynosi mi poczucie bezpieczeństwa.

Więc na początku jest całkiem dobrze.

Kiepsko zaczyna się robić dopiero piątego dnia, kiedy jako tako doszedłszy do siebie, wstaję z łóżka i zaczynam się kręcić po domu.

Początkowo to są drobiazgi.

Czy mogłabym skoczyć do miasteczka po croissanty na spotkanie klubu dyskusyjnego, do którego należy Emily? Aha, a w drodze powrotnej zajrzeć do Whole Foods? Da mi listę zakupów.

I oto proszę, co robię trzy tygodnie po wyjściu ze szpitala. Spaceruję po osiedlu z shih tzu imieniem Major.

Idę i rozmyślam o tym, czy wydarzenia ostatniego pół roku miały miejsce naprawdę, czy tylko w mojej wyobraźni. Może to, co mi się przytrafiło, to jakiś rodzaj poważnych halucynacji i wcale nie poznałam Eddiego Rochesterera, nie mieszkałam w domu cofniętym nieco w głąb ogrodu, w domu, gdzie spełniły się prawie wszystkie moje marzenia?

Ale poranny spacer przypomina mi, że nie, to wszystko zdarzyło się naprawdę. Po domu Eddiego i Bei została tylko pusta działka, pogorzelnisko i odgradzające je policyjne taśmy, ale i tak mogę tam pójść z Majorem w oczekiwaniu, że... że co? Że zobaczę znak? Że nie wiadomo skąd wyłoni się Bea w kapeluszu z woalką i okularach przeciwsłonecznych i wytłumaczy mi, że to wszystko miało jakiś sens?

To się nie zdarzy.

Jestem tylko zwykłą dziewczyną, która przypadkiem wdepnęła w cudze łajno. Której dano posmakować innego życia tylko po to, by zaraz je odebrać, bo to takie typowe. Ale i tak smutno mi tu stać, patrzeć na miejsce po domu, wspominać, jak się czułam, gotując w tej kuchni, śpiąc w tej sypialni, wylegując się w tej wannie.

Jest jedna różnica: teraz, zawsze kiedy o tym myślę, wiem, że Bea cały czas tam była. Dzieliła ze mną swój dom. Czekala.

Zawracam. Idę do domu Emily. Major radośnie drepcze obok mnie. Nagle w kieszeni wibruje mój telefon. Numer nieznany, ale zaczyna się od dwieście pięć, co oznacza Birmingham, więc odbieram.

– Dodzwoniłem się do Jane Bell? – pyta głos.

Brzmi – taki obraz pojawia mi się w głowie – jak basset mówiący ludzkim głosem, nisko i przeciągle. Skracam smycz Majora.

– Tak.

– Z tej strony Richard Lloyd. Prawnik Eddiego Rochestera.

Pamiętam to nazwisko, pamiętam, jak Eddie wręczył jego wizytówkę Johnowi. Zaciskam palce na telefonie.

– Tak – mówię, a on wzdycha.

– Czy mogłaby pani w tym tygodniu zajrzeć do mnie do biura? Szczerze mówiąc, im wcześniej, tym lepiej.

Chcę odmówić. Co dobrego może wyniknąć ze spotkania z prawnikiem? Spoglądam jednak na ruiny domu Eddiego i przypominam sobie wizję, która przed chwilą zrodziła mi się w głowie – o tym, że Bea powstaje z popiołów i coś mi wręcza, jakąś rekompensatę za wszystko, przez co przeszłam.

– Oczywiście – odpowiadam. – Będę u pana jutro.

*

Biuro jest dokładnie takie, jak sobie wyobrażałam. Drogie, męskie, obite skórą meble, obrazy przedstawiające psy trzymające w pyskach upolowane kaczkę, a na niskim stoliku, przy którym siedzę, czasopisma łowieckie, wędkarskie i poświęcone grze w golfa.

Mężczyzna – o lekko rumianym obliczu i w brzydkim garniturze – który zjawia się w holu i zagaduje „Pani Bell?”, też jest dokładnie taki, jakiego się spodziewałam. Nie roztacza wokół siebie aury zaniedbania i upadku, jak Tripp, lecz z całą pewnością obaj należą do tego samego gatunku: *Pijus południowus*.

Wyobrażam sobie, jak codziennie idzie do pobliskiego pubu na lunch, zamawia to samo, wypija co najmniej dwa piwa, po czym wraca do biura, by molestować atrakcyjną studentkę, która odbiera w kancelarii telefony. Zmuszam się jednak do tego, by posłać mu drżący, niepewny uśmiech, który tak lubił Eddie. Wstaję, ujmuję jego wyciągniętą rękę i potrząsam nią.

– Jane – przedstawiam się. – Proszę do mnie mówić po imieniu.

– Jane – powtarza. – W dzisiejszych czasach to dość rzadkie imię.

Podtrzymuję ten sam bezbarwny uśmiech i idę za nim do gabinetu.

Tu otacza mnie jeszcze więcej skóry i jeszcze więcej scen myśliwskich, tyle że teraz są to fotografie, na których właściciel gabinetu pozuje w jaskrawopomarańczowej kamizelce, trzymając głowę jelenia o szklistych oczach i z wywieszonym na bok językiem.

Nie po raz pierwszy łapię się na myśli, że wychodząc stąd, poczuję ulgę. Mięciutka bańka Thornfield Estates była miła, ale cała reszta spraw powiązanych z tym miejscem jest nieźle popieprzona.

– Dobrze – mówi prawnik, siadając za potężnym biurkiem. – Muszę przyznać, że byłem trochę zaskoczony, kiedy Eddie tak krótko po zaręczynach postanowił zmienić testament. Jeśli mam być szczerzy, to próbowałem wybić mu to z głowy. Bez urazy.

– Oczywiście – odpowiadam, ale krew tak wali mi w uszach, że ledwie słyszę jego głos.

Eddie umieścił mnie w testamencie.

Sądził, że pewnego dnia Bea wydostanie się z kryjówki? I może go zabić? Czy chciał w ten sposób na wszelki wypadek mi coś wynagrodzić? A może to kolejny ruch w ich chorej grze? Sposób, by odsunąć Beę od jej własnego majątku – przez powierzenie go mnie? Tego nigdy się nie dowiem.

– W każdym razie po zaginięciu Bei Eddie zyskał kontrolę nad wszystkimi jej finansami. Udziałami w firmie i tak dalej. A teraz –

Lloyd przesuwa do mnie po blacie grubą skórzaną teczkę – to wszystko należy do ciebie.

Biorę teczkę w zdrętwiałe palce i kładę ją sobie na kolanach. Czuję jej ciężar na udach.

– Firma również, rzecz jasna – ciągnie prawnik i zapisuje coś w notesie. – Southern Manors. Możesz ją zatrzymać albo...

– Sprzedać, tak?

Lloyd patrzy mi prosto w oczy. Jego wargi lekko drżą, gdy mówi:

– Jest twoja.

Siedzę, trzymam teczkę, trzymam to wszystko i przez chwilę myślę, jak by to było zatrzymać firmę. Prowadzić Southern Manors, kupić sobie dom w Thornfield Estates.

Ale nie.

Widzę w tym to, czym naprawdę to jest. Dar. Od Eddiego. Od Bei. W zamian za dochowanie ich tajemnicy.

I zamierzam ten dar przyjąć.

Otwieram teczkę i patrzę na dokument, który mam przed sobą. Jest napisany żargonem prawniczym, a ja naprawdę nie nazywam się Jane Bell, ale co z tego. Interesuje mnie tylko jedno – cyferki.

Dokument dotyczy całości majątku, widzę to. Całej fortuny Bei, wszystkiego, co stworzyła i zostawiła Eddiemu, a on – mnie.

Jestem bogata.

Nie „dostyc bogata”. To są miliony. Setki milionów. Przepisane na mnie.

Podnoszę wzrok na prawnika. Nie muszę udawać łez, same płyną. To łzy ulgi, nie smutku. Łzy pieprzonej radości. Bea Rochester podarowała mi życie. Nie swoje życie, nie życie Jane Bell, lecz całkiem nowe, świeże życie.

Życie, które może się stać moim własnym.

– To był dla mnie szok – mówię cicho. – To, co się stało z Eddiem. Kochałam go, naprawdę, nie miałam pojęcia...

Spuszczam wzrok na teczkę. Ścisza mnie w gardle, przetykam łzy.

– Nie wiedziałam, że można kogoś kochać, a jednocześnie wcale go nie znać.

– Skarbie, wszystko wskazuje na to, że nikt z nas nie znał Eddiego Rochesterera – mówi Lloyd i wyciąga rękę nad białym, by poklepać

mnie po dłoni.

Jego sygnet jest masywny i zimny.

Wychodzę na dwór. Zerwał się wiatr, chmury pędzą po niebie. Powietrze jest gęste, ciężkie od nadciągającej późnoletniej burzy. Wyjmuję parasol z torby, jednocześnie wystawiając twarz na pierwsze grube krople deszczu.

Od szerokiego uśmiechu, który mimowolnie pojawia się na mojej twarzy, bolą mnie policzki. Muszę wyglądać jak idiotka, która szczerzy zęby nie wiadomo do kogo, ale po raz pierwszy od dawna nie przejmuję się tym, co pomyślą o mnie inni. Nie dostosowuję swojej reakcji do niczyich oczekiwań.

Jestem wolna.

Uwolniły mnie Bea i jej pieniądze.

Jestem wolna i mogę wyjechać z Alabamy, a jeśli chcę, wrócić do prawdziwego nazwiska. Bo fortuna tego kalibru jest murem, który doskonale odgradza mnie od przeszłości. Jeżeli zechcę, mogę być Heleną Burns. A jeżeli nie, mogę na zawsze pozostać Jane Bell.

Mogę być, kim chcę.

Epilog

Czasem o nich myślę – o Eddiem i Bei.

Kiedyś, gdy pakowałam zakupy do bagażnika, zdawało mi się, że ich widzę.

To nie mogli być oni, rzecz jasna. Nie mieszkałam już wtedy w Mountain Brook. Nie mieszkałam w Alabamie. Za pieniądze Bei kupiłam sobie dom – nic luksusowego, chociaż mogłabym sobie na to pozwolić, lecz małą przytulną chatę w górach Karoliny Północnej.

Jak widać, polubiłam Południe.

To niemożliwe, by kobieta w ciemnych okularach za kierownicą potężnego SUV-a, który przejechał przez parking Ingles Market, mogła być Bea. Niemożliwe, by ten, kto siedział nisko opuszczony na fotelu pasażera, mógł być Eddiem. Nie byłam nawet w stanie stwierdzić, czy to na pewno mężczyzna.

Adelka krótko i ostro zaszczekała w moim samochodzie, kiedy SUV nas mijał. Wydawało mi się, że osoba na miejscu pasażera się odwróciła, by ją zobaczyć, ale auto było już za daleko i nie miałam pewności.

Od pożaru upłynęło dopiero parę miesięcy, więc reagowałam jeszcze nerwowo. Gdziekolwiek spojrzałam, widziałam duchy.

Czasem myślę, że już zawsze będę się oglądać przez ramię.

Pamiętam, że kiedy Bea otworzyła drzwi do pokoju paniki, świsnął podmuch i buchnęły płomienie. Pamiętam zapach palonych włosów, a także gorszy, mroczniejszy zapach – niepokojąco podobny do zapachu grillowanego mięsa.

Pamiętam, że znaleźli zęby Eddiego.

Ale pamiętam też, że stracił je, kiedy go uderzyłam, więc...

Nie wiem.

Lubię myśleć, że oboje przeżyli. I że gdzieś są.

Może wrócili na Hawaje. Albo na jakąś inną, bardziej odległą wyspę, na swoją własną malutką plażę.

Wyobrażam ich sobie na białym piasku. Palmy kiwają się nad ich głowami, tak jak sobie ich wyobrażałam, kiedy Bea była duchem, a Eddie należał do mnie.

Ona siedzi w słońcu, uśmiecha się, lśniące włosy ma zgarnięte do tyłu. Towarzyszy jej Eddie. Nie jest tak przystojny jak kiedyś.

Widzę, jak Bea sięga po jego rękę, a jego palce – zgrubiałe od blizn, od nabrzmiałych czerwonych pręg – zaciskają się na jej dłoni.

„Jesteśmy teraz razem – mówi ona – i tylko to się liczy”. Nie pieniądze, nie życie, które stworzyli, nie dom, po którym na soczystej zielonej trawie Thornfield Estates została jedynie czarna dziura.

I nie będzie kłamstwem, jeśli mu powie, że teraz, bez tego wszystkiego, jest im lepiej. Tylko we dwoje, wszystko jedno gdzie.

To będzie prawda.

Podziękowania

Mojej agentce Holly Root jestem wdzięczna absolutnie za wszystko, najbardziej jednak za tę książkę. Holly – dziękuję, że zawsze widzisz mój potencjał, a moje pisarskie serce znasz wręcz lepiej niż ja sama.

Joshowi Bankowi, Joelle Hobeice i Sarze Shandler z Alloy Entertainment dziękuję za szansę, którą od nich dostałam, i za wpływ, jaki wywarli na moje pisarstwo. Praca z Wami przyniosła mi mnóstwo radości!

Dziękuję całemu zespołowi St. Martin's, w którego skład wchodzi: Sarah Bonamino, Sallie Lotz, Naureen Nashid, Marissa Sangiacomo i Jessica Zimmerman. Jesteście wielcy – Bea z pewnością natychmiast porwałaby Was wszystkich do Southern Manors.

Nieprzyswoite wręcz ilości podziękowań należą się Sarah Cantin, która zajmowała się tą książką od samego początku i bardzo, bardzo ją ulepszyła! To ogromna radość pracować z kimś, kto jednocześnie jest ostrym jak brzytwa redaktorem i cudownym sprzymierzeńcem tekstu. Doceniam to o wiele bardziej, niż jestem w stanie wyrazić.

Jak zawsze dziękuję swojej rodzinie. Bez Was nie cieszyłaby mnie żadna napisana książka.

Na koniec dziękuję każdej kobiecie, która doczytawszy *Jane Eyre* do końca, pomyślała: „Serio, Jane? Stać cię było na więcej!”.

Jesteście moimi siostrami. Kocham Was.

¹ Tripp – tak potocznie mówi się na chłopca, który jest trzeci w rodzie. Tripp to Richard Ingraham III (przyp. tłum.).

Redaktorka inicjująca: Joanna Maciuk
Redaktorki prowadzące: Magdalena Matuszewska, Anna Kapuścińska

Przekład: Katarzyna Roslan
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Gabriela Niemiec, Małgorzata Kuśnierz

Projekt okładki: Danielle Christopher
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: kwiaty © Nadezhda Stepanova/Getty;
tekstura w tle © Photo Boutique/Shutterstock;
rozdarty papierban © Cafe Racer/Shutterstock;
poręcz © TaraPatta/Shutterstock
Skład okładki: Paweł Sky

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. 22 828 98 08
faks 22 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN: 978-83-8318-483-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo